

George Owen Baxter

Tajemniczy szept

Ilustracje *Andrzej Maciejewski*

Opracowano na podstawie powieści „Tajemniczy szept” G. O. Baxtera tłumaczonej z angielskiego przez Alicję Krzymowską i wydanej przez Wydawnictwo „Dobra Książka”, Wrocław - Katowice 1947 r.

Rozdział I

POŚCIG

Przestępstwa Lew Borgena były zazwyczaj przygotowywane z największą starannością; ułożywszy ich plany - według wszelkich zasad ostrożności, wykonywał je sam jeden, nie miał przeto potrzeby ani dzielenia się zdobyczą, ani dopuszczenia innych do swej tajemnicy, co najczęściej bywa przyczyną niepowodzenia największych nawet geniuszów spośród tych, którzy żyją poza obrębem prawa.

Jednakże w wypadku obrabowania banku w mieście Nancy Hatsch, Borgen zaniedbał swoich zasad i, kierowany raczej instynktem niż rozważą i znajomością terenu, zwabiony światłem, które ujrzał w dużym, zabezpieczonym stalowymi sztabami oknie, korzystając z wieczornego mroku, wszedł przez tylne drzwi budynku do małego banku, nie orientując się w jego zasobach gotówkowych.

Tylne drzwi banku nie były nawet zaryglowane, toteż po wejściu doń włożył maskę, podsunął lufę pod nos kasjera i zażądał wydania znajdujących się w kasie pancernejszej pieniędzy. Usłuchano go niezwłocznie i wkrótce był w posiadaniu około 15 000 dolarów, po czym zakneblował

usta kasjerowi, związał go i odszedł tą samą drogą, którą przybył. Po wyjściu z budynku, Borgen dosiadł swego konia i kłusem odjechał w stronę doliny - rzeki Crispin, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Stosownie do jednej ze swych zasad, nakazującej po dokonaniu przestępstwa wybrać umiejętnie kierunek ucieczki i jechać prosto przed siebie bez zatrzymywania się, aż odległość od miejsca ostatniego wyczynu nie wyniesie przynajmniej 500 mil, Borgen posuwał się w ciągu dwóch dni w górę rzeki Crispin.

Na pogoń jednak wcale się nie zanosilo, wobec czego Borgen, powtórnie odstępując od swej zasady, trzeciego dnia zatrzymał się na wypoczynek w miłej małej dolince tuż za wąwozem, w który skręcała rzeka.

Gdy znalazł się znów na koniu, spostrzegł niebawem, że grozi mu kara za zaniechanie zwykle stosowanych ostrożności, bowiem z daleka dojrzał małą - kawalkadę jeźdźców, którzy wołali nań, aby się zatrzymał. Lew Borgen nie myślał czekać, albowiem byli to zapewne ludzie wysłani w celu rewidowania każdego napotkanego w górach podróżnika, uderzył przeto ostrogami konia i pocwałował wzdłuż doliny. Jeźdźcy podążyli za nim.

Mieli oni tak dobre konie, że gdyby wierzchowiec Borgena nie był wypoczęty po postoju, dogoniliby go na przestrzeni pierwszej mili. W tym stanie rzeczy udało mu się oddalić od nich na pewien dystans, lecz wkrótce zrozumiał, że nie będzie mógł go nadal utrzymać. Z dwunastu jeźdźców, których początkowo dostrzegł, połowa pozostała w tyle, sześciu jednakże ścigało go zawzięcie, tak iż nie było nadziei ujścia przed nimi.

Borgen począł kłąć. Był dotychczas przyzwyczajony do powodzenia

w swych ucieczkach, toteż sytuacja obecna wzbudziła w nim nagły lęk. Zdobyć swoją ulokował bezpiecznie w przytroczonej do siodła torbie, która, ilekroć lewe jego kolano ją przyciskało, wydawała niezmiernie miły dla jego ucha szelest. Dwukrotnie już tego popołudnia ścigający podjeżdżali do niego tak blisko, że dawali ognia ze swych karabinów. Cóż by się stało z jego piętnastoma tysiącami dolarów - myślał - gdyby dosięgła go jedna ze skierowanych w jego stronę kul?

Zdecydował w końcu, że musi dokonać jakiegoś rozpaczliwego lub też nadzwyczaj przebiegłego czynu. Zdążające jego śladem konie zdawały się być niezwykle wytrzymałe, a noc, która by okryła góry ciemnościami, była jeszcze daleko.

Przy następnym zakręcie drogi Borgen dojrzał nastroczającą się do tego czynu sposobność. Do tej chwili wspinali się wciąż w górę, ale obecnie szlak stawał się tak stromy, że konie mogły postępować tylko stępa. Zarośla krzaków jałowcowych i karłowate sosny rosły coraz rzadziej.

Chociaż powietrze było tu zimniejsze, jakby rozrzedzone, gdzieś tam migają jeszcze wśród trawy motyle i do uszu Borgena dochodziło brzęczenie pszczół. Czerwiec się kończył i słońce przygrzewało codziennie silniej. Ale mimo nadchodzącego lata, w jednym miejscu zachował się jeszcze most ze zlodowaciałego śniegu, łączący łukowatym sklepieniem oba przeciwległe brzegi rzeki.

Zimą gruba powłoka lodu i śniegu pokrywała całkowicie rzekę Crispin, równając ją z brzegami; teraz jednak ciepłe wiatry, częste deszcze, a nade wszystko gorące promienie słońca stopiły śnieg i lód załamał się tworząc zaledwie w kilku miejscach jakby łukowate mosty. W górze i w

dole rzeki, o ile Borgen mógł sięgnąć wzrokiem, nie pozostawał już żaden z podobnych mostów, oprócz jedyne leżącego przed nim. Wszystkie inne pospadały w nurty rzeki Crispin, która płynęła wąwozem tak głębokim, że głośny jej szum dochodził do uszu Borgena dalekim echem. Gdyby mógł przebyć ten most, a potem zniszczyć go za sobą, powstałaby między nim a ścigającymi go przeszkoda, którą by nieprędko przewyciężyli.

Borgen zatrzymał się i zeskoczył z konia. Zniszczenie tego sztucznego mostu nie nastęczałoby większej trudności i tak w kilku już miejscach był on prawie przezroczysty, a z długich sopli, które zeń zwisały, stale kapła woda. Aby rozbić go na kawałki, wystarczyłoby zepchnąć na niego jeden ze sterczących wokoło złomów skalnych. Czy wytrzyma jednak ciężar jego ciała nie mówiąc już nawet o wadze konia?

Posępnie obejrzał się Borgen poza siebie. Pościg się zbliżał, a każdy z jeźdźców gorączkowo przynaglał swego konia do biegu, jak gdyby czuł, że nadchodzi moment decydujący. Nie było czasu do stracenia, Borgen ryzykował już swe życie wielokrotnie, więc musi to uczynić raz jeszcze - oto wszystko. Wziął konia za cugle i poprowadził naprzód. Mądre zwierzę parsknęło i opierało się, strzygąc uszami na widok otwierającej się pod nim przepaści, ale Borgen przemówił doń i szarpnął je ostro.

Wchodząc na ten zaimprovizowany most, zacisnął zęby. Stwardniały śnieg chrzęścił mu pod nogami, wydając podejrzone odgłosy. Starał się stąpać możliwie prosto i pewnie. Przechodził teraz przez najniebezpieczniejsze miejsce i jeden fałszywy krok groził runięciem w otchłań. Z całej siły ciągnął za uzdę konia, który drżał na całym ciele i opornie postępował za nim. Ale kiedy bezpieczne miejsce zdawało się być

już tylko o krok przed nim, most nagle zakołysał się gwałtownie i usunął mu się spod nóg.

Koń cofnął się, przysiadając na zadnich nogach i wyrwał cugle z rąk swego pana. Borgen dał olbrzymi skok naprzód, nie czując już pod nogami żadnego oparcia. Upadł na twarz, schwycił się wystającego odłamu skały i dźwignął w górę. Zaledwie zdążył stanąć na nogach, gdy cały ten ogromny zwał śniegu oderwał się od urwiska i spadł do rzeki. Borgen był ocalony. Szalony wysiłek tak go jednak wyczerpał, że osunął się na kolana i czoło pokryły mu lśniące krople potu. Usłyszał łoskot rozpryskującej się w nurtach rzeki lawiny śnieżnej i, odetchnąwszy głęboko, obejrzał się za swym koniem.

Szczęśliwym trafem zwierzę zdołało dostać się z powrotem na przeciwległy brzeg i teraz przerażone nie mniej od człowieka zagłada, której ledwie uniknęło, dygocąc opierało się o skałę. Dzielili ich dwudziestopięciostopowa przepaść. Borgen był pozbawiony wierzchowca i, co gorsze, utracił swą zdobycz. Piętnaście tysięcy dolarów pozostało w torbie przytroczonej do siodła. Spazm wściekłości i żalu wstrząsnął bandytą nieomal do łez. Jeszcze chwila, a ścigający go dokonają połowy swego zadania.

Tej myśli Borgen nie mógł znieść. Wyciągnął rewolwer i wycelował. Ręka drżała mu jak liść, tak iż musiał ją podtrzymywać lewą dłonią, aby móc wypalić. Szczęśliwy strzał! Rzemień, który przytwierdzał torbę do siodła, został przecięty, a torba zlatując uderzyła o nogi konia i potoczyła się w otchłań. Na krótką - jakże pełną napięcia - chwilę utknęła w zagłębieniu skały, lecz znikła nareszcie w nurtach rzeki.

Zanim Borgen ochłonął z wrażenia, usłyszał świst kuli i echo strzału.

Pościg dotarł do przeciwległego brzegu i teraz każdy z jego członków mierzył w Borgena z karabinku, wydając gniewne okrzyki rozczarowania. Borgen pogroził im pięścią i począł uciekać, jak kozioł przemykając się między skałami, dopóki nie wyrósł za jego plecami mur ochronny ze złomów; wtedy zwolnił kroku, starając się nie myśleć o niepowodzeniach, które go spotkały tego dnia.

Jednej klęski przynajmniej los mu oszczędził; przy porzuconym koniu nie pozostało nic, co by mogło go zdradzić, a nikt nie widział nigdy przy popełnianiu przestępstw jego odsłoniętej twarzy. Mogli tylko powiedzieć o nim, że był wysokim człowiekiem. Rzeczywiście mierzył około sześciu stóp. Czarna maska, którą zawsze nosił podczas wypraw, i podniecona wyobraźnia nielicznych świadków, na pewno obdarzały go paroma dodatkowymi calami wzrostu i kilkoma nadprogramowymi funtami tuszy. W przerwach zaś swej zbrodniczej kariery, kiedy prowadził spokojne, prawomyślne życie i obcował swobodnie ze swymi współobywatelami, nie padł na niego nigdy nawet cień podejrzenia.

Rozważając te pocieszające okoliczności, zwrócił nagle uwagę na odgłos osuwającego się śniegu. Obejrzał się niespokojnie i zobaczył biegnącego szybko człowieka, a za nim czterech innych.

Był to znowu pościg. Jeden ze ścigających zarzucił zręcznie linę na skałę wystającą po przeciwnej stronie parowu i, uczepiwszy się jej przebył otchłań drogą napowietrzną, po czym umocował linę, a czterej jego towarzysze poszli za jego przykładem, pozostawiając starszych i cięższych do pilnowania koni. Ścigający łatwo wytropili go, a teraz, zbliżali się szybko.

„Wszystko przepadło” - pomyślał Lew Borgen.

Liczył już blisko czterdzieści lat i chociaż w rękach posiadał siłę goryla, nogi służyły mu prawie wyłącznie do obejmowania konia. Zdawał sobie sprawę, że zwinni ludzie, dążący jego śladem, dopędzą go jak zgraja psów gończych, która ściga zziąjanego buldoga. Nie miał nawet możliwości stoczenia ostatniej walki twarzą w twarz. Uzbrojony był jedynie w marny rewolwer, tamci zaś trzymali w rękach karabiny. Gdyby się zatrzymał, przykłękliby i zasypaliby go strzałami.

Biednemu Borgenowi nie pozostawało nic innego, jak uczynić możliwie najlepszy użytek ze swych nóg, lecz były tak wykrzywione ustawicznym siedzeniem w siodle, że w biegu odmawiały posłuszeństwa. Posuwał się jednak naprzód w górę wąwozu, który się gwałtownie zwężał. Miał poczucie, iż wpędzają go w pułapkę. Płuca rozpierał mu brak tchu, ogarniała go taka rozpacz, że nie dbał już, gdzie się ta pogoń zakończy. Wkrótce minął zakręt w parowie i ujrzał dalszą drogę zamkniętą. Przed nim wznosiła się niemal prostopadła góra, pokryta tu i ówdzie złodowaciałym śniegiem. Ostatecznie można było ryzykując życiem wspiąć się na górę, gdyż na jej zboczu piętrzyło się rumowisko kamieni najróżnorodniejszych rozmiarów. Zaczął więc wdrapywać się na górę, ale przebiegł po nim przykry dreszczyk na myśl o kuli, która lada chwila utkwi w jego ciele.

Rozdział II

NIEBEZPIECZNA PRZEPRAWA

Borgen czuł się teraz swobodniejszy aniżeli podczas biegu, miał bowiem sposobność posługiwania się swymi długimi, silnymi rękami i muskularnymi ramionami, toteż wdrapał się na to urwisko jak marynarz na maszt. Nie śmiał zatrzymać się ani na chwilę, by nie myśleć o swym

przedsięwzięciu. Głównym jego oparciem były okrągłe kamienie, grożące co chwila stoczeniem się, nogi zaś wciskał w najmniejsze szczeliny skały. Z początku przeprawa wydawała mu się beznadziejną, ale teraz, kiedy posuwał się coraz wyżej, zaczął przemyśliwać, czy los nie przyszedł mu przypadkiem z pomocą nad samym brzegiem przepaści i, czy wymykając się tylokrotnie z okrążającego go pierścienia, nie zdoła wygrać raz jeszcze? A nuż jutro będzie samotnie gotował kawę nad ogniskiem śmiejąc się z tej przygody?

Rozważał właśnie tę przyjemną możliwość, kiedy z dołu doszedł do niego dźwięk głosów. Wiedział dobrze, że to ścigający dobiegli do stóp urwiska. Zaczął dyszeć ciężko, gdyż w każdej chwili spodziewał się usłyszeć świst kul. Para brunatnych skrzydeł musnęła mu twarz. Nie zauważył ptaka, gdyż pot zalewał mu oczy. Jakimże boskim darem było obdarzone to skrzydlate stworzenie, aby móc tak wędrować swobodnie w powietrzu, nie zważając na strome ścieżki i ściany skalne!

Borgen słyszał teraz słowa brzmiące głucho, jakby z głębi studni.

- Czyżby ukrył się w środku góry? - wołał jeden do drugiego. - Siad tutaj się kończy.

- Rozbiegnijmy się na wszystkie strony. Przecież nie zmienił się w kamień. Może ten wariat ukrywa się gdzieś za krzakami.

Borgen zrozumiał, że nie przyszło im na myśl podnieść głowy, aby zbadać powierzchnię urwiska, tak nieprawdopodobne wydawało się, by ktokolwiek odważył się wdrapać na prostopadły mur. Uniesiony radością piął się dalej, stawiając ostrożnie nogi, gdyż teraz każdy strącony kamień oznaczał śmierć. Po ich głosach i słabym brzęku ostróg wywnioskował, że istotnie rozbiegli się we wszystkie strony i coraz mniej było możliwości,

że go dostrzegą.

Posuwał się z niesamowitą zręcznością. Wierzchołek był już blisko. Borgen dotykał niemal krawędzi urwiska. Nareszcie z ulgą przekroczył szczyt. Niestety - był to tylko odłam zbocza; pozostawało jeszcze dobrych dwadzieścia stóp do przebycia. Potężne jego ramiona pod wpływem wysiłku drżały boleśnie.

Z tego stosunkowo bezpiecznego miejsca spojrzął w dół.

Zakręciło mu się od razu w głowie. Chyba tylko ptak mógłby się utrzymać na sterczących kamieniach, które mu służyły za punkt oparcia. Ogarnęła go dziwna niemoc, przywarł więc ciałem do skały, ale to co uważał poprzednio za niemal wygodne miejsce wypoczynku, zdawało mu się obecnie tylko częścią prostopadłej powierzchni skalnej. Jedynie obawa, że strach odejmie mu wszelką moc, popchnęła go naprzód.

Posuwał się więc znowu w górę, lecz już bez nadziei, gdyż ręce w przegubach i łokciach zesłabły mu tak, że z trudem czepiał się skały, czując, że siły go opuszczają. Wzdrygał się za każdym razem, gdy musiał podnieść się wyżej. Przepelził jednakże więcej niż połowę przestrzeni, dzielącej go od wierzchołka, kiedy nagle wydarzyła się katastrofa. Spod jego prawej nogi obsunął się kamień i spadł z łoskotem w dół. A właśnie teraz należało się spieszyć, bo już nieznaczna odległość dzieliła go od szczytu urwiska i wystarczyłoby kilka śmiałych ruchów, by się znaleźć w bezpiecznym schronieniu.

Opanował go strach. Wisiał na drżących rękach a w ramionach czuł niepokojący skurcz. Przerazenie tamowano mu oddech, począł się dusić i z trudem łapać powietrze.

Wtem coś ciężkiego przeleciało tuż obok jego twarzy i ostry

odłamek skały uderzył go w policzek, utkwivszy w ciele aż do kości. Sprawiało mu to ból tym dotkliwszy, iż nie miał wolnej ręki, aby móc wyjąć odłamek. Huk strzału odbił się echem po górze.

Jakby na skinienie czarodziejskiej laski znikł strach i minęło osłabienie, Borgen z nadludzką szybkością przerzucał się teraz z jednej ręki na drugą. Tak był pewny siebie i swych sił, że nawet huśtał się z boku na bok, aby udaremnić cel strzelcom z dołu.

Wszystkie karabiny szczękały jednocześnie. Ścigający walczyli z dwiema przeszkodami: po pierwsze, usiłując trafić w ciemną postać pełznącą po ciemnym tle skał musieli spoglądać w górę, skąd biła oślepiająca jasność nieba, po drugie, widząc, że zbieg był już blisko osiągnięcia wierzchołka, za którym mógłby się bezpiecznie ukryć, starali się z gorączkowym pośpiechem trafić go. Staczając się ze zbocza zwały się bez życia do ich stóp.

Znaczyli więc kamienną powierzchnię śladami kul, lecz Lew Borgen podciągnął się do krawędzi urwiska, przerzucił nogi i znalazł się w bezpiecznym miejscu. Teraz dopiero wykonał obrót w tył i mrucząc przekleństwa wycelował w ich stronę rewolwer. Nie był dobrym strzelcem, ale jedna kula przypadkiem trafiła któregoś ze ścigających w nogę, przedziurawiając mu but na wskroś. Ranny zaczął skakać na jednej nodze, jęcząc z bólu. To rozprężyło nerwy Lew Borgena. Koziółkował po ziemi i krzyczał z radości, póki nie poczuł ostrego bólu w policzku. Wstał, wyciągnął z ciała odłamek kamienia, przez chwilę patrzył z zaciekawieniem na zaczerwieniony jego koniuszek, po czym zaczął się zastanawiać nad oczekującym go zadaniem.

Przede wszystkim powinien jak najprędzej dotrzeć do miejscowości,

gdzie by mógł zdobyć konia i siodło. Musi ukraść konia, bo jest przecież bankrutem!

Zamyślił się i zacisnął dłonie. Tak niedawno temu posiadał małą fortunę, a teraz zmuszony jest zostać koniokradem. To była jedna rzecz, której przysiągł sobie nigdy nie uczynić.

- Do licha! - wykrzyknął, wyciągając w górę długie ręce. - Ja nie będę kradł koni. Niech mnie złapią i powieszają, ale nie zniżę się do tego!

Decyzja ta nappełniła go poczuciem mocy i odwagi. Stąpał dużymi krokami naprzód, schodząc w ciemnościach zapadającej nocy w pustynię, która rozpościerała się pod nim już pogrążona w mrokach, choć wierzchołki gór jeszcze były oświetlone ostatnimi blaskami dnia.

Wydostał się na dolinę pokrytą falistymi pagórkami i między wzgórzami natrafił na fermę. Po krótkim błąkaniu się odnalazł szopę, gdzie przechowywano siodła, dostrzegł nawet w świetle gwiazd wysokiego wałacha, który mu bardzo przypadł do gustu. Lew Borgen nie chciał jednak łamać przysięgi. Zdawało mu się, że zawarł umowę z losem, szczęściem czy Bogiem - jakkolwiek się nazywa nadprzyrodzona potęga rządząca życiem - i że jeżeli powstrzyma się od kradzieży konia, los ocali go od zagłady.

Zadowolony z siebie wszedł cichaczem do domu, ukradł sporo zapasów żywności i nabojów, po czym znikł w ciemnościach nocy.

Rozpalił niewielkie ognisko w zagłębieniu między dwiema skałami, ugotował kawę, zjadł chleb ze słoniną i ułożył się do snu na piasku.

Nie potrzebował budzika, bo chociaż był na wpół żywy z wyczerpania, wiedział doskonale, że podświadomy instynkt, który nim kieruje - zbudzi go w razie zbliżającego się niebezpieczeństwa, i że sam

się ocknie, gdy nadejdzie czas do drogi.

Obudził się zanim zaczęło świtać, a gwiazdy jeszcze migotały na niebie. Nie spojrzął na zegarek, jakby to uczynił ktoś inny na jego miejscu, nie narzekał na chłód poranny ani na uporczywy ból głowy, lecz rozniecił ognisko, podgrzał pozostałą z nocy poprzedniej kawę, wypił jej taką ilość, która by odurzyła przeciętnego człowieka i wybrał się w dalszą drogę.

Ile czasu upłynie, zanim znowu będzie pił kawę? Nie mógł przecież nosić ze sobą garnka zabranego z fermy. Przygotował się z rezygnacją do drogi, a choć nigdy przedtem nie wędrował piechotą, maszerował jednak wytrwale i szybko przez cały dzień. Trzymał się wzgórz, na podobieństwo dzikiego zwierza, który przez czas dłuższy czai się między pagórkami, zanim się odważy wyjść na równinę, gdzie raczej przydają się zwinne nogi aniżeli siła.

Chodzenie męczyło Borgena, ale mimo to maszerował aż do zapadnięcia zmroku. Szedł już wiele godzin i chociaż marnym był piechurem, przebył sporo mil. Nagle, wczesnym wieczorem padł na twarz jakby rażony kulą, gdyż zauważył po drugiej stronie pagórka czterech jeźdźców trzymających karabiny w pogotowiu. Mieli oni podniesione głowy, jak myśliwi tropiący zwierzynę.

Wjechali na sąsiednie wzgórze i stamtąd rozglądali się po okolicy, lecz nie dostrzegli Borgena leżącego od nich o niecałe 50 jardów. On zaś modlił się, żeby przypadkiem nie mieli ze sobą psów.

Po chwili sylwetki, wyraźnie zarysowujące się na jasnym tle wschodu, znikły w ciemnościach niby w czarnym jeziorze. Borgen, zdżony wielce, podniósł się powoli na kolana i klęczał przez chwilę, rozcierając obolałe nogi; wiedział, że owi ludzie nie polowali na zwierza,

lecz na człowieka, i że to on właśnie był celem ich łowów.

Nie chciał się jednakże tym, że udało mu się zmylić ślady. Jeźdźcy mieli doskonałe konie, zapamiętał dobrze wysmukłe i rasowe kształty tych małych koników, mogli więc przemykać się w nocy cicho i szybko jak groźne wędrowne wilki. Skoro na niego polują, to ani chybi, okrążą pagórek i ostatecznie pochwycą zbiega.

Borgenem oładnęła rezygnacja. Wspiął się na szczyt wzgórza, rozpałił ogień, aby się pogrzać, bo zimny wiatr dął z pokrytych śniegiem wierzchołków gór. Zdawał sobie sprawę, że sygnał ten sprowadzi niebawem prześladowców. Było mu już wszystko jedno. Zjadł bez zapału kolację i zapalił papierosa. Zdawało się jednak, iż płonące zuchwale ognisko widoczne z daleka nie nasuwało łowcom ludzi żadnych podejrzeń. Dopiero po upływie godziny głos jakiś przemówił z tyłu za nim.

- Spokojnie, Borgen, i nie odwracaj głowy.

Rozdział III

TAJEMNICZY SPISKOWIEC

Borgen wzniósł machinalnie ręce nad głowę. Nie odczuwał wzruszenia. Zdecydował się, że skoro będą go prowadzić do więzienia, opowie całą swoją historię - opuszczając kilka niefortunnych przygód, które skończyły się zabójstwem paru ludzi, i zaskoczy władze szczegółową listą swoich przestępstw. Wysłannicy pism będą się starali uzyskać z nim wywiad. Niedzielne dodatki zajaśnieją z jego przyczyny czerwienią, a niejeden z farmerów rozmyślać będzie, mrużąc: „patrzcie no! Więc to był jednak Lew Borgen?

- Spokojnie, Lew - mówił tajemniczy głos. Zdawał się zbliżać, chociaż nie było słycać odgłosu kroków. - Nie potrzebujesz trzymać rąk

do góry. Siedź tylko cicho i patrz przed siebie.

Borgenowi przyszło na myśl coś innego. Jakim sposobem nieznajomy mógł poznać go w ciemnościach? To chyba niemożliwe, żeby cały świat już o nim wiedział.

- Jakim sposobem dowiedziałeś się, że to ja zrobiłem? - mruknął Lew, opuszczając ręce i wyjmując z ust papierosa. - Kto twierdzi, że to Borgen wykonał robotę?

Głos odpowiedział szeptem, jak gdyby bezszelestnie stąpająca istota obawiała się, iż ktoś mógłby podsłuchać jej słowa.

- Nikt nie wie oprócz mnie, Borgen, jeśli by ktokolwiek inny wiedział, nie byłbym tutaj. Nie miałbym już wówczas pożytku z ciebie.

- Nikt oprócz ciebie? A kim u diabła jesteś?

- Może jestem twoim przyjacielem.

- Żaden z moich przyjaciół nie ma takiego głosu jak twój. Ale jeśli jesteś mi życzliwy, to, na miłość boską, pożycz mi konia, zanim tamci zauważą ognisko.

- Ognisko zupełnie nie zwróci ich uwagi - odrzekł głos.

- Czyżby byli pijani albo zaspani?

- Opowiem ci, jak było - odpowiedział tamten. - Z zagrody, oddalonej stąd o trzy mile, ukradziono pół godziny temu konia. Koń okiełzany i osiodłany znikł z zagrody. Dostrzegł to jeden z pastuchów i wszczął alarm. Zorganizowano pościg za koniokrądem.

Szeryf i chłopcy, którzy szukali złodzieja z banku dowiedzieli się o tym pościgu i przyłączyli się doń. Jakkolwiek koń wciąż jeszcze biegnie, nie ma już na sobie żadnego jeźdźcy. Uprawdający go ujechał zaledwie milę od fermy, potem zeskoczył z siodła i zaciął skradzionego konia

mocno. Koń nieprędko ustanie w biegu, chłopcom mało serca nie pękna, tak gonią za nim.

Przestał mówić i zachichotał cicho. - A wtedy - dodał - ja wróciłem do ciebie, Borgen, żeby ci powiedzieć, że skoro się prześpisz, będziesz mógł dosiąść mego konia i pojechać dalej.

- Ależ na litość boską - wymamrotał - Borgen - kim jesteś i dlaczego wprowadziłeś tamtych w błąd, żeby mi dopomóc?

- Nie troszcz się o mnie - odrzekł nieznajomy. - Uratowałem cię, bo chcę, żebyś mi służył. Widząc, że grozi ci szubienica...

- To kłamstwo! To, o co mnie oskarżają, nie wystarcza, abym miał zawisnąć na szubienicy. Chcesz mnie nastraszyć?

- Mówię prawdę. Kasjer umarł. Widok twojej broni wywarł wstrząsające wrażenie na jego słabym sercu. Umarł w pół godziny po opuszczeniu przez ciebie miasta. Sądzę, że za to samo powieszą cię. Jak myślisz?

- Nie wiedziałem - szepnął Borgen. - Nie wiedziałem o tym. Potarł dłonią twarz, bo mu dziwnie zmartwiała.

- No więc - rzekł - w jaki sposób mnie wykryłeś?

- Ja cię dawno wykryłem. Śledziłem cię i przypatrywałem się twoim metodom.

- Powiedzże, kim u licha jesteś?

- Jestem takim osobnikiem, który chce się zamienić w biznesmena, a interes, jaki chcę przedsięwziąć, leży w zakresie twojej działalności, Borgen. Dlatego też ocaliłem ci dzisiaj życie.

- Hm - mruknął Borgen.

- Śledziłem cię przez czas dłuższy, od dnia grabieży w Tuolome, aż

do tej ostatniej wyprawy.

- Co? A któż potrafi mi dowieść, że to ja popełniłem grabież w Tuolome?

- Ja, Borgen.

- To zasadzka, lecz nie dam się złapać. Będę milczał. Ach, jakżebym chciał spojrzeć na ciebie!

Tamten zaśmiał się.

- Widziałem całe zajście - powiedział - widziałem, jak ten człowiek upadł. Kiedy się przewracał, wyciągnął ręce i chwycił za półkę, którą zrzucił na siebie. Postawiłeś półkę na miejsce i ułożyłeś wszystkie rzeczy, jakie na niej leżały, zanim przeszukałeś jego kieszenie. Wyglądało, iż więcej cię obeszło zrzucenie tej półki niż zabicie człowieka.

Borgen nie mógł przez chwilę mówić. Wpatrywał się w ciemność. Uprzytomnił sobie wiele rzeczy. Zdawało mu się zawsze, że przyczyną, dla której nie znosił ujawnienia swych przestępstw, była obawa przed karzącym prawem, lecz zrozumiał teraz, iż nie chciał po prostu narażać się na wstyd. Jakże pragnął obrócić się i wpakować kulę w tego cicho mówiącego za nim człowieka, pozbywając się tym sposobem jedyne go naocznego świadka.

- Siedząc cię nauczyłem się kilku bardzo ważnych rzeczy - ciągnął dalej nieznajomy. - Nauczyłem się na przykład, że najlepiej nie mieć współników, jeśli nie chce się być schwytanym. Bo współnik zawsze jest skłonny wydać władzom towarzysza, jeśli sam się dostanie w ich ręce. Czy nie mam racji?

- Starasz się mnie wybadać?

- Stwierdzam fakty, nie zadaję ci pytań. Twierdzę, że trzeba działać

samemu. Dlatego też działałeś tak przez lat dziesięć i nigdy cię nie nakryli.

Borgen drgnął, potem zacisnął zęby i zaczerwienił się. Doprowadziła go do wściekłości myśl, że nieznajomy, kimkolwiek był, wiedział o całej jego przeszłości.

- Jednakże - mówił dalej człowiek - cały kłopot w tym, że działając na własną rękę, nie można dużo uzbierać. Przyjrzyj się sobie. Rabowałeś z pięćdziesiąt razy. Nigdy nie byłeś schwytyany, nigdy nawet nie dostrzegli twojej twarzy. Nie znam podobnego rekordu.

- Nikt inny tego by nie potrafił - odparł dumnie Lew Borgen.. - A ile pieniędzy posiadasz obecnie?

- Zdobyłem dużo.

- To nieścisle. Raz tylko udał ci się większy połów, ten ostatni. Poprzednie fuszerowałeś lub też dawałeś się skusić małymi stawkami. Brałeś wiele razy, ale dużo nie skorzystałeś. Nieprawdaż?

- Czy i o tym wiesz? - spytał Borgen sarkastycznie.

- Dowiodę ci tego, zanim skończymy tę rozmowę.

Po tej uwadze nastąpiła krótka cisza. Załopotały skrzydła puszczyka, lecącego niepokojąco nisko.

Nieznajomy odezwał się znowu: - Odsłonię ci plan, który wart jest milion.

Był to rzeczywiście osobliwy plan. Tajemniczy człowiek mówił powoli, ostrożnie, odpowiadając na pytania z niewyczerpaną cierpliwością, póki Borgen nie dowiedział, się wszystkich szczegółów. Nakreślił plan nowego systemu rabunkowego. Zważywszy, że pojedynczym osobom najłatwiej udaje się uniknąć odpowiedzialności, zwrócił jednak uwagę na fakt, że tylko przestępstwa popełnione przez

kilku wspólników przynosiły korzyść. Jedna lub więcej osób badają położenie „terenu”, dostają się do wewnątrz, a wówczas zjawiają się wspólnicy i razem wykonują dzieło, po czym cała banda umyka.

Zadaniem Borgena było zwerbowanie kilkunastu ludzi, opryszków umiejących posługiwać się bronią. Banda dostawałaby szczegółowe wskazówki, dotyczące miejsca i sposobu włamania czy rabunku. Łup byłby do podziału na osiemnaście - dwadzieścia części, z czego dwie otrzymywałby Borgen, a trzy organizator całej bandy. Tajemniczy nieznajomy, pragnący zachować swoje incognito, kontaktowałby się tylko z Borgenem, który spełniałby rolę łącznika oraz przynosił wpływy z rabunku.

Rozdział IV

PODSTĘP

Plan działania grupy przestępczej był jasny, a jednocześnie tak sprytny, że budził zdumienie. Borgen, który był indywidualistą i nie widział się w większej grupie, stwierdził teraz, że tylko taki system może zapewnić szybkie wzbogacenie się, a jednocześnie zmniejszyć ryzyko wpadki. Wódz, bo tak go już zaczął w duchu nazywać, miał głowę niewód parady!

Ze skrzyknięciem kilkunastu ludzi, zabijaków gotowych na wszystko, nie miał większych kłopotów. Chłopcy akceptowali ten oryginalny pomysł tajemniczego herszta, który zajmowałby się organizowaniem roboty, rozdzielał role i z daleka czuwał nad prawidłowym wykonaniem zadania. Godzili się również na taki podział zysków.

To dało Borgenowi do myślenia. Zaufanie, jakim obdarzono na

wyrost tajemniczego wodza, było mu jak najbardziej na rękę. Postanowił to wykorzystać. Zaświtała mu w głowie nader śmiała myśl. Przecież to on może być owym tajemniczym przywódcą! No i te w sumie pięć części - rzecz warta zachodu...

Na przeszkodzie w realizacji tego planu stoi tylko ten, ten... Szepczący, tak, to właściwe określenie dla tej bezszelestnie poruszającej się zjawy, o głosie szemrzącego strumyka. Ale jak każda przeszkoda i ta jest do pokonania. Wystarczy tylko zaskoczyć Szepczącego, wtedy Lew Borgen będzie mógł się wcielić w jego postać i zagrać osobiście rolę tajemniczego szefa bandy. Dla chłopców będzie nadal tylko wysłannikiem, powtarzającym rozkazy Szepczącego, na którego też będzie spadała całkowita odpowiedzialność w razie niepowodzenia. Nie jego by się czepiano, gdyby plan zawiódł...

Im dłużej się zastanawiał, tym bardziej podobał mu się ów pomysł. Udając się na spotkanie z nieznanym, zdecydowany był zupełnie. Poczekał między wzgórzami, aż czarne i nieprzeniknione ciemności zasnuły niebo. Pozostawił małego, śmigłego jak koza wierzchowca i w dalszą drogę udał się pieszo, zdjawszy poprzednio buty i włożywszy na nogi miękkie, bezszelestne mokasyny. Wyekwipowany w ten sposób, mógł podejść do swej ofiary znienacka. Kierował się w stronę ogniska płonącego na szczycie pagórka. Rozpalił je Szepczący.

- Taki mądry, a taki nieostrożny - pomyślał Borgen. - W tym sęk. Ci mądrzy panowie za dużo rozmyślają i to ich gubi. Są do niczego, gdy chodzi o opracowanie szczegółów. Ja jestem inny.

Borgen widział się już w marzeniach bogaczem. Po roku mógłby się wycofać do jakiejś odległej a spokojnej miejscowości.

Posuwał się naprzód, nieraz na czworakach, z rewolwerem w prawej ręce gotowym do strzału, opierając się czasami lewą ręką o napotymane wypukłości gruntu dla utrzymania równowagi. Chwilami zatrzymywał się i wpatrywał bacznie w ognisko, do którego zmierzał. Dookoła niego tańczyły cienie, niektóre padały od skał, ale jeden z nich musiał być cieniem nocnego gościa.

- Uważaj, Borgen - rozległ się nagle za nim złowrogi a znany mu szept. - Jeśli się odwrócisz - strzełę!

Borgen wzdrygnął się i stanął na równe nogi. Krew w nim pulsowała, a jednak czuł przejmujący chłód. W jednej chwili uprzytomnił, sobie swój nieczny postępek. W taki sposób chciał odpłacić swojemu dobrodziejowi za jego hojność! Za szlachetność płaci zdradą. Spodziewał się śmierci. Chciał się obrócić i stoczyć ostatnią walkę, lecz spokój tamtego przygwaźdżał go niejako do miejsca.

- Obcy człowieku - wykrztusił wreszcie przytłumionym tonem.

- Cicho, Borgen - odparł Szepczący. - Ja rozumiem. Spodziewałem się tego. Chciałem, żebyś to zrobił. Czy myślisz, że ceniłbym cię i szanował, jeśli byś wszystko wykonał na ślepo, com ci powiedział? Byłbyś głupcem, nie mężczyzną. Tylko tacy ludzie, którzy kombinują i starają się polepszyć swój byt, są mi potrzebni. Twoja myśl włożenia mokasynów dowodzi przezorności, Borgen. Podziwiam cię!

Borgen upuścił broń na ziemię i wykonując po pół obrotu odwrócił się całkowicie w tył, stojąc po raz pierwszy oko w oko z Szepczącym.

- W porządku - odrzekł tamten. - Nie lubię się pokazywać ludziom, ale ty i ja mamy się spotykać tysiące razy, więc powinieneś już teraz zacząć się przyzwyczajać do mnie.

Borgen chrząknął. Nie był dotąd pewny, co go czeka, ale zdawało mu się, że obcy dręczy go okrutną ironią i że w końcu wpakuje mu kulę w łeb. Wpatrywał się z takim natężeniem w postać stojącą przed nim, aż go rozboleły oczy. Ujrzał człowieka średniego wzrostu, o ramionach tak niezwykle szerokich, że wydawał mu się raczej krępy. Na głowie miał kapelusz z dużym rondem, twarz jego ukrywała się pod czarną maską, lecz poza tym niczym się nie odróżniał od setki innych cowbojów.

- Zapal papierosa - rzekł Szepczący. - Będziemy mogli swobodniej rozmawiać.

I dodał: - Ale naprzód podnieś broń i wsuń ją za pas. Tylko nie wyjmuj jej więcej, Borgen.

Borgen usłuchał. Zauważył z ponurym zdumieniem, że stojący przed nim człowiek schował już swój rewolwer do pochwy i nie troszczył się o wydobywanie go, ręką tylko dotykał jakby od niechcenia kolby kolta, podczas gdy on podnosił swój rewolwer. Rzekłbyś, że w tej niedbale zwiedzzonej - ręce tkwi moc, zdolna porazić niby piorunem. Z wolna podniósł rewolwer i wsunął go bezpiecznie za pas, tak jak mu nakazano. Była to kapitulacja. Nie potrafiłby już teraz działać na własną rękę. Szepczący poskromił go.

Skręcił sobie papierosa, a Szepczący uczynił to samo, ale tak zręcznie, że zapalał już zapalniczkę, zanim Borgen skończył zwijać tytoń. Borgen zaczął obserwować swego dowódcę. Zapalniczka migotała niebieskawo, nim się wypaliła siarka, a potem jasnożółty płomynek oświetlił Szepczącego wyłaniającego się z czarnego tła nocy. Wyglądał jeszcze szerszy w ramionach, niż to było widać po ciemku. Czarna maska zasłaniała całą twarz. Lecz pomiędzy brzegiem maski, a skrzydłem

kapelusza, widać było parę loków lśniących rudych włosów.

Serce Borgena drgnęło. Więc to był „Czerwony” Murray. Nie, to nie może być osławiony „Czerwoniak” - pomyślał zaraz. Przewyższa go wzrostem o dobre dwa cale. Zresztą „Czerwony” nie zdobyłby się na obmyślenie planu zakrojonego na tak wielką skalę. Ani by nie mógł odgadywać cudzych myśli tak jak Szepczący.

- Więc udało się świetnie? Zwerbowałeś ich wszystkich, co?

- Skąd u diabła wiesz już o tym? - zawołał Lew porywczo. Jasnowidztwo wodza przygniało go.

- To nie było trudne do odgadnięcia - tłumaczył mu dowódca. - Nie ma we mnie nic nadprzyrodzonego. Wiedziałem, że mój plan się powiódł, bo inaczej nie powróciłbyś z zamiarem zamordowania mnie. Kiedy cię ujrzałem prześlizgującego się po tym wzgórzu, zrozumiałem od razu, że składasz mi hołd, sam o tym nie wiedząc.

Borgen wzruszył ramionami. Wyjaśnienie nieznanego zdawało się na pierwszy rzut oka tłumaczyć wszystko, lecz im więcej się zastanawiał, tym bardziej znajdował to godnym podziwu. Taka mądrość była czymś straszliwym.

- Widziałeś, jak podkradałem się do ciebie z tyłu? - warknął.

- Wiedziałem, że przyjdiesz w ten sposób - odpowiedział tamten spokojnie. - To była przecież dla ciebie okazja szybkiego wzbogacenia się. Gdyby zaczęły wpływać dochody z rabunków, ty byś dostawał pięć części z osiemnastu czy dwudziestu...

Lew Borgen był zupełnie zmiażdżony. Miał dowód, że nieznanomy istotnie posiadał moc wglądania w cudze myśli. Bo czyż nie to było najtajniejszą przyczyną, która obudziła w nim zamiar zamordowania

wodza?

- Jakim imieniem mam cię nazywać?

- Jakim chcesz. Wolałbym pozostać bezimiennym.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że pomimo wszystko pragniesz w dalszym ciągu, abym pozostał w bandzie?

- Oczywiście - odrzekł Szepczący. - Czyż nie lepiej, Borgen, że tak jest, jak jest? Teraz znasz mnie trochę lepiej niż poprzednio. Jeślibym wziął innego człowieka, musiałbym znowu zaczynać wszystko od początku. To by kosztowało dużo czasu i zachodu. Nie cierpię pracy, Borgen, nie lubię się mozolić!...

Borgen odetchnął głęboko. Zdawało mu się teraz, że wstąpił na służbę do diabła i że podnosząc rękę na Szepczącego porwałby się na szatana we własnej osobie. Musiał jednak przyznać, że dziwny wódz ani razu nie strzelił, gwoźli zademonstrowania swojej zręczności i nawet nie podniósł głosu. A jednak rozstając się z Szepczącym odniósł wrażenie, że cały czas stał naprzeciwko wylotu gotowej do strzału armaty.

Rozdział V

WYZNANIE TIRRITA

Właściwie nic się nie zmieniło. Fala przestępstw, morderstw i grabieży nie zwiększyła się zgoła. Tu i ówdzie na przestrzeni pięciuset - albo nawet tysiąca mil zdarzały się zbrodnie, starannie przygotowane przez umiejętną i pracowitą rękę, a wykonywane przez jednego lub dwóch śmiazków, którzy wpadli do danej miejscowości, spełniali powierzone im zadanie i znikali bez śladu.

Czasami napadali w nocy, lecz bywało też, że pod osłoną masek, spełniali swoją misję w biały dzień. Nikt się nie domyślał, że istnieje

łączność między poszczególnymi zbrodniami, gdyż każda z nich wykonywana była inaczej.

Panowała opinia, że w ciągu sześciu miesięcy owego roku zdarzyło się więcej niż zwykle przestępstw. Oto wszystko.

Zawsze zdarzają się zbrodnie, które przez czas pewien osłania tajemnica. Policja ma czas. Cierpliwie znosi krytykę i wzgardliwe uwagi, ale kiedy nadchodzi odpowiednia pora, robi swoje. Nie ma ani orkiestry, ani sztandarów, aby podnieść ducha walki, lecz każdy z jej członków działa samotnie w mroku. Policja zatem wiedziała, że zaznaczył się lekki wzrost liczby nie wykrytych przestępstw, ale nie widziała w tym nic alarmującego.

Nikt by też nie odgadł, że działa nowa, niebywale sprawnie operująca banda, gdyby tego nie zdradził przypadek.

Pewien fermer, właściciel niezliczonych akrów uprawnej roli nad rzeką i wielu akrów nawodnionej przezeń pustyni oraz tysięcy krów, słowem człowiek bardzo bogaty, objeżdżając konno swoje dobra dostrzegł konia, a przy nim leżącego człowieka. Pomyślał, że jest to jeden z leniwych pastuchów, ucinający sobie poobiednią drzemkę, uderzył więc konia ostrogami i pogalopował do tego miejsca.

Percival Kenworthy (tak się zwał fermer) znalazł tam rannego mężczyznę. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że kula trafiła go w serce, ale w rzeczywistości przeszła między żebrami i utkwiała w kręgosłupie. Był nieprzytomny, a puls jego był zaledwie wyczuwalny - widocznie zbliżał się zgon. Kenworthy wydobył flaszkę i wlał trochę wódki do gardła umierającego, który po tym zabiegu otworzył oczy i zaczął z trudem łapać powietrze.

- Kenworthy - szepnął przerywanym głosem - posłuchajcie mnie. Jestem Tirrit. Zapytajcie szeryfa. On mnie zna... aż za dobrze. Umieram. Zabił mnie...

Nie dokończył jednak zdania, gdyż ponownie zemdlał. Kenworthy wlał mu do ust jeszcze jeden łyk wzmacniającego płynu. To poskutkowało; ranny Tirrit oprzytomniał znowu i ciągnął dalej swe opowiadanie.

- Zabił mnie Szepczący - wymamrotał.

- Cóż to za „Szepczący”? - spytał Kenworthy.

Oczy konającego zmatowiały. Czaiła się w nich rozpacz. Snadź uprzytomniał sobie, że nie zdąży wyznać wszystkiego.

- Wszystkie te grabieże... - zaczął mówić. - Włamanie do kasy ogniotrwałej w First National Bank w Deaconville... wielka kradzież w Lead City... dwadzieścia innych; to wszystko zostało dokonane przez tę samą bandę, którą dowodzi Szepczący. Byłem jednym z członków. Wykończyli mnie jednak. „Szepczący” mnie wykończył. Usiłowałem wykryć, kim on był. I wykryłem! Za to mnie sprzątnął. Jego nazwisko...

Głos mu się rwał. Słabnącą ręką starał się zbliżyć ucho fermera do swych sztywniejących warg.

- Prawdziwe nazwisko Szepczącego jest...

Jakie było to nazwisko - fermer nie dosłyszał. Tirrit odetchnął raz jeszcze i skonał. Kenworthy kazał sprowadzić zwłoki do miasta i powtórzył dziwną opowieść szeryfowi. Rzeczywiście, tak jak napomknął Tirrit, szeryf znał go aż za dobrze. Tirrit był młody. Nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat, lecz okazało się, że był doświadczonym przestępcą. Poza tym szeryf wiedział o wszystkim, co dotyczyło obrabowania kasy pancernej w First National Bank w Deaconville, jak również o kradzieży w

Lead City, lecz na wiadomości przyniesione przez fermiera zmarszczył brwi i jął kojarzyć strzępy znanych mu szczegółów.

Poprosił Kenworthy'ego, aby nic nie mówił o tym, co usłyszał od umierającego bandyty. Zbyt wiele rozgłosu mogłoby udaremnić wysiłki policji.

Następnie szeryf nawiązał kontakt z urzędnikami policyjnymi sąsiednich okręgów i stanów. Sam zaś pojechał do Lead City, a następnie do Deaconville i przy pomocy miejscowych władz jął prowadzić śledztwo. Chodziło o ustalenie, czy obydwie przestępstwa zostały dokonane według jednego systemu, co wskazywałoby na to, że działały tutaj jedne i te same ręce. Okazało się atoli, że obydwie metody różniły się całkowicie. Obmyślały je dwie zupełnie odrębne umysłowości.

Policja wiedziała, że większość kryminalistów nawet najzdolniejszych popełnia zbrodnie według ustalonego wzoru. Gdy raz im się uda, to w dalszym ciągu, aż do śmierci, naśladują swój pierwszy wyczyn. Tutaj jednakże wszystko wskazywało na to, iż oba przestępstwa były zaprojektowane i wykonane przez rozmaitych osobników. Policja była w rozterce. Niektórzy wywiadowcy wyrażali otwarcie swoje powątpiewanie, co do szczerości przedśmiertnego wyznania Tirrita. Zdaniem ich to był tylko złośliwy manewr ze strony konającego, mający na celu przysporzenie kłopotów jakiemuś znenawidzonemu koledze po fachu, który go zastrzelił w konkurencyjnej walce.

Jedynym wynikiem starannie przeprowadzonego śledztwa było to, że wieść o nim rozeszła się daleko. Zresztą każda tajemnica ma to do siebie, że jest ulubionym tematem rozmów. Najbliższa plotka, jeśli jest opowiedziana szeptem, niezwłocznie zwraca uwagę.

Opowieść Tirrita podziałała podniecająco na przestępców wszelkiego rodzaju, którzy podawali sobie z ust do ust, że na wschodzie operuje jakaś słynna banda. Nie znano jej miejsca pobytu, ale pewnym było, że działała w górzystej i pustynnej okolicy, gdzie bogacz, Percival Kenworthy, założył fermę. Toteż właśnie do tej miejscowości zaczęły ściągać wszystkie asy świata przestępczego.

Po przybyciu na miejsce, nie znaleźli tam Szepczącego, gotowego ich zaangażować do swej tajemniczej bandy, ale spotkali znajomych. Zaczęli się organizować w trójki i szóstki. Porywali bydło. Rozpruwali kasy pancerne. Grasowali w miastach i na gościńcach. Fala zbrodni, której Szepczący tak starannie unikał, wezbrała w niespełna miesiąc po śmierci Tirrita. Okrutnym zrzędzeniem losu Percival Kenworthy ucierpiał przez nią więcej od innych.

Nie był on jednak człowiekiem, który by siedział spokojnie i patrzył beczynnie, jak zabierają mu setki krów, rabują jego pieniądze wysłane do miasta i terroryzują mu robotników. Postanowił wziąć sprawę w swoje ręce. Zwołał na naradę swoich sąsiadów, czołowych przedstawicieli kopalnianych okręgów, tartaków, ferm hodowlanych i okolicznych miast.

Pięćdziesięciu krzepkich obywateli zebrało się pod jego dachem na obiad, popijając whisky, zajadając smakowite potrawy, z których stół jego słynął, i spoglądając raz po raz na śliczną Różę Kenworthy, niedawno przybyłą do domu ze szkoły na Zachodzie. Przewodniczyła ona jednemu końcowi olbrzymiego stołu, a jej ojciec zasiadł na drugim.

Podczas obiadu mówiono wiele, a w rezultacie wybrano komitet, składający się z dwunastu najzdolniejszych członków, który to komitet miał się udać do szeryfa i żądać pozwolenia wzięcia udziału w

powstrzymaniu zbrodniczej ofensywy. Kenworthy, oczywiście, został powołany na prezesa komitetu i sam zgłosił się do szeryfa, ofiarując pomoc miejscowych obywateli w kampanii przeciwko Szepczącemu. Bo, od czasu, kiedy po raz pierwszy wymieniono to tajemnicze przezwisko, było ono ustawicznie w użyciu, jako spiritus movens każdego przestępstwa.

Gdyby Szepczący posiadał dwanaścioro wcieleń, to i tak nie mógłby się znajdować we wszystkich miejscowościach, gdzie go widywano. Posądzano go, ilekroć zdarzała się gdziekolwiek kradzież bankowa. Każdy napotkany człowiek z obrzmiałymi nogami i pięciodniowym zarostem dostawał się do aresztu, gdzie go poddawano badaniu trzeciego stopnia, na wszelki wypadek. A nuż okaże się, że jest hersztem bandytów.

- Nikt nie zdołał go wykryć - powiedział Kenworthy do szeryfa. - Ja proponuję, żeby zapomnieć o nim, a przedsięwziąć wielką obławę na zbrodniarzy w ogóle, tak jak się zarzuca niewód na ryby. Gdy się go wyciągnie, znajdziemy w sieci i największą rybę.

Powiedziawszy to, chrząknął znacząco. Kenworthy był wielce pompatyczny, nosił sztywny biały kołnierzyk nawet wówczas, gdy objeżdżał konno swe pastwiska, nawet w zaciszu domowym rozmawiał tak, jak gdyby wygłaszał ex cathedra mowę polityczną.

Szeryf jednakże nie uśmiechnął się. Kenworthy był zbyt bogaty i popularny, aby z niego kpić. Miejscowe pisma nie nazywały go inaczej niż „nasz znamienity sąsiad” lub „król hodowców”, albo „jeden z naszych najbardziej zasłużonych obywateli”. Wyśmiewanie się z takiego człowieka mogłoby narazić szeryfa na utratę pięciu tysięcy głosów przy następnych wyborach. Fermer bowiem posiadał w tajemnicy udział w trzech czy

czterech pismach, które stale wymieniały jego nazwisko. Szeryf zatem uznał Kenworthy'ego za delegata i upoważnił go w imieniu prawa do werbowania innych ochotników.

Z tą chwilą wyprawa przeciwko Szepczącemu nabrała wagi. Ze trzydziestu najbogatszych farmerów z tej okolicy zainteresowało się nią. Każdy z nich mógł dostarczyć kilku dobrze uzbrojonych ludzi na dobrych koniach.

Kenworthy znalazł się na czele setki tęgich, rezolutnych chłopaków, znających całą okolicę jak własną kieszeń, a wyznaczone nagrody w postaci trzymiesięcznej pensji za ujęcie któregokolwiek z bandytów, uczyniły ich zawziętymi jak psy gończe, tropiące napotkane ślady zwierzyny. Kenworthy nie orientował się jeszcze, co ma uczynić z tak liczną armią, ale należał do ludzi, którzy korzystają z cudzych rad wówczas, gdy są przekonani, że sami ich udzielają. Gdyby zamyślił budowę drapacza chmur, udałby się do jakiegoś znanego architekta i póty by mu opowiadał, jak się zapatruje na budownictwo, aż rozgniewany fachowiec, w celu samoobrony wypowiedziałby kilka istotnych prawd dotyczących tego tematu.

Toteż Kenworthy odwiedził wielu starszych ludzi, którzy w swoim czasie byli członkami podobnych komitetów i dowiedział się od nich, że najlepszą bronią jest - czujność. Kenworthy przyswoił sobie tę myśl, obdarzył nawet swoich ludzi mianem „czuwających” i rozesłał ich, aby czyścili okolicę.

Ale w sieci, którą usiłował zarzucić na cały okręg, zdarzały się luki. Tym niemniej stu bystrookich podwładnych pracowało dla niego i wyniki nie dały na siebie długo czekać, pomimo zastosowania przez

Kenworthy'ego wadliwych metod działania. Otóż złapali oni najprzód złodzieja, który porywał bydło, następnie schwytali koniokrada, wreszcie dostał się w ich ręce stary i doświadczony kasiarz. Chcąc wydobyć od niego zeznania, przywiązali go do drzewa i paty przypiekali mu nogi nad ogniem, aż zemdlął z bólu, a kiedy oprzytomniał, wypaplał wszystko, co wiedział. Dyktował im nazwiska i miejscowości z takim pośpiechem, że ledwo nadążyli je notować.

Następne trzy tygodnie tak wyczerpały jeźdźców i konie, że upadali ze znużenia, lecz za to zmniejszyła się liczba zbrodni w okręgu Kenworthy'ego. Więzienia zapełniły się aresztantami, a podróżowanie po gościńcach stało się tak bezpieczne, jak było groźne przedtem.

Równocześnie z zakończeniem tej wyprawy odbyły się wybory szeryfa w miejscowym okręgu, przy czym wobec powszechnego uznania zasług fermera Kenworthy'ego, wybrano go w ostatniej chwili na to stanowisko ogromną większością głosów, ku jego niezmiernej, radości. Dla uczczenia tej okoliczności, jak również na cześć wytępienia epidemii rozbojów i zbrodni, wydał Kenworthy wspaniały obiad w swoim fermerskim domu. Atmosfera była uroczysta. Biesiadujący wstawali jeden po drugim i wysławiali jego wielkość, nazywając go dobroczyńcą ogółu, aż twarzyczka Róży Kenworthy poróżowiała z zażenowania, a twarz jej ojca poczerwieniała ze szczęścia. W końcu nowo obrany szeryf powstał z miejsca i oświadczył, że nareszcie skończyła się era przestępstw i odtąd już nie będzie słychać o Szepczącym. - Bowiem, moi panowie - mówił fermer - gdzieś wśród tych łotrów schwytanych przez moich czujnych chłopców, na pewno znajduje się i ten arcybandyta, który ośmielał się grasować w naszym okręgu...

Nieomal powiedział „moim”, lecz uniknął tej śmieszności w ostatniej chwili.

- Szepczący umarł - ciągnął dalej - i nigdy już nie powstanie. Toast wypito wśród głośnych oklasków, tak hałaśliwych, że ciemna postać, która się akurat skradała do piwnicy nowego szeryfa, zatrzymała się i poczęła nadśłuchiwać, lecz wkrótce zaczęła posuwać się dalej. Dostawszy się do piwnicy uważnie badała okalający mur, posługując się kieszonkową latarką elektryczną. Słaby odbłask światła padł na zamaskowaną twarz. Mężczyzna badał ściany. W końcu wyciągnął cegłę i wsunął rękę w powstały w ten sposób otwór. Od razu rozległ się ostry trzask, po nim zaś nastąpił odgłos, jakby się coś otwierało na dobrze naoliwionych zawiasach, i duża część muru odsunęła się cicho na bok, odsłaniając wewnątrz błyszczący kształt stalowej kasy.

Zamaskowany człowiek obejrzał ją z największym zadowoleniem. Potem podniósł głowę i jał nasłuchiwać z widoczną satysfakcją hałaśliwych śmiechów. Przez otwarte drzwi od stołowego pokoju dochodził go nawet brzęk kieliszków. Toteż niechętnie zamknął za sobą drzwi do piwnicy. Wyjął sporą ilość szarego mydła, używanego przez gospodynie do szorowania, a dobrze znanego kasiarzom, którzy lepią z niego rodzaj rantu naokoło drzwiczek kasy pancernej, aby w ten sposób zapobiec rozlewaniu się nitrogliceryny. Spojrzał na kasę uważnie. Pomacał jej zaokrąglone rogi, jak gdyby podziwiał solidność wykonania i wytrzymałość stali odpornej na wszelkie narzędzia. Zakończywszy swe oględziny, zabrał się do roboty.

Rozdział VI

NA POLANCE

Wybuch był bardzo silny, choć niezbyt głośny. Cały dom zadrżał jakby podczas trzęsienia ziemi. Równocześnie usłyszano przytłumiony huk nie tylko w samym domu, lecz i na zewnątrz, bowiem każdy odgłos rozlegał się wyraźnie w przezroczystym górskim powietrzu. Wszyscy parobcy przebywający w swoich mieszkaniach pozrywali się na równe nogi. W stołowym pokoju na górze każdy gość i sam gospodarz zamarli w bezruchu, trzymając w ręku kieliszek lub cygaro. Ktoś z obecnych, kto za młodu był górnikiem, mruknął:

- To gdzieś głęboko!

- Wybuch! - krzyknął szeryf Kenworthy. - Czyżby to było...

Nie był w stanie się poruszyć. Jedna tylko osoba nie okazała wzruszenia. Była nią Róża Kenworthy. Zerwała się z krzesła i pobiegła do drzwi, przysłuchując się dalekiemu echu. Potem zwróciła się szybko do jednego ze zdziwionych gości:

- Bud Chalmers - zawołała przytłumionym głosem - to pochodzi z piwnicy, gdzie mój ojciec trzyma swoje... Chodźmy zobaczyć co tam się stało!

Musiał ją chwycić za ramię i powstrzymać w zapędzie, bo chciała iść pierwsza, woląc narazić się na ewentualne niebezpieczeństwo, niż siedzieć beczynn timer.

Lecz mężczyźni, oprzytomniawszy nareszcie, zbiegli po schodach, wpadli do piwnicy i ujrzeli szeroki ciemny otwór w murze. Przyniesiono karabiny i latarki elektryczne. Podłoga w piwnicy była literalnie zasłana papierami, drzwi kasy pancernej wysadzone z zawiasów, a wewnątrz puste. Żalony ten widok wydarł z ust szeryfa okrzyk bezsilnej wściekłości. Runął na kolana przed kasą, wznosząc do góry obie pulchne ręce. Byłby

coś powiedział, lecz smukła postać Róży stanęła przy jego boku.

- Ojciec - szepnęła mu do ucha, wsunawszy ręce pod jego ramię - patrz na ciebie, zachowuj się jak prawdziwy mężczyzna!

Kenworthy powstał. Z trudem powstrzymał wydobywający mu się z gardła krzyk i zwróciwszy się do swych towarzyszy, wskazał na boczne drzwi wiodące z piwnicy na dwór.

- Tędy uciek! - zawołał. - Dogońmy go - pięć tysięcy gotówką dam temu, kto w niego kulę wpakuje!

- Popatrzcie tutaj! - wykrzyknął ktoś.

Skierowano światło latarek elektrycznych na ścianę piwniczną i ujrzano na niej wydrapaną dużą literę „S”.

- Szepczący! - rozległy się głosy kilkunastu mężczyzn. - Ośmielił się to uczynić, podczas gdy my na górze...

Szepczący chciał z nich widocznie zadrwić. Właśnie wtedy, kiedy sławiono nowego szeryfa, kpiąc sobie z bandyty, on dowiódł, że nic go to nie obchodziło i włamał się do kasy szeryfa „czuwających” prawie w obecności ich wszystkich.

Wybiegli z piwnicy, dosiedli swych koni i wypadli z podwórza, rozjeżdżając się we wszystkie strony. Jeden z nich dostrzegł jakiegoś jeźdźca, na szarym koniu migającego w cieniu drzew. Krzyknął na niego, lecz tamten spiął konia ostrogami i pomknął dalej. Natychmiast ruszono w pogoń za nim, przynaglając konie do jak najszybszego biegu, ale uciekający zdołał dopaść do okolicznego lasu i zniknął w jego gęstwinie.

W tym czasie, jeszcze zanim wszyscy zdążyli się rozbiec, w piwnicy, gdzie znajdowała się rozbita kasa, zza niej właśnie wysunął się zamaskowany bandyta, który odważył się ubliżyć powadze szeryfa

Kenworthy'ego w jego domu. Spokojnie wyszedł on z piwnicy, skierował się do rosnącego w pobliżu domu zagajnika i dosiadł ukrytego tam konia. Oddalał się miarowym galopem pogwizdując cicho.

Co do członków pościgu, to pędzili oni naprzód z dziką wściekłością. Nic tak nie rozdrażnia, jak obelga wyrządzona człowiekowi ambitnemu. Każdy z tych ludzi chętnie by utoczył własnej krwi, aby tylko móc posłać Szepczącemu kulę za jego bezczelność. Wkrótce natrafili na ślad zbiega. Jedyne gęsta zasłona z drzew przeszkadzała im zasypać go kulami, gdyż znajdował się w odległości strzału. Dogoniliby go niechybnie, żeby nie to, iż pewno zawczasu uplanował sobie ucieczkę i teraz wciąż skręcał w coraz to inną ścieżkę leśną, co ustawicznie myliło kierunek ścigających.

Na samym przodzie galopowała Róża Kenworthy. Nie miała żadnej broni, nie wiedziała by nawet jak jej użyć, ale nie chciała pozostawać w tyle na tym polowaniu, o ileż bardziej podniecającym niż biegi za lisem, w - których dotychczas tylko brała udział. Z chwilą wyruszenia pościgu, osiodłała w mgnieniu oka swego gniadego wierzchowca, przeskoczyła dwa płoty i dogoniwszy ścigających w polu, wysunęła się naprzód, pomimo rozkazu ojca i nalegań jego towarzyszy, aby wracała do domu. Róża jako jedynaczka była przez wszystkich psuta, toteż ani myślała ich usłuchać, a pędziła dalej pokrzykując z uciechy i schylając głowę w prawo i w lewo dla ominięcia nisko zwieszających się gałęzi.

Nagle koń okulał: potknął się, niemal upadł i zwolnił kroku.

- No, teraz już musisz wrócić - krzyknął któryś ze ścigających, mijając ją w pełnym pędzie, co oczywiście odniosło ten skutek, że Róża postanowiła wytrwać w swym dotychczasowym zamiarze, chociażby

nawet miała iść piechotą przez całą noc. Zeskoczyła z konia i puściła go luzem, podczas gdy pogoń szybko ją mijała. Biedak, na pewno sam trafi do domu, a mniej się w ten sposób zmęczy, niż gdyby go prowadzić za uzdę. Wyruszyła w dalszą drogę z zaciśniętymi ustami i wzbierającym gniewem w sercu. Na dodatek nogi jej wciąż się zaplątywały w wystające korzenie, utrudniając posuwanie się naprzód. Dwukrotnie straciła równowagę i musiała się oprzeć na rękach, przy czym podrapała sobie skórę o chropowatą powierzchnię kory lub ostre kamienie.

Opanowała ją taka złość, że najchętniej chwyciłaby w obie ręce nawet góry i rozkruszyła je w kawałki. Kiedy się podniosła po powtórnym upadku, zatrzymała się, tupnęła nogą i zacisnęła piekące dłonie w bezsilnym uniesieniu.

- O! - zawołała - żeby tylko była mężczyzną, a nie taką, taką...

Nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa. Szła na przełaj po kobiercu z igliwa, wypatrując oczy w ciemności, ściskając kurczowo pięści; odgłosy pościgu już ucichły, lecz świadomość, że popełniła szaleństwo, zwiększyła tylko jej zawziętość. Doszedłszy do małej polanki w lesie, ze zdumieniem poczuła zapach papierosa. Obejrzała się dookoła w największym zdumieniu, lecz bez lęku. Uczucie to było jej dotąd całkowicie obce.

Znajdowała się w lesie, złożonym z olbrzymich żółtawych sosen, a światło księżyca przebijało się przez nie tu i ówdzie. Pnie ich były gładkie, bo gałęzie rosły dość wysoko, i ze swojego miejsca Róża widziała szeregi brunatnych kolumn oznaczonych srebrnymi plamami księżyca. Pomimo pozornej ciszy wszystkie gałęzie się poruszały, wydając jakby przytłumiony, widmowy szelest.

Mały strumyk płynął opodal, szemrzając wesoło, a gdy spadał z nieznaczej wysokości, tworząc szeroką kałużę, odgłos ten odbijał się echem po przeciwległej stronie dolinki, wywołując wrażenie, że szumi tam drugi wodospad.

Róża ponownie poczuła wyraźnie woń tytoniu, co natychmiast uśmierzyło wybuchy jej gniewu, zaczynała też na nią kojąco działać błogosławiona cisza górską.

Na razie nie mogła się zorientować, skąd ten dym pochodzi, aż nagle zobaczyła na wpół widoczną postać mężczyzny, siedzącego na dużym pniu. Wyglądał jak kamień lub zamyślany Indianin. Jedynie prawa ręka wykonywała powolny, wahadłowy ruch, podnoszący do ust papierosa, z którego unosiła się siwa smuga dymu. Był bez kapelusza. Głowę trzymał wzniesioną do góry, jakby patrzył na księżyc, rozlewający potoki srebrnego światła. Włosy miał czarne, gęste i tak długie, że niemal spadały mu na ramiona. Sprawiało to dziwne wrażenie.

Jego wygląd, zachowanie, długie czarne włosy, smagłość chudej twarzy - bo wyraźnie zaznaczyła się wystająca kość policzkowa i zapadłe policzki - wszystko przemawiało za tym, że to był Indianin. Ale Róża wiedziała, że nim nie był, zanim go nawet dobrze zobaczyła.

Nie poruszyła się ze swego miejsca po wejściu na polankę, lecz nieznajomy nagle zeskoczył z pnia służącego mu za siedzenie tak szybko, jak gdyby podrzucony sprężyną. Stał na równe nogi na wprost niej i zniknął za rosnącym obok drzewem.

Odczuła wówczas lęk. Wzruszyła jednak ramionami i starała się opanować nerwy. Potem przeszła przez polankę, a powodowana dziwnym odmuchem, usiadła na tym samym pniu, z którego nieznajomy powstał

przed chwilą, i jak on podniosła głowę do góry. Lecz nie wiaziia meoa ani księżycyca. Przymknęła oczy. Gdzieś w oddali słyhać było wrzawę czynioną przez pościg. Widocznie strome zbocza okalające dolinę, przez osobliwy wybryk natury, odbijały - tak jak lustra odbijają promienie - z odległości wszystkie dźwięki, które się następnie ześrodkowały specjalnie w tym miejscu. Ale jakim sposobem długowłosa nieznajomy mógł o tym wiedzieć? I gdzież był wówczas, kiedy pościg przelatywał przez tę właśnie polankę? Nagle poczuła, że czarnowłosa młodzian stoi tuż za nią, nieruchomy jakby wykuty z kamienia i śledzi ją spojrzeniem.

Rozdział VII

NADSLUCHIWANI

Róża teraz się naprawdę złąła. Miała wrażenie, że zalewa ją mroźna fala, lecz jak wszyscy ludzie bardzo odważni z natury, zareagowała na chwilowy przestach natychmiastowym czynem - zerwała się z pnia i okręciwszy się szybko dookoła, stanęła oko w oko z nieznajomym. Instynkt jej nie zawiódł - nieznajomy istotnie znajdował się tuż za nią, skrzyżował ręce na piersiach, jego czarne włosy spadały w kosmykach na opaloną twarz, bardzo szczupłą i dziwnie przystojną. Nie był małego wzrostu lecz miał tak wysmukłe dłonie i stopy, tak lekką postawę, że robił wrażenie szczególnie wątlego. Równie dobrze mógł mieć dwadzieścia dwa, jak i trzydzieści lat, bo wyglądał na jednego z tych ludzi, na których wiek nie pozostawia żadnego śladu.

Z chwilą gdy przyjrzała mu się, lęk ją opuścił, pozostało natomiast uczucie litości, że taka słaba istota żyje samotnie w lesie jak Indianin, bo choć wygląd jego przypominał czerwonoskórego, lecz miał regularne rysy i duże, szeroko otwarte oczy białego człowieka. Pomimo nieokreślonego

dreszczyku, jakim ją przejmował jego widok, zaniepokojenie jej wzrastało.

Był ubrany niemalże w łachmany. Nosił obcisłe spodnie z jeleniej skóry, według mody indiańskiej, poprzecinane w kilku miejscach. Na nogach miał mokasyny. Odziany był w kurtkę, której rękawy podarły się na strzępy, bowiem były obcięte aż do ramion i obnażały jego długie, wąskie ręce, tak samo jak i twarz opalona słońcem.

Gdy obejrzała go dokładnie po raz drugi, wydało się dziewczynie dziwne, że w ogóle zdecydował się powtórnie jej ukazać i podejść tak blisko. Założył ręce i patrzył na nią takim spokojnym i niewzruszonym wzrokiem, jak gdyby przypatrywał się jakiemu rzadkiemu okazowi rośliny lub dziwacznemu drzewu, a nie ludzkiej istocie. Róży zrobiło się nieprzyjemnie. Znikła litość, którą poprzednio odczuwała dla nieznanego. Zapomniała o okrywających go łachmanach, nie zwracała już na nic uwagi, widziała tylko jego duże, jasne oczy i pociągłą twarz o rysach ostro rzeźbionych.

- Na co oni polują? - zapytał ją. - Po co tak galopują w nocy? Czyżby robili obławę na lwa górskiego? Ale chyba nie osacza się lwa bez sfory psów?

Łatwość z jaką się wypowiadał, swoboda jego mowy, zadziwiły Różę; wskazywało to na umysł wykształcony, żeby zaś człowiek dobrze wychowany, prawdopodobnie nawet wysoce kulturalny, żył w ten sposób w lasach - wydawało się jej coraz bardziej zastanawiające.

- Ścigają złodzieja, który się włamał do domu mojego ojca - odpowiedziała mu.

Wyglądało, jakby nie zrozumiał jej przemówienia, bo okazał zgorznienie.

- Więc na człowieka polują? Czyż istnieją rzeczywiście ludzie, którzy ścigają drugich przez całą noc tak jak dzikie zwierzęta?

- Ale - czy tego nie rozumiecie? - powtórzyła. - Ten zbój dostał się do naszego domu i ukradł masę pieniędzy.

- I za to mają mu zabrać życie? Przecież nawet za milion dolarów nie można stworzyć nowego istnienia. Życia nie kupuje się na targu.

Pomyślała, że ma niedobrze w głowie.

- Czy przyjechaliście tutaj, aby spędzić lato na łonie natury? - spytała nagle, zmieniając temat rozmowy.

Zatrzepotał ręką. Róża nie wiedziała, czy chce w ten sposób potwierdzić jej przypuszczenie, czy też je odrzucić. Posiadała jednak spory zasób pewności siebie. Należała do rzędu dziewcząt, które z urodą i wdziękiem kobiecym łączą bystrość umysłu męskiego. Rozmawiała więc z nieznajomym tak, jakby to na jej miejscu czynił kowboy, terroryzujący wroga wymierzonym w niego rewolwerem.

- Gdy was zobaczyłam - oświadczyła mu szczerze - myślałam, że jesteście dzikim Indianinem.

Wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że jej zdanie nic go nie obchodzi, a Róża pomyślała, że zaczyna być znudzony.

- Przysłuchiwałem się nagonce - rzekł zimno. - Siedząc na tym pniu słyszy się niemal wszystko, co się dzieje w dolinie. Wszelkie odgłosy ziemi, dźwięki wydawane przez drzewa dochodzą tutaj niesione wiatrem. To samo bywa na brzegach doliny. Jest to rodzaj stacji podsłuchowej.

Przysunął się do pnia i oparłszy na nim rękę, podniósł do góry głowę, przybierając tę samą pozycję, w jakiej go ujrzała pierwszy raz. Przymknął oczy. Twarz mu złagodniała. Wyglądał teraz jak człowiek

pogrążony w głębokim śnie.

- No, teraz chyba słyszycie? - odezwał się dając jej znak, żeby się do niego zbliżyła. Pochyliła się nad pniem. Usłyszała szmer wiatru wśród sosen i ciche prychnanie wiewiórki, przebudzonej galopem jeźdźców nocy. Dochodził ją też jednostajny i melancholijny szum małego wodospadu. Uświadomiła sobie jednak, że człowiek stojący obok niej słyszy coś innego.

- Ten wilk, którego wycie słychać tam w dolinie - rzekł - to stara wilczyca. Ma ona tylko trzy pazury na lewej przedniej łapie. Jeszcze tydzień temu zagryzała cielęta na fermie Wilsona, urządzono na nią obławę i zapędzono ją w góry. Tymczasem wilczyca zdecydowała się powrócić.

- Czy przebywaliście w ranczu Wilsona tydzień temu?

- Byłem blisko.

Dziewczyna nic nie powiedziała, lecz zamyśliła się głęboko. Ferma Wilsona była oddalona o 180 mil, a przestrzeń tę stanowiły poszarpane i strome skały. Przebyć tę odległość pieszo, tak jak wskazywał na to wygląd nieznanego, wędrować po ostrych jak noże krawędziach, dotykać ich stopami obutymi jedynie w mokasyny - był to niezwykły wyczyn. Potem myśl jej powróciła do poruszonego poprzednio tematu. Nie usłyszała wilczego wycia, a chociaż wiedziała z jakiej strony ma ono dochodzić i natężyła słuch, nie mogła odróżnić żadnego odgłosu przypominającego niesamowite zawodzenie drapieżnika.

- O! - wyrzekł nagle nieznanomy - wrzawa pościgu przestraszyła ją. - Zaśmiał się cicho. - Ucieka co siłą, a wiadomo przecież, że wilk zwany „górskim lwem” potrafi biec prędzej od wiatru. Lecz teraz nabrała znowu

odwagi i powraca w dolinę. Posłuchajcie, jak to głupie zwierzę ostrzega mimo woli wszystkie istoty przebywające w górach o swoim nadejściu! Mówi im, żeby się chowały w nory lub uciekały na cienkie gałęzie, gdzie ich nie dosięgnie. Jak szczeka! Samo warczenie wilka, podobne do grzmotu, paraliżuje mniejsze zwierzęta. Poza tym tu w górach, echo rozlega się we wszystkich kierunkach, więc nie wiedzą z jakiej strony drapieżnik ich zaskoczy i często, chcąc przed nim uciec, wpadają mu wprost do paszczy.

Róża czuła się nieswojo. Sądząc ze słów nieznanego powietrze drgało od ryku, a jednak do jej czujnych uszu nie dochodził żaden dźwięk. Gdy mu to powiedziała, wziął ją za rękę palcami silnymi i chłodnymi jak stal. W dotknięciu tym nie było nic z niestosownej poufałości, ale ręka nieznanego wibrowała taką mocą, że zaczynało się rozumieć, iż człowiek ten jest zdolny do nadludzkiego wysiłku - mógł więc przebyć pieszo górską pustynię. Człowiek milczał, ale Róża odnosiła wrażenie, że powtarza: „Słuchaj! Słuchaj!”

Pomimo że obydwójce zamarli w bezruchu, Róża czuła, jak z tych chłodnych palców płynie jakiś prąd, rozszerzający zakres jej umysłowości i odświeżający wszystkie zmysły. Zapach zieleni wydał się jej przenikliwy a pełen słodczy, odczuła żywiej zimno górskiej nocy a wówczas, gdzieś w mglistych głębinach świadomości, usłyszała nowy dźwięk, który przejął ją dreszczem - dalekie żałosne wycie górskiego wilka, udającego się na łowy.

Nawet w porównaniu ze słabym szumem wodospadu, dźwięk ten był tak znikomy jak łagodne światło księżycy wobec oślepiającej jasności południa, a przecież brzmiał wyraźnie. Nieznajomy puścił jej rękę i oto

nagle ucichło wszystko. Usiłowała to tłumaczyć nagłym podnieceniem oraz przyśpieszonym biciem serca, ale musiała przyznać, że kryje się w tym coś nie dającego się ogarnąć rozumem. Chociaż Róża była praktyczna i trzeźwa jak mężczyzna, znalazła się teraz wobec zagadki nie do rozwiązania.

- Wilk posłyszał hałas pogoni - odezwał się nieznajomy. - Raz jeszcze zawył - słyszeliście? i zamilkł, skradając się zapewne po jakichś świeżych śladach.

Dziewczyna obserwowała go bacznie, lecz nie dostrzegła w nim znamion kabotyństwa. Był pełen prostoty. Zdawałoby się, że zwraca jej uwagę na jedno z okolicznych drzew.

- Jak długo żyjecie w ten sposób? - zapytała nagle.

- Nawet nie wiem - odpowiedział. - Chyba ze cztery lata, a może pięć lat...

- Cztery czy pięć lat! W tych górach!

- Tak.

- Nigdy o was nie słyszałam.

- Bo wszyscy żyjecie w dzień - odrzekł. - Dlatego też nigdy mnie nie spotkaliście. Z wyjątkiem handlarzy skór, jesteście jedyną osobą, z którą rozmawiałem przez cały ten czas.

- Nie dokucza wam samotność?

Zawahał się. - Poczulem się samotny po raz pierwszy dzisiejszej nocy, gdy was zobaczyłem, ale tylko na krótko. Zawsze się obawiałem, że prędzej czy później będę miał ochotę powrócić do ludzi. Kiedy śledziłem was zza drzew, zrozumiałem to jaśniej niż kiedykolwiek.

Słowa te zawierały ledwo dostrzegalny komplement, który ją

oczarował; czuła, że w miarę przedłużania się ich rozmowy, odnosi się do niego coraz przychylniej.

- Wtenczas postanowiłem wyjść z ukrycia i pomówić z wami. W przeciwnym razie, wróciłibyście do domu, opowiadając wszystkim o dzikim człowieku z lasu i zaczęto by na mnie polować tak jak na tamtego biedaka, Posłuchajcie! Strzelają. Może go osaczyli. A może stracili nadzieję pochwycenia go i strzelają na chybił trafił, chcąc go dosięgnąć.

Róża jęła się przysłuchiwać, ale nic nie usłyszała, była jednak przekonana, że gdyby ją tylko dotknął, rozróżniłaby doskonale echo dalekiej strzelaniny.

Rozdział VIII

NIE MA TAJEMNICY

Zapadło milczenie. Róża cofnęła się o parę kroków. Rozmyślając o sobie i nieznanym, doświadczyła nieznanych jej dotąd wzruszeń. Wzbierało w niej niepohamowane pragnienie dowiedzenia się o nim czegoś więcej, sięgnięcia w głąb jego serca, przeniknięcia jego tajemnicy. Inni mężczyźni bywali interesujący, lecz ten przedstawiał zagadkę, której nie umiała rozwiązać. Zachowywał się inaczej niż wszyscy. Inny mężczyzna nie mógłby pozostawać z nią tak długo w ciemnym lesie, oświetlonym tylko gdzieś tam srebrnymi plamami księżyca, bez prawienia jej słodkich słówek.

Nie cierpiała komplementów, może dlatego, że tyle ich ciągle słyszała; czasami pragnęła być brzydszą, aby mieć pewność, że była oceniana według swojej istotnej wartości, a nie jedynie dla ładnego ciała. Lecz w tym wypadku, nie było mowy o słodkich słówkach. Nieznajomy mówił z nią jak gdyby była mężczyzną. Musiała przyznać, że sprawia jej

to pewien zawód. Co się tyczyło pościgu za złodziejem, to straciła jakoś do niego cały zapał.

- Ale czy sądzicie - powiedziała - że ukazując się i odzywając do mnie, staliście się przez to mniej dziwnym? Czy przypuszczacie, że jesteście podobny do innych ludzi?

- Nie różnię się od nich niczym - zapewnił ją niemal z irytacją. Nie ma we mnie ani krzty tajemniczości.

Przerwał i dodał szeptem:

- Z tamtej gałęzi spogląda na nas mała wiewióreczka szelmowskimi oczkami. Zaraz do niej przemówię.

Zagwizdał parę taktów piosenki, która wydała się Róży znajomą. Przypomniała sobie, jak przez mgłę, że będąc małym dzieckiem, słyszała jak jej dziadek nucił coś podobnego. Kiedy ścichł gwizd, na dużej gałęzi rozległo się gniewne poszczekiwanie wiewiórki, po czym zapanowała znów cisza.

- Nikt nie może być samotny w takim towarzystwie - rzekł człowiek z lasu.

Podziw Róży wzrastał z każdą chwilą.

Ciągnął dalej spokojnym tonem: - Dlatego właśnie wyszedłem, żeby z wami pomówić i przekonać was, że jestem taki sam jak inni, tyle że nabrałem odrębnych przyzwyczajień. Przyszło mi na myśl, że może zechcecie mnie uchronić przed ludzką ciekawością i zachowacie w tajemnicy to nasze spotkanie. Sądzę, że możecie mi to obiecać, a ja w zamian odpowiem wam szczerze na każde pytanie, jakie zechcecie mi zadać. Bo wiem, że tylko te rzeczy, które są nam mało znane, pobudzają nas do gadania o nich.

- Nie mam prawa zadawać wam pytań; nie mam prawa zgłębiać waszego, prywatnego życia - odrzekła dziewczyna rumieniąc się.

- A ja nie mam prawa prosić was, abyście nie rozpowiadali innym ludziom, że spotkaliście dziwaka, żyjącego jak Indianin i zachowującego się jak idiota. Nie mam prawa powstrzymać was od skierowania na moje ślady ze dwudziestu jeźdźców i całej sfory psów - w imię mojego własnego dobra, dla umieszczenia mnie tam, gdzie będą o mnie dbać.

Skrzywił się boleśnie.

- A zatem - odezwała się Róża, wiedzona ciekawością żywszą od pożądania, jakie budzi widok zakazanego owocu - przypuszczam, że dobijemy umowy. Ja wam daję słowo, że nigdy nie Wspomnę o waszym istnieniu, a w zamian wy mi powiecie, kim jesteście i dlaczego tu przebywacie.

- To co powiem, będzie takie proste i zwyczajne, że może mi nie uwierzycie. Obiecałem przecie, iż dowiodę wam, że nie ma we mnie nic tajemniczego. Cała sprawa jest prosta jak drut i to bardzo krótki drut.

Skręcał sobie papierosa, powoli, kiwając głową, jak gdyby trudno mu było uwierzyć, że jego poprzednia osobowość, którą teraz wywołał z niepamięci, mogła istnieć w rzeczywistości. Wreszcie zapalił papierosa i zaczął opowiadać swoją historię.

- Mieszkałem w dużym mieście na Wschodzie - mówił jej. - Walczyłem z dwoma wrogami; z grożącą mi ruiną i początkiem suchot. Zostałem pokonany. Zrujnowany i chory znalazłem się w sanatorium. Po upływie sześciu miesięcy byłem już na tyle silny, że mogłem siedzieć. Doktor oświadczył mi, że potrzebny mi jest pobyt paroletni w czystym górskim powietrzu. „Ale obawiam się - dodał - że pańskie interesy nie

pozwolą na to”.

Słuchając jego słów, zdawało mi się, że jakiś ciężar spada mi z ramion. Przez cały czas trwania mojej choroby nękała mnie myśl, że będę musiał powrócić do - jarzma, a nie widziałem sposobu polepszenia stanu moich interesów. Nagle spojrzałem na to wszystko z zupełnie nowego punktu widzenia. Przecież to właśnie interesy doprowadzały mnie do ruiny. Czemuż nie miałbym się od nich uwolnić? Doktor radził mi wystrzegać się zdenerwowania. Było to wykonalne jedynie na pustyni.

No więc zaryzykowałem. Miałem jeszcze dosyć pieniędzy, aby opłacić przejazd w kierunku Zachodu. Dojechawszy do końcowej stacji, zakupiłem strzelbę, rewolwer, naboje, kilka łątwych do zastawienia pułapek, trochę kawy i chleba i z tym rozpocząłem nowe życie. Początek był ciężki. Nie wiedziałem jak polować, nie umiałem łowić ryb, rozstawiać sideł na zwierzynę. Musiałem znaleźć jakiś sposób, żeby się tego wszystkiego wyuczyć. Wpadłem na myśl obserwowania zwierząt i naśladowania ich w zdobywaniu pożywienia.

Jeżeli chciałem zdobyć mięso, to musiałem podejść jak najbliżej do upatrzonej zdobyczy, aby ją powalić celnym strzałem. W rezultacie, śledziłem je dzień i noc - głównie w nocy. Niebawem upodobniłem się do drapieżnych zwierząt. A wszystkie drapieżniki wychodzą na żer tylko nocą. Więc powtarzałem sobie w owych dniach - były to dni wielkiego głodu, ale i wielkiego szczęścia - jestem górskim lwem i muszę postępować jak on, tylko że nie będę tak nierozumnym, aby hałasować polując, a zamiast zębów i pazurów używam ołowianych kul. Poza tym muszę się przyjrzeć myśliwskim metodom górskiego lwa.

- Jakież do straszne! - wyszeptała dziewczyna i dodała zaraz - i

wspaniałe zarazem!

- Ale to nie lwy były moimi najlepszymi doradcami - ciągnął dalej. - Moim mentorem była wielka bura niedźwiedzica, posiadająca więcej mądrości w swoim starym łbie aniżeli wielu mężczyzn, których znam. Podążam w ślad za nią co roku. Gdy odnajdę jej ślad, to jakbym spotkał przyjaciela. I zawsze dowiem się dzięki niej czegoś nowego.

Jest rabusiem, to nie ulega wątpliwości. Mam zresztą wrażenie, że większość mądrych ludzi uprawia ten zawód. Napada na stada, ale tylko od czasu do czasu, wtedy gdy jej zabraknie pożywienia, zupełnie jak gdyby rozumiała, że niebezpiecznie jest grasować po terenach strzeżonych przez ludzi. Gdy upoluje jakąś sztukę i pożre ją, chowa się ze swoimi małymi w najwyższe góry, zadawałając się przez dłuższy czas owadami, korzeniami i zającami.

Nauczyłem się od niej tropienia i zacierania śladów. Wiedziała, że skradam się za nią i chytrze zacierała swój trop. Potrafiłaby wyprowadzić w pole nawet orła. Niekiedy ta zabawa pobudzała mnie do śmiechu. Olbrzymie zwierzę ważące pół tony potrafiło zniknąć z widnokregu, a ja przez trzy dni musiałem się mozolić, zanim je odszukałem.

Przestał mówić i zaśmiał się cicho.

Patrzała nań z podziwem. Ale on - rzekłbyś - zapomniał o niej, tak był przejęty opowiadaniem o misiu..

- Gdy zapadła w półroczny sen podczas pierwszej zimy mego pobytu w górach - mówił dalej - jeszcze dużo rzeczy pozostało mi do wyuczenia się. Ale praktyczne ćwiczenia i wypróbowywanie tych sposobów, które poznałem, zajęło całą zimę. Ona to wskazała mi na przestrzeni tysiąca kwadratowych mil najdogodniejsze mielizny dla łowienia ryb, we

wszystkich strumykach, stawach i jeziorach. Wykryła dla mnie okolice, gdzie leśne pszczoły najobficiej zbierają miód i pokazała tysiąc miejscowości, w których można tak poplątać swój ślad, że zdawał się rozplątać w powietrzu, podczas gdy samemu chowało się w niedostępnych kryjówkach. Nauczyła mnie mądrych zwyczajów czimpunków (zwierzątka podziemne, żyjące w tych okręgach), tak iż nigdy nie groził mi głód, o ile starczyło mi wytrwałości, aby się ich dokopać. Jeżeli chciałem mieć dobry obiad, to zabierałem ze sobą kilof i łopatę zamiast strzelby. Nie ma nic smaczniejszego od czimpunka upieczonego nad ogniskiem. Westchnął, jakby w tej chwili poczuł głód.

- Wiecie - powiedział - ta niedźwiedzica jest niezwykle czujnym zwierzęciem. Z początku myślałem, że potrafię ją naśladować, ale ona mnie także śledziła i takeśmy sobie wzajemnie zachodzili drogę.

- Boże! - wyrwało się dziewczynie - to znaczy, że ta straszliwa bestia polowała na was?

- Poniekąd - tak. Nie miałem prawa gonić jej i ona o tym wiedziała. Ale wkrótce przekonała się, że nie jestem do niej wrogo usposobiony. Przypuszczam, że mądra starucha była nawet bardzo zadowolona, wykrywszy, iż w pustkowiu przebywa ktoś, kto może nauczyć ją niektórych sztuczek, tym bardziej, że czuła się już słabsza, kości stawały się kruchsze, a mięśnie sztywniejsze. Daję słowo, że sto razy leżała w gęstwinie, patrząc jak rozniecałem ogień. I ze sto razy okrążała mnie, obwąchiwując podczas mojego snu.

- Nie umarliście ze strachu?

- O, już wtedy byliśmy przyjaciółmi. Milczącymi sprzymierzeńcami. Nieraz długo jej nie widywałem i nigdyśmy ze sobą nie próbowali

rozmawiać. Lecz utrzymywaliśmy kontakt. Niejednokrotnie śledziłem, jak wykopuje gniazdo czimpunków, połykając je w miarę ich ukazywania się na powierzchni, ona zaś obserwowала mnie gdym łowił ryby. Wskazywała mi najodpowiedniejsze stawy i strumyki, ale teraz już niechętnie trzodzi się rybołówstwem. Gdy ma ochotę na ryby, to odszukuje mój ślad. Wie dobrze, że zawsze pozostawiam dla niej na brzegu trzy czwarte mojego połowu. Pożywia się tym po moim odejściu.

Apetyt ma zdumiewający! W zeszłym roku myśliwi zrobili na nią obławę. Wymknęła się im, ale ją ciężko poraniono. Odnalazłem miejsce dokąd się schroniła ze swoimi małymi. Zdychały z głodu, bo była tak pokaleczona, że nie mogła się ruszać przez miesiąc. Polowałem, aby nakarmić całe towarzystwo, a choć zajmowałem się tym dzień i noc, używając strzelby oraz pułapek, starczyło to za ledwie na zaspokojenie jej pierwszego głodu.

- Jak to, zatem dosłownie żywiliście ją?

- Kładłem jedzenie w takim miejscu, gdzie mogła je dosięgnąć.

Dziewczyna milczała.

- Przybyłem tutaj jako bezradny głupiec - uczyłem się więc od zwierząt, jak zdobyć sobie pożywienie. Chroniły mnie one od samotności. Dzięki nim poznałem dokładnie góry. Dowiedziałem się, że najlepiej poluje się w nocy. Za przykładem pani niedźwiedzicy przyzwyczałem się spać od świtu do popołudnia. Wieczór i noc to najstosowniejsza pora do polowania. Oczywiście od czasu do czasu potrzebuję trochę pieniędzy na różne drobnostki, zwłaszcza na zakup broni i naboju. Więc w połowie zimy wyruszam w kierunku północy i łapię w potrzask lisy. Po dwóch tygodniach mam już dość skórek i udaję się z nimi do pierwszego lepszego

kanadyjskiego handlarza futer. Oszukuje mnie oczywiście, niemniej jednak zawsze dostane tyle gotówki, ile mi potrzeba.

Ludzie nie zadają mi żadnych pytań. Niewiele się różnią od Indian, którzy również przynoszą swoje łupy do wymiany. Handlarze futer nikogo nie badają, biorą skóry, ofiarowując za nie połowę lub nawet trzecią część ich wartości, ale to mi wystarcza i powracam znowu na południe. Chyba już teraz wiecie, kim jestem i z czego żyję. Ale możecie mi zadawać jeszcze dalsze pytania. Odpowiem na nie zupełnie szczerze.

Wypalił papierosa, zgasił go starannie i czekał, skrzyżowawszy ręce na piersiach. Lecz ona była zbyt oszołomiona, by móc od razu przemówić. To co nieznajomy uważał za zwyczajną opowieść, wydawało się jej najdziwniejszą historią, jaką kiedykolwiek słyszała lub czytała.

- Jeśli to wszystko - rzekł w końcu - no, to do widzenia madamoiselle.

- Zaczekajcie! Zaczekajcie - zawołała, widząc że zamierza się oddalić. - Czyż nigdy więcej już was nie zobaczę?

- Przecież zawarliśmy umowę - odrzekł.

- Że odpowiecie na moje pytania. Mam ich tysiąc do zadania, lecz w tej chwili wszystko mi wiruje w mózgu. Nie mogę na razie ich uporządkować. Ale jutro...

- Jutro już muszę być daleko.

- Dlaczego musicie odejść?

- Nieroztropnie jest polować za długo w tej samej miejscowości. Spędziłem tu dwa dni. Zresztą zachciało mi się miodu, a znam pewien zakątek niezbyt odległy, gdzie pszczoły się wyroiły w zeszłym roku. Tego lata będzie można sobie dobrze podjąć.

- Ale jeśli to niedaleko...

- Pięćdziesiąt mil. Cały dzień marszu na południowy zachód.

Zamierzał przejść pięćdziesiąt mil w ciągu jednego dnia, przedzierając się przez te góry! Spojrzała na niego ze zdumieniem. A jednak nie było to niemożliwe. Wydawał się jej z początku słabym i delikatnym, lecz w rzeczywistości był tylko nadzwyczaj lekki i sprężysty, posiadał jednak krzepkie mięśnie. Mógł iść z wilkiem w zawody.

- To się nie może tak skończyć - powiedziała wreszcie. - Muszę was raz jeszcze zobaczyć. Potem będziecie już wolni i udacie się dokąd chcecie. A do przyszłego spotkania ułożę sobie całą listę pytań, jakie pragnę wam zadać.

Zdawało się jej, że westchnął, potem milczał przez chwilę.

- Jeśli uważacie to za konieczne, nie mogę się wam sprzeciwić.

- Gdzie się spotkamy?

- Gdzie zechcecie. Ja przyjdę.

- Ale chyba z dala od osad ludzkich.

- To mi nie robi różnicy.

- Chodzi o to, aby nie wpadli na wasz ślad. Wzruszył ramionami i zaśmiał się cicho, po swojemu.

- Niedaleko by ich zawiódł ten mój ślad - odrzekł. - Jeśli niedźwiedzica, która waży tysiąc funtów potrafi całkowicie zatrzeć swój trop, tym bardziej potrafi to uczynić człowiek. Powiadam wam, że o ile z początku pani misiowa zadawała mi zagadki, których nie mogłem rozwiązać, ja teraz zadaję jej rebusy, wprawiające ją w zakłopotanie. Bardzo jestem z tego dumny!

Patrzyła na niego w milczącym podziwieniu, gdy wtem usłyszała szept:

- „Dobranoc”. Nieznajomy znikł bezszelestnie, chociaż stąpał po trzeszczących igłach sosnowych. Skierowała się zwolna w stronę fermy; wydawała się sama sobie ciężką i niezgrabną istotą w porównaniu z nieuchwytnym cieniem, rozplywającym się w mroku.

Zamiast iść prosto do domu, wiedziona jakimś dziwnym odruchem, zawróciła na prawo przez las i wspięła się na wzgórze, okalające polankę od zachodniej strony. Stojąc na tej wyniosłości, ujrzała cień przesuwający się wśród drzew o sto jardów od niej i schodzący ku dolinie. Był to człowiek, który biegł szybko, lekkimi krokami. Przypominało to miarowy a bezgłośny chód wilka, dążącego nieraz bez zatrzymania i znużenia przez cały dzień od świtu do nocy. Był to nieznajomy z lasu.

Nagle przyszło jej na myśl, że nie umówiła się z nim ostatecznie co do następnego widzenia i nie oznaczyła miejsca spotkania. Serce jej zamarło w raptownym przyływie żalu. Nigdy już nie powróci do niej i ta rozmowa będzie pierwszą i ostatnią.

Załamana po dziecinnemu ręce. Czuła się jak dziecko, któremu ukazała się wróżka, obiecująca spełnić każde życzenie, a ono było zbyt zaskoczona, aby móc je wypowiedzieć.

W pierwszym porywie chciała zaraz donieść o wszystkim ojcu, żeby rozkazał ludziom odszukać tajemniczego nieznajomego. Nie mogła jednak tak postąpić, wstrzymywało ją dane słowo, poza tym była przekonana, że najgorliwsze poszukiwania na nic się zdadzą, przysporzą

- 4JLWprawdzie wędrowcowi pewnego niepokoju, lecz nie doprowadzą do niczego. Siady jego, które - jak sam mówił - wprowadzały w błąd czujnego niedźwiedzia, na pewno udaremniłyby wysiłki najzdolniejszych myśliwych.

Teraz, patrząc przed siebie, dostrzegła, jak cień zsuwał się ze zbocza pagórka, w kierunku zachodu. W krótkim czasie przebiegł całą dolinę. Sylwetka jego zarysowała się wyraźnie na tle oświetlonego księżycem nieba, widoczny był nawet garb na jego plecach, utworzony zapewne przez sakwę, a srebrny odblask migotał na lufie strzelby, którą biegnąc trzymał w ręku.

W mgnieniu oka zniknął z widnokregu. Serce dziewczyny ścisnęło się dziwnym bólem i uczuciem pustki.

Rozdział IX

BUNT

Oberża Steffana słynęła w swoim czasie z ilości wypijanych tam kieliszków, a chociaż w całym kraju zapanowała prohibicja, niemniej jednak sporo starych i nowych klientów uczęszczało stale do tego zakładu, jak gdyby znęconych jego magiczną reputacją. Stawali przy szynkwasio, spijając z poważnymi minami wodę sodową i rozmaite dziwaczne napoje, zastępujące dzisiaj dawną, drapiącą w gardle, ognistą whisky. Rozwiązanie tej tajemnicy było bardzo proste.

Otóż zacny Mr. Steffan sprowadzał beczki przeróżnych alkoholi, które ukrywał w składziku za barem. Beczki te stały na samym brzegu ruchomej podłogi składziku, podtrzymywane specjalnymi klinami; wystarczyło tylko kliny wyciągnąć, a beczki wpadały, przez umyślnie w tym celu sporządzony otwór, do rzeki płynącej na dnie głębokiej przepaści.

Uzbrojeni stróże pilnowali cennych baryłek dzień i noc, gotowi zastrzelić każdego spragnionego amatora, zdradzającego chętkę ukradzenia smakowitego napoju, jak również ubiec wysłanników szeryfa, wrzucając baryłki z niedozwoloną zawartością do podziemnych głębin.

Chytry szeryf próbował dwukrotnie skonfiskować tajny skład, lecz mu się to nie udawało, a cały zapas marnował się w rzece, ku rozpaczy okolicznych wyschniętych gardzieli.

Imć Steffan łatwo przewycięzał swój smutek sprowadzając świeży transport przemytu o jeszcze silniejszej dozie czystego spirytusu, za co pobierał podwójne ceny. Mógł znowu dolewać do każdej szklanki niewinnej lemoniady porcję alkoholu, wystarczającą nawet dla najwytrawniejszego pijaka. Toteż zakład jego prosperował świetnie. Rozszerzył swój dom, dobudowawszy doń nowe skrzydło, i urządził w nim pokoje do gry. Przyjmowano go wszędzie, cieszył się bowiem ogólną popularnością.

Taki był stan rzeczy, kiedy w oberży Steffana zjawił się kowboy nazwiskiem Doran, przewany „Gębą”. Jego wygląd usprawiedliwiał ten przydomek. Nie miał jeszcze trzydziestu lat, ale przedwczesna łysina szpeciła czaszkę o wystających kościach, a nos jego, ongiś zadarty, został zupełnie spłaszczony przez ciężkie pięści podczas niezliczonych bójek. Kości policzkowe przypominały kształtem rumowiska skalne, usta - szparę obramowaną zeschniętą skórą, podbródek zaś, choć wielokrotnie zgruchotany, wysuwał się szpetnie naprzód.

„Gęba” chodził jak kaczką, bowiem nogi miał bardzo krótkie. Za pasem obciskającym wąskie biodra sterczał zatknięty rewolwer, ale sprawiał wrażenie ozdobnego dodatku, uzupełniającego ubiór. Prawdziwą broń „Gęby” stanowiły olbrzymie ręce, w przeciwieństwie do krótkich, krępych nóg. Wszystkie jego ruchy cechowała niezdarność; głową obracał z trudem, gdyż szyję miał niemal wrośniętą w ramiona niby małpa.

Doran wszedł do baru i stanął przy szynkwasiu, wlepiwszy wzrok w

podłogę. Oberżysta na próżno dopytywał się o przyczynę jego przygnębionej miny i próbował wciągnąć go w rozmowę. Ale „Gęba” był niewzruszony. Raz czy dwa podniósł swoje wodniste oczy i spojrzał na pozór bezmyślnie przez okno, unikając wzroku gospodarza. Pił, nie rozglądając się dookoła, jak gdyby ukradkiem, wychylając pół szklanki za jednym zamachem.

Opróżniwszy dwa wysokie kielichy whisky z wodą sodową, wyszedł powoli z baru i usadowił się na werandzie od frontu. Przez cały czas nie przemówił ani słowa, a teraz z lubością wystawiał nogi i dolną część ciała na działanie palących promieni rozżarzonego do białości słońca. Wtem na drodze wiodącej do oberży ukazał się jeździec, który na widok chłodnego ustronia spał ostrogą zmęczonego wierzchowca. Zatrzymał go przed werandą podnosząc tuman czerwono-brunatnego pyłu.

Doran obrzucił go zimnym i nieprzyjaznym spojrzeniem, lecz przybysz nie zwracał na niego uwagi. Można było przypuszczać, że ten wspaniały mężczyzna wstydził się wdawać w pogawędkę z taką pokraką jak Doran. Bo Jerry Monson był obrazem doskonałej męskiej urody; blondyn, uprzejmie uśmiechnięty, wysoki, zgrabnie zbudowany i bardzo przystojny. Wydawało się, że nie spostrzega nawet obecności Dorana, ale przechodząc mimo niego, przycisnął w szczególny sposób do swego boku trzy środkowe palce prawej ręki, jednocześnie wysuwając kciuk pod ostrym kątem.

Już zniknął za drzwiami, a Doran wciąż jeszcze patrzył przed siebie, jak gdyby się namyślał. W końcu powstał, ziewnął, przeciągnął się i skierował w stronę, gdzie stał jego koń. Odwiązał go i wdrapał się na siodło. Ruszył naprzód w szybkim tempie, aż dotarł do miejsca, w którym

ścieżka skręca raptownie na prawo. „Gejba” pojechał prosto na przełaj przez skały i w dół wąskim przesmykiem między dwiema górami.

Było to trudne przejście. Pokraczne drzewa rosły w coraz krótszych i rzadszych rzędach, a ponad nimi rozpościerały się zbocza gór porośnięte mchem, wśród którego gdzieniegdzie rozkwitały kwiaty o delikatnych pastelowych barwach, ulubione przez górskie pszczoły. Ale „Gęba” patrzył z roztargnieniem na piękne widoki. W pewnej chwili zauważył, że koń ustaje w biegu, uderzył go silnie ostrogami, aż na bokach wystąpiły krwawe plamy, a zwierzę parsknęło, przebiegło galopem do końca wąwozu i zatrzymało się u jego wylotu, zarywszy kopyta w żwirze.

Doran zsunął się niedbale z siodła, kiwając ręką na powitanie trzem czy czterem mężczyznom zebranych dookoła małego szałas, którego drzwi stały otworem. W tym szałasie za stołem siedział Borgen. Pozdrowił Dorana mruknięciem, tamten zbył go tym samym, po czym pochylił głowę w pewnej zadumie. Wiele nowych zmarszczek przybyło na twarzy Borgena od czasu, kiedy go ostatnio widziano. Można było przypuszczać, że drogo musiał okupić osiągnięty wreszcie dobrobyt i konto w jednym z banków na Zachodzie.

Czekano, aż się wszyscy zgromadzą. Oprócz Borgena, Jerry Mansona i Dorana, nadjechało jeszcze sześciu przybyszów, którzy się nazywali: Joe Montague, Sam Champion, Nick Oliver, „Srebrny” Lambert, „Mańkut” Anson i Pete Nooney. Pete zjawił się ostatni na spienionym deresz, jak zwykle gwizdząc wesoło, aby oznajmić o swoim przybyciu. Nawet najbardziej ponury uczestnik tego zgromadzenia bandytów nie mógł powstrzymać uśmiechu, kiedy gwizdek Pete’a zabrzmiał w oddali.

W końcu zebrali się wszyscy w szałasie i zasiedli dookoła stołu lub

porozkładali się na ziemi. Wieczór zapadł, na kominie rozniecono trzaskający ogień, który oświetlał wnętrze migotliwym blaskiem. Chwilami buchał płomień, zabarwiając twarz na czerwono, czasem zabłysły z kąta czyjeś białe zęby albo zalśniły w półmroku bystre, złe oczy.

Lew Borgen powstał z miejsca i powiedział:

- Chłopcy, zgaduję, że nie jestem pożądanym gościem. Ale posłyszałem, że mają się zebrać wszyscy za wyjątkiem mnie i to mi się nie podobało. Więc przybyłem. Jeśli w dalszym ciągu nie chcecie mnie widzieć pośród was, spodziewam się, iż ktoś z obecnych wstanie i wyjawi mi przyczynę. Jestem gotów wysłuchać rozsądnych argumentów i czekam, żeby się który odezwał.

To przemówienie brzmiało niemal pokornie, przynajmniej tak by się zdawało tym wszystkim, którzy znali gwałtowność cechującą olbrzyma. Zapadła cisza; każdy z zebranych spoglądał na swego sąsiada chcąc wyczytać z jego oczu, czy wskazać przywódcę spisku. Jednakże nie zaszła tego potrzeba, albowiem z najodleglejszego kąta wysunął się człowiek, który spomiędzy tych wszystkich był najmniejszy wzrostem i najgroźniejszy w bójce.

Sam Champion drobny, zwinny, czarnooki, czarnowłosy osobnik z niespokojnym wejrzeniem i zaostrzonymi rysami, przypominający łasicę, odznaczał się wytrzymałością i okrucieństwem, jakie znamionują tego małego szkodnika. Łasica potrafi nawet rzucić się na człowieka, jeśli stanie na jej drodze, gdy ona tropi jakiś ślad. Wiadome było, że Sam Champion oddał się kiedyś dobrowolnie w ręce policji, aby tylko móc zgnać jednego ze swoich wrogów. Był nieustraszony, a nie miał

skrupułów. Niepodobna było się w nim doszukać jakiegokolwiek przejawu dobroci, do czego nie miał zresztą żadnej pretensji. Istniał na świecie jedynie po to, żeby się bić, wszędzie gdziekolwiek mogła nadarzyć się ku temu sposobność.

Lew Borgen spojrział na małego strasznego człowieka z lekkim dreszczem.

- No i co, Sam? - zapytał.

- To ja zawołałem wszystkich - odrzekł Sam.

Przerwał, a jego małe oczka zabłyśły złowrogo, potem dodał uszczypliwie:

- Powód, dla którego nie zaprosiłem cię, Lew...

- Tego właśnie chciałem się dowiedzieć - powiedział Borgen.

- No, nie bardzo ci się to spodoba. Przyczyna, dla której nie zaprosiłem cię do wzięcia udziału w tym zgromadzeniu jest ta, że przypuszczałem, iż nie będziesz zadowolony, wiedząc, że zbieramy się dzisiejszej nocy tutaj, aby wykryć kim u diabła jest Szepczący!

Borgen potrząsnął gniewnie głową. - Sam, stary chłopie - rzekł nie mogę na to pozwolić. Dla waszego własnego dobra, nie mogę się na to zgodzić. Szepczący ciągle mi powtarzał, że wy, chłopcy nie powinniście się nigdy zbierać bez jego wezwania i tylko w celu obgadania naszych wspólnych spraw, a zapowiedział mi raz na zawsze, żebym nie dopuszczał do żadnej rozmowy o nim.

- My wszyscy zgromadzeni tutaj, jesteśmy najdzielniejsi z całej bandy - odpowiedział Sam Champion z odcieniem pogardy w głosie. - Czyż mamy się lękać nawet wspomnieć tego osobnika?

- Słyszę to nie pierwszy raz - odparł Borgen. - Wiecie co się stało z

Tirritem?

- Z kim mówiłeś o tym?

- Ty wiesz dobrze. Kiedyś ci o tym wspomniałem, gdy zauważyłem, że stajesz się krnąbrny. Przybyłem do ciebie i wypowiedziałem swoje własne zdanie o tym, co się przytrafiło Tirritowi. Byłem pewny, że Tirrit zginął, bo usiłował wytropić Szepczącego. Już przedtem kręcił się koło mnie, zadając mi moc pytań. Ostrzegłem go, że to niebezpieczna zabawa. Ale ten wariat nie dał się przekonać. Chciał koniecznie sam zbadać tajemnicę. Moim zdaniem tym, który zastrzelił Tirrita, był Szepczący we własnej osobie!

- Ale rozprawiam o rzeczach, o których nie powinienem mówić - dodał Borgen z widocznym niepokojem. - Bóg wie, który z was może się okazać szpiegiem Szepczącego.

- A nuż - odezwał się Sam Champion - jeden z nich jest samym Szepczącym!

Oświadczenie to wywołało poruszenie wśród zebranych.

Rozdział X

BORGEN OSKARŻONY

To przypuszczenie spowodowało ogólne podniecenie; bandyci zamieniali między sobą badawcze spojrzenia, lecz nic nie zdawało się potwierdzać podobnego podejrzenia.

- Nie! - rzekł Lew Borgen z całą stanowczością. - Mogę śmiało powiedzieć, że żaden tu z obecnych nie jest Szepczącym.

- Skąd wiesz o tym? - zapytał Sam Champion.

- Wiem na pewno.

- Skądże możesz być taki pewny tego?

- Jeślibyście choć raz zobaczyli Szepczącego, to zrozumielibyście mnie. Nie widziałem go nigdy w dzień ani też bez maski. Ale po pierwsze jest dziwnie zbudowany, jakby w kształcie trójkąta. A po wtóre bije od niego szatańska moc, która po prostu obezwładnia człowieka.

- Daj spokój, Lew. Nie mówiłbyś głupstw.

Borgen obrócił się do Championa. - Słuchaj, Champion - powiedział - jeśli przybyłeś tu, żeby podburzać przeciwko mnie i wywoływać zamieszanie a więc i bójkę, która jest twoim żywiołem - to się grubo pomyliłeś. Znam cię, Champion. Wiem, że jesteś skory do strzelania i strzelasz celnie. Ja ci w tym nie dorównam, a nie mam ochoty zginąć. Zamiast bić się z tobą, kazałbym chłopcom odebrać ci broń i wyrzucić za drzwi. Jeślibyś się potem jeszcze awanturował, to by zabili cię jak psa. Niejeden nie zawahałby się wpakować ci między żebra kilka ładunków ołowiu!

Ta niedwuznaczna i straszna groźba rozwścieczyła mniejszego mężczyznę. Zatrząśł się cały z uniesienia, a jego prawa ręka ścisnęła konwulsyjnie rękojeść kolta. Ale nie wy dobył broni. Wpierw rozejrzał się dookoła po otaczających go towarzyszach i to, co wyczytał w ich oczach, zastanowiło go.

Patrzyli na niego chłodno, uważnie śledząc ruchy jego ręki manipulującej rewolwerem.

Wiedział, co to oznaczało i przejęty był grozą, bo chociaż dałby sobie radę ze słabszymi przeciwnikami, wszczynanie walki z ludźmi tego pokroju byłoby szaleństwem. Przewyższał ich wprawdzie zręcznością, lecz nie do tego stopnia, aby dwóch spośród nich nie zdołało go pokonać. Champion z wolna opuścił rękę.

Lew Borgen ciągnął dalej swoje przemówienie.

- Ty zawsze byłeś wichrzycielem - oświadczył „Łasicy”. - Nic cię nie zadowala, póki istnieje gdziekolwiek możliwość jakiejś bójki. O, znam ciebie, Sam! Wiem w jakiej sytuacji znajdowałeś się parę miesięcy temu, wtedy kiedy spotkałem pierwszy raz Szepczącego i on zainicjował całe to przedsięwzięcie. Byłeś bankrutem. Tak nadużywałeś rewolweru i noża, że nikt już nie chciał zawrzeć z tobą spółki. Powiedziałem ci wówczas otwarcie: „Sam, stoczyłeś się na dno. Wiem dlaczego. Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Masz za ciężką rękę nawet dla swoich przyjaciół. Lecz ja ci dam sposobność wybrnięcia, gdyż cenię cię jako niezawodnego strzelca i wiem, że jesteś nieustraszony!” Powiedziałem ci tak i zaproponowałem to samo co wszystkim chłopcom. Zgodziłeś się chętnie.

Znajdowałeś się wówczas w krytycznym położeniu, jak zresztą i kilku innych. Nick Oliver był doszczętnie „spłukany”. Pete Nooney i Joe Montague także. Ja nie posiadałem ani grosza poza niewielką sumą, jaką mi ofiarował Szepczący. A co się następnie wydarzyło? Wy, chłopcy, uczyniliście zadość żądaniu Szepczącego. Uplanowano włamanie do fabryki. Kto wykonał pierwszą „robotę?”. Kto rozpruł pierwszą kasę pancerną? Szepczący zrobił to osobiście, aby wam dowieść, że potrafiłby dać sobie radę, jeśliby chciał, bez waszego współdziałania. Ale jak potem postąpił? Podzielił się łupem z wami. Każdy dostał swoją część. Dalej jeszcze, kiedy tu obecni „Srebrny”, Pete i Doran przepuścili cały swój zysk grając w karty, on zaopatrzył ich ponownie w gotówkę, a nawet kupił im konie, wydobywając ich tym sposobem z opresji.

Czyż nie postępował tak samo nadal? Żaden z was nie znał głodu w ciągu tego okresu. Wszyscy macie teraz pieniądze w kieszeni i niejeden

mógłby sobie zaoszczędzić ładny kawał grosza, gdyby tylko chciał. Dotąd sprawa była jasna. Nagle staracie się przyprzeć do muru Szepczącego, traktując go jak oszusta. Czy to rzetelne, Sam? Czy to lojalne postępowanie, chłopcy?

Cokolwiek by Champion zamyślał, widoczne było, że reszta towarzystwa nie podzielała jego zdania. Oświadczyli jednogłośnie, że są całkowicie zadowoleni z dotychczasowego udziału w spółce z nieznanym przestępcą i pragnęliby tylko, aby przedsiębiorstwo Szepczącego & Comp trwało w nieskończoność. Więc Sam Champion rozejrzał się posępnie dookoła, nie wiedząc dokładnie jaką postawę przybrać. A że nie wyładował wszystkich strzał ze swego kołczanu, więc wypuścił w tej chwili nową.

- Kto oprócz ciebie widział Szepczącego - zapytał Borgena.

- Nikt.

- Kto go słyszał mówiącego?

- Nikt, tylko ja.

- Kto wie o tym, czy jest stary lub młody?

- Sam nie jestem tego pewien.

- Kto ma pojęcie, jak on wygląda?

- Mówiłem wam, chłopcy, to wszystko, co zdołałem dostrzec; jest niezwykle szeroki w ramionach, ma rude włosy i średni wzrost. Nic więcej nie mogę powiedzieć. Powtarzałem to już wiele razy.

- Chłopcy - rzekł Sam Champion, umyślnie obracając się plecami do Lew Borgena - czy to nie dziwne, że Szepczący ukrywa się w ten sposób?

- Powiedziałem wam, co nim powoduje - mruknął Borgen. Champion podniósł rękę na znak, by mu nie przerywać zanim nie skończy

wypowiadać swojej myśli.

- Borgen chce nas przekonać, że dlatego Szepczący tak postępuje, bo nie ufa swoim współpracownikom. Lecz Borgenowi zaufałam, choć sądzę, że my wszyscy zasługujemy na zaufanie w tym samym stopniu co on. Dowiedliśmy tego przecież! Czy to nie zastanawiające, że Szepczący nie pokazał się nam nigdy, chociaż wie, jak bardzo go cenimy? I że po tylu miesiącach nie zjawił się ani razu, chociażby dla powiedzenia nam „hallo?”

Tamci przytaknęli w milczeniu.

- Jest to nader korzystną okolicznością dla kogoś - ciągnął dalej Champion - a mianowicie dla samego Borgena. Za każdym razem, gdy wykonujemy jakąś „robotę”, Borgen dostaje przy podziale dwie części łupu dla siebie. To dużo, lecz nie żałujemy mu tego. Później jednak zabiera jeszcze trzy części należące się Szepczącemu - którego nikt, poza nim, nie zna!

Zamilkł, jak gdyby akcentując swoje słowa, następnie zaś dodał pośpiesznie: - A przypuśćmy, że Borgen jest owym Szepczącym, czy nie byłoby mu na rękę pobierać całe pięć części?

Cios wymierzony był celnie, tym bardziej, że ta myśl samorzutnie nasuwała się każdemu z obecnych.

Nagły podmuch wiatru, niby niewidzialna ręka, zatrzęsła drzwi szalasu. Wszyscy mężczyźni podskoczyli i obejrżeli się za siebie, potem na Borgena w oczekiwaniu, co też on na to powie. Ale Borgen oniemiał. Podejrzanie tym bardziej go dotknęło, iż w swoim czasie rozważał podobną ewentualność. Fakt oskarżenia go o przestępstwo, które ongiś usiłował popełnić, odjął mu mowę. Zbladł pod badawczym wejrzeniem

zebranych. Uprzytomniwszy sobie, że ta bladość poniekąd zdradza go, mimo woli zbieleł jeszcze więcej. Próbował się uśmiechnąć, lecz nie mógł poruszyć wargami, a gdy zwilżył je końcem języka, zaczęły drżeć. Pot wystąpił mu na czoło.

- Chłopcy - wyrzekł słabym głosem - stawiacie mnie w trudnym położeniu. Czy wszyscy solidaryzujecie się z Samem?

Odpowiedziało mu głucho milczenie. Spoglądali na niego spode łba, pochyleni naprzód, obserwując bacznie wyraz jego twarzy.

- Słuchajcie - odezwał się nagle „Gęba”, jak gdyby uderzony nową myślą - czy to nie dziwne, że Borgen nie brał nigdy udziału w żadnej wyprawie, od czasu tych dwóch pierwszych, które według niego zostały przedsięwzięte przez samego Szepczącego. Każdy z nas musi po kolei pracować, tylko nie Borgen. On sobie czeka w ukryciu na rezultat naszych wysiłków i za to odbiera swoją podwójną część zysku oraz jeszcze trzy części, jak słusznie Champion zauważył. Sam, jestem bardzo zadowolony, że zwołałeś to zebranie, rad jestem także, że Borgen znajduje się tutaj i wysłuchuje naszej rozmowy!

Znowu zapanowała przerwa.

Wówczas drugi mówca odchrząknął, przygotowując się do wygłoszenia swego zdania. Był to Anson, duży, ociężały, kościsty stary zbój, nie mający równych sobie. Spędził około dziesięciu lat w różnych więzieniach, lecz pobyt tam nie zniszczył jego nerwów. Spowodował tylko, że z impulsywnego olbrzyma, zmienił się w ostrożnego lisa.

- Mówiąc o dziwnych sytuacjach - rzekł - ta, w której znalazłem się zeszłej nocy, była wyjątkowa. Powiedziano mi, żebym się postarał o najlepszego konia, jakiego tylko mógłbym dostać. Miałem stanąć z nim

koło domu nowego szeryfa, tej świni Kenworthy'ego. To wszystko czego się dowiedziałem. Borgen oświadczył mi, że wkrótce nadejdzie czas czyichś wskazówek. A gdy nadszedł czas, w domu powstał rwetes i wysypało się stamtąd pięćdziesięciu ludzi niczym szerszenie z gniazda. Dostrzegli mnie i dalejze gonić wzdłuż doliny do lasu. Zaledwie im uszedłem z życiem. Borgen, wiem, że czuleś do mnie urazę. Czy chciałeś się zemścić w ten sposób, szczując ich na mnie?

- Borgen - wtrącił Champion - jesteśmy wszyscy przeciwko tobie. Musisz nam pokazać Szepczącego, albo...

Borgen aż jęknął, w tak wielkiej znajdował się rozterce duchowej.

- Chłopcy - powiedział - pozostawiam to waszej rozwadze; miałem nieraz szczęście w swoich poczynaniach, ale czy przypuszczacie, że posiadam tyle rozumu, bym mógł uplanować to wszystko, jak uczynił Szepczący? A teraz druga rzecz: Champion, złą drogę obierasz, starając się „nakryć” Szepczącego. W ten sposób skończył Tirrit!

- Do licha! - wykrzyknął Champion - czy brałeś udział w zabójstwie Tirrita? Czy przyczyniłeś się do śmierci mojego przyjaciela?

Pochwycił rewolwer i spojrzał złowrogo na większego mężczyznę.

Rozdział XI

LOS CHAMPIONA

Nie było już mowy o odwołaniu się do współników przeciwko Championowi. Pozostawała kwestia, w jaki sposób starszy bandy mógłby uniknąć otwartego sporu, bo taka walka, wiedział dobrze, zakończyłaby się jego zgonem. Nie był nieudolnym strzelcem, ale brakowało mu tej wybuchowej nerwowej siły, która cechuje biegłego zapaśnika, nawykłego posługiwać się rewolwerem. Sam Champion zdołałby go wyprzedzić w

wydobyciu swego kolta nie więcej niż zaledwie o dwudziestą część sekundy, lecz ta minimalna różnica mogłaby stanowić wieczność, bo Sam nie potrzebował pociągać za cyngiel dwukrotnie.

Pozostali członkowie bandy stali lub siedzieli dookoła jak wygłodniałe wilki w oczekiwaniu na hasło do bójki, bez względu na jej wynik, sprzyjając jednak raczej Championowi, o ile w ogóle sprzyjali komukolwiek.

- Przyznaj się! - warknął Champion. - Tyś zgładził biednego Tirrita. Trafieś go z tyłu.

Czasami, w chwili wielkiego niebezpieczeństwa, zagrożony człowiek wyzbywa się momentalnie uczucia strachu. Tak też się stało i z Lew Borgenem. Z całą przytomnością umysłu sposobił się do walki w obronie własnego życia, naprzód słowami, zanim skorzysta z tego ostatecznego środka, jakim jest rewolwer.

- Tirrit został zastrzelony z przodu. Pamiętasz to chyba - odpowiedział sucho.

- On się chełpi, że zastrzelił Tirrita!

- Słuchaj Sam - odparł Borgen jeszcze zimniejszym głosem - jeżeli chcesz mnie zmusić do walki, to w końcu dopniesz swego. Wprawdzie nie strzelam tak celnie jak ty, ale się ciebie nie boję, nawet gdybym miał tylko jedną szansę na dziesięć. Lecz co się tyczy Tirrita, chłopcy, wszyscy wiecie, co on potrafił, bardziej był obeznany z bronią od każdego z nas, z wyjątkiem Sama Championa i może Joe Montague'a.

- Tirrit strzelał błyskawicznie. Wiedziałem o tym dobrze, tak samo jak wy. Nie lubiłem go i on mnie nie lubił. Przyznaję się do tego otwarcie, bez wykrętów, ale to nie dowodzi, żebym miał go zabijać. Mogłem się z

nim zmierzyć na karabiny z dużej odległości, lecz byłbym wariatem chcąc go atakować rewolwerem. Nie, chłopcy, zastanówcie się tylko a dojdziecie do przekonania, że o wiele lepszy ode mnie strzelec sprzątnął Tirrita!

Mówił to wszystko z takim spokojem, że nawet zjadliwy Sam Champion zawahał się na chwilę i odjął rękę od rewolweru.

- Może jednak nie wiecie - ciągnął dalej Borgen - że Tirrit zawzięcie tropił ślady Szepczącego. Raz, na krótko przed śmiercią, przyszedł do mnie i powiedział: „Borgen, myślałem początkowo, że to ty jesteś Szepczącym. Ale teraz zmieniłem zdanie. Śledziłem cię tam w górach i zobaczyłem jak się spotkał z drugim jeźdźcem. Próbowałem później iść za nim, lecz szczęście mi nie dopisało”. Ja na to: „Tirrit, daj spokój z tym tropieniem Szepczącego. On nie cierpi, by go śledzono. Możesz mnie szpiegować, ile ci się żywnie podoba, ale nie staraj się wykryć kim jest Szepczący!”

- To szatan! - przerwał Champion, sarkastycznym tonem.

- To samo powiedział Tirrit - zauważył Borgen. - W trzy dni potem Tirrit był martwy.

- Gdybym był na jego miejscu... - zaczął Champion.

- Ten sam los by cię spotkał - odrzekł Borgen.

- Kłamiesz!

- Champion, nie mogę pozwolić, żebyś się do mnie tak odzywał.

- Jeszcze nie skończyłem mówić, Borgen. Nie powiedziałem wszystkiego co myślę o takim jak ty tchórze.

Bójka była nieunikniona. Napięcie wzrastało z każdą chwilą, a półdżicy osobnicy, którzy ich otaczali, szczyrzyli zęby jak wilki wietrzące krew. Nie wycofali się poza możliwy zasięg strzałów, bo tacy fachowcy

jak ci dwaj przeciwnicy nawet konając nie strzelaliby na oślep. Stali więc blisko, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą, chcąc wyczytać z nich wściekłość lub strach.

Zobaczyli, że Champion aż dygocze z ochoty do bójki jak prawdziwa łasica, że Borgen jest blady, zrezygnowany, ale zdecydowany na wszystko. Chociaż uważali go już za umarłego, czuli dla niego podziw, widząc jego postawę i zachowanie. Śmierć zawisła nad którymś z nich w tym małym szałasie. Champion wymierzył ostatni cios.

- Teraz, kiedy obrabowałeś dom szeryfa, rozpruwając jego kasę, w jaki sposób się dowiemy, ile tam było pieniędzy i czy nas nie oszukujesz przy podziale. Co?

To była najwyższa zniewaga. Lecz zanim Borgen zdążył na nią zareagować, przeciąg wionął przez szałas jak ludzkie westchnienie. Obaj przeciwnicy nie śmieli spuścić z siebie wzroku, choć wiedzieli, że drzwi szałasu stanęły otworem. Ale nagle usłyszeli, iż ktoś wydał stłumiony okrzyk, więc jednocześnie obrócili głowy. W otwartych drzwiach stał mężczyzna średniego wzrostu, tak szeroki w ramionach, że przypominał trójkąt. Kapelusz z szerokim rondem opadał na oczy, a spod ronda wymykało się parę rudych kędziorów. Twarz jego, a nawet tył głowy były osłonięte czarną maską. Poza tym, wyglądał jak przeciętny kowboj. Ubrany był bardzo skromnie: w drelichową kurtkę i skórzane spodnie.

- Champion - wyrzekł szeptem, brzmiącym jak szmer - dobądź rewolweru!

Champion wyszczerzył zęby jak osaczony szczur i porwał za swój kolt. Lecz w tej samej chwili zatoczył się z jękiem i runął na twarz, bowiem zamaskowany nieznajomy wyprzedził go.

„Łasica” leżał bez ruchu. Nieznajomy cisnął do wnętrza szalasu pękaty portfel, który uderzywszy w plecy rozciągniętego mężczyzny otworzył się, ukazując w środku dwa grube pliki banknotów. Podczas gdy spojrzenia bandy skierowały się na ten punkt, Szepczący znikł, bo kiedy zwrócili się ku drzwiom, już go tam nie było. Żaden z nich nie dbał już o to, by go nadal śledzić i sprawdzić w jakich warunkach żyje.

Lew Borgen, który widywał go niejednokrotnie, a obecnie został przez niego uratowany od grożącej śmierci, był niemniej wstrząśnięty od innych tym, co się wydarzyło. Wśród ogólnego milczenia podniósł portfel, tamci zaś odwrócili ciało Championa na wznak i skonstatowali, że został trafiony między oczy, jak gdyby ten człowiek - lub szatan w postaci człowieka - który się im zjawił, chciał wykazać swoją zręczność.

- Jest tu coś od Szepczącego - powiedział Lew Borgen, wyjmując z portfela kawałek białego papieru, z nakreślonym na nim w pośpiechu krótkim zleceniem.

„Niech chłopcy podzielą się zdobyczą, tak jak zwykle” - przeczytał głośno. - „Anson ma dostać oprócz swojej części jeszcze i moje trzy. Ja już wykorzystałem swój udział w tej grze”. Następował wyraźny podpis.

List ten był zdumiewający i przyszedł w samą porę. Bandyci przypatrywali się Borgenowi obliczającemu łupy. Zysk wynosił poważną kwotę dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, a wartość każdego dolara pomnożona była dziesięciokrotnie, gdyż pieniądze pochodziły z sejfu szeryfa. Zrabowane zostały tego wieczora, kiedy ucztował ze starymi przyjaciółmi i cieszył się, że zniszczyli bandę Szepczącego wraz z jej dowódcą.

Dokonali podziału natychmiast, po czym, mając kieszenie napchane

pieniędzmi, zebrani nieomal zapomnieli o zabitym, wciąż leżącym na podłodze. Wynieśli go w końcu z szałasów i umieścili w rozpadlinie pomiędzy skałami. Potem wspięli się na szczyt parowu i zasypali go lawiną kamieni i luźnych odłamków skały. To był cały jego pogrzeb. Gdy skończyli tę czynność, odjechali z powrotem. Posiadali moc pieniędzy, lecz w powrotnej drodze popadli w głęboką zadumę. Dwóch mężczyzn pozostało w tyle za innymi i wszczęło poważną rozmowę.

Joe Montague i Jerry Monson jechali stępą, dając się wyprzedzić towarzyszom na dużą odległość; z początku nie mówili nic do siebie, ale patrzyli na drogę, marszcząc brwi, jak gdyby rozważali własne myśli.

Wreszcie Joe Montague przerwał milczenie. - Cóż ty na to, Jerry? - zapytał.

- Jestem tego samego zdania co ty kolego - to jakiś diabelski duch!

Joe wzdrygnął się i znowu obaj umilkli, posępniejąc coraz więcej.

- Przynajmniej ten duch potraktował nas przyzwoicie - powiedział Jerry.

- Czy naprawdę?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Parę tygodni temu było nas czterech: ty, ja, Tirrit i Champion. Przysięgliśmy sobie trzymać się kupy i tak też robiliśmy. Wszystkie wyprawy przedsięwzięliśmy razem. Walczyliśmy jeden za drugiego. Ratowaliśmy się wzajemnie, a teraz w przeciągu tych paru tygodni połowa nas ubyła.

- Czy jesteś zdania, że Szepczący uwziął się na nas?

- Nic nie mówię - mruknął tamten, spoglądając nerwowo za siebie, jak gdyby w obawie, że straszliwa istota, która unicestwiła Championa,

mogłaby znajdować się w pobliżu, podsłuchując ich rozmowy. - Nic nie mówię, ale oświadczam ci szczerze i otwarcie, że odnoszę takie wrażenie, iż ty i ja, stary kolego, jesteśmy przeznaczeni na następny ogień. Przekonasz się!

Obydwaj zastanawiali - się dłuższy czas nad tą niemiłą perspektywą, gdy nagle daleko w górach, zahuczał łoskot obsuwającej się lawiny. Zadrżeli i zmełli w zębach przekleństwo.

- Jerry - odezwał się wreszcie Joe Montague - kim może być Szepczący, jeśli wyraźnie się na nas uwziął!

- Nie mam pojęcia - odparł Jerry. - Wszyscy czterej dopiekliśmy do żywego niejednemu w swoim czasie.

- Masz rację.

- Ale istnieje pewna przyczyna, dla której Tirrit i Sam Champion zostali sprzątnięci. Obaj starali się dowiedzieć czegoś o Szepczącym.

- Na to nikt mnie nigdy nie namówi.

- Ani mnie.

- Czy nie uważasz, że lepiej (byłoby gdzieś uciec)?

- Nie, musimy tylko ciągle czuwać i rewolwery mieć w pogotowiu.

Jeśli Szepczący nas śledzi, ucieczka nic nie pomoże.

- To prawda.

Udali się w dalszą drogę. Raz wydało się Jerry'emu, że usłyszał za nimi tętent nadjeżdżającego konia, więc przysunął się bliżej do Joe'go, klnąc ze strachu. Później równocześnie wstrzymali konie, jak gdyby dostrzegając w mrokach nocy tajemniczą postać przed sobą.

Rozdział XII

POSUNIĘCIE KENWORTHYEGO

Kenworthy był człowiekiem, którego równe usposobienie i pogodny charakter nie zmieniały się nigdy, nawet wśród niesprzyjających okoliczności, co budziło ogólny podziw. Trzeba jednak przyznać, że po napadzie na jego dom i rozbiciu kasy uległ silnemu zdenerwowaniu. Nie chciał uwierzyć, że mógł istnieć na świecie osobnik na tyle śmiały i szalony zarazem, aby tak bezczelnie stawić czoła jemu, Percivalowi Kenworthy, który stał się jeszcze groźniejszy od czasu, gdy otrzymał nominację na szeryfa.

Spędził cały tydzień jeżdżąc konno po górach w poszukiwaniu śladów, mogących naprowadzić na trop złoczyńcy, nie żałując ani konia, ani siebie. Toteż powrócił do fermy, bardziej opalony i wychudzony niż zazwyczaj. Lecz mógł teraz przynajmniej znowu się uśmiechać i patrzeć w oczy ludziom, po tym, co uważał za swoją hańbę.

Sporo czasu mu zeszło na rozmyślanie, jaka rola byłaby dlań najodpowiedniejszą; ostatecznie zdecydował, że dużo miałby do powiedzenia, gdyby tylko zechciał otworzyć usta. Pojechał więc do miasta z uśmiechem na twarzy, który nie zniknął nawet wówczas, kiedy najznakomitsi obywatele otoczyli go, rozpytując jakie poczynił kroki celem wykrycia słynnego przestępcy. Na te pytania Kenworthy odpowiadał jedynie tajemniczym uśmiechem i nieokreślonymi ruchami ręki. Miało to oznaczać, że wszystko jest na dobrej drodze i niebawem będą ogłoszone zdumiewające wiadomości. Musieli się tym zadowolić, a tymczasem szeryf udał się do swojego biura, gdzie przesiadywał, patrząc uporczywie na gładką ścianę naprzeciwko, miotając przekleństwa przez zaciśnięte zęby i modląc się o skuteczne natchnienie.

Nie tyle go obchodziła strata, aczkolwiek znaczna, pieniędzy, co

umniejszenie jego prestiżu. Znany był jako człowiek, który nigdy nie chybiał w swoich zamierzeniach, toteż chętnie poświęciłby jeszcze pięćdziesiąt tysięcy dolarów, oprócz tych dwudziestu pięciu zrabowanych, żeby tylko móc zamknąć Szepczącego bezpiecznie za grubymi kratami więzienia lub ujrzeć go martwego u swoich stóp.

Nie posuwał się jednakże tak dalece w zapale, aby wierzyć, iż potrafi sam tego dokonać, bez niczyjej pomocy. Bo Percival Kenworthy był jednym z tych nielicznych ludzi, którzy, jakkolwiek przekonani o swojej wyższości nad innymi, w głębi duszy rozumieją dobrze, że osiągnęli takie powodzenie w świecie jedynie dzięki swemu stanowisku, majątkowi, odziedziczonym wpływom i mózgom pracujących dla niego podwładnych. Kenworthy nie zdawał sobie sprawy ze swej własnej słabości lub przynajmniej wynajdywał na to jakieś wytłumaczenie, powołując się zazwyczaj na „siłę wyższą”.

- Niejeden król - mawiał sobie na pociechę - rządził głównie z pomocą doświadczonych ministrów i generałów, którzy z czasem bywali zapomniani, podczas gdy imię króla przechodziło do historii. - Postanowił więc coraz mniej się angażować osobiście w tę sprawę, a polegać na ekspertach i specjalistach. Starał się pojmać Szepczącego, a sam nie był zdolny do złapania nawet krowy.

Stał się wielkim i znanym farmerem, nie umiejąc ani zarzucać lasa, ani strzelać celnie z rewolweru, a to dzięki temu, że zatrudniał u siebie setki ludzi, którzy potrafili jedno i drugie wykonywać znakomicie. Byłby wariatem, udając rycerza i uganiając się po górach na czele sił zbrojnych. Wyczerpałaby go to tylko nadmiernie i w razie niepowodzenia pomniejszyło jego godność w oczach innych.

Tego samego dnia przybyło dwóch ludzi wezwanych przez niego depezbami, natychmiast po dokonaniu rabunku w jego domu. Miał nadzieję, że do ich przyjazdu sam pomyślnie załatwi tę sprawę i będzie mógł ich odprawić dumnym gestem, lecz okazało się, iż potrzebuje bardziej niż kiedykolwiek ich pomocy.

Odwiedzili go w biurze tego samego dnia, gdy powrócił do miasta po bezskutecznym tropieniu Szepczącego. Pierwszy, który się zgłosił, był wysokim, szczupłym mężczyzną, z olbrzymimi rękami i nogami. Wyglądał jakby go ktoś schwycił za głowę i nogi i rozciągnął na długość ponad ludzką miarę. Mierzył ponad sześć stóp, a ważył mniej niż sto pięćdziesiąt funtów. Miał twarz podobną do papugi, małą, okrągłą, z której wзираły małe, nadzwyczaj bystre oczka, osadzone niezwykle blisko nosa. Wciąż się uśmiechał, odsłaniając długie, wystające zęby. Jednym słowem, była to niezgrabna figura, z rodzaju tych, których ulicznicy wytykają palcami. Sam Percival Kenworthy, chociaż wiedział kim był jego gość, mrugnął kilkakrotnie ze zdumienia, zanim zebrał swoje myśli.

Człowiek podobny do papugi był słynnym Stew Morrisonem, nazywał się właściwie Oliver Wainwright Morrison, z przydomkiem „Ow”. Liczył lat pięćdziesiąt, a wyglądał na czterdzieści, z fizjonomią przypominającą twarz brzydkiej kobiety łączył serce (bohatera; zdawało się, że był to głuptas nie znający świata ani trudów bytowania, a jednak przez piętnaście lat zarabiał na swoje życie tropiąc ludzkie ślady.

Stew Morrison założył swe wielkie ręce na kolana i wpatrywał się matowym wzrokiem w Kenworthy'ego, który mu wyliczał trudności czekającego go zadania. Skończywszy swe wywody, szeryf zapytał znienacka ile będzie winien Mr Morrisonowi, ale ten ostatni zapewnił go,

że nigdy nie myśli o wynagrodzeniu, zanim nie osiągnie pozytywnych rezultatów, w tej zaś okoliczności uważa, iż jeśli zdoła pochwycić Szepczącego, Mr. Kenworthy bez wątpienia zaproponuje mu większą sumę, niżby on sam miał śmiałość żądać.

Po tym oświadczeniu Morrison pożegnał się, obiecując niezwłocznie rozpocząć wstępne kroki. Wyszedłszy na ulicę gwizdnął na swego małego, żółtego kundla, który pobiegł za nim z wtulonym między nogi ogonem, dotykając niemal nosem jego pięt. Szeryf stanął przy oknie, patrząc na wysoką, niezgrabną postać, kroczącą ulicą i śmiał się rozbawiony, rumieniając się jednocześnie ze wstydu na ten widok, pomyślał sobie bowiem, że wolałby stracić dziesięć tysięcy dolarów, niżby ogół miał się kiedyś dowiedzieć, że on, Kenworthy, najmuje podobne istoty w charakterze poufnych agentów.

Zaledwie usiadł ponownie za biurkiem, gdy zjawił się drugi gość, zgoła niepodobny do „Ow” Morrisona. Był to krępy, tęgi mężczyzna o przenikliwym wejrzeniu, rzeczowym sposobie wyrażania się i ruchach znamionujących niebywałą energię. Usiadł, objąwszy kolana rękami i spojrzał szeryfowi prosto w oczy, uderzając go mocnym spojrzeniem. Wysłuchał wszystkich szczegółów od początku do końca, po czym przemówił:

- Studiowałem już całą tę sprawę - rzekł Mr. Stephen Rankin - mogę zatem twierdzić, że ją znam. Zdaje mi się, iż pochwyciłem pewien wątek, którego nikt dotychczas nie zauważył i skierowałem swe podejrzenia na jednego osobnika, o którym nikt dotąd nie pomyślał.

Mr. Kenworthy był zachwycony takim dziarskim i rezolutnym postawieniem kwestii i z trudnością powstrzymał się od wyrażenia mu

swego uznania, metoda jego bowiem polegała na tym, żeby nigdy nie chwalić swych pomocników, ale wynagradzać ich hojnie za oddane mu usługi.

- Ja osobiście podejrzewam - powiedział - że jakiś łotr znajduje się w moim własnym domu, zdradza mnie, oczywiście w porozumieniu, z kimś poza domem. Śledztwo powinno by iść w tym kierunku, ktoś inny poza moją służbą mógłby wiedzieć, gdzie się znajduje kasa i jak swobodnie poruszać się wewnątrz domu.

Drugi detektyw stłumił śmiech i z poważną miną spojrzał w twarz szeryfowi.

- Widzę - rzekł - iż pan posiada duże doświadczenie w naszym zawodzie.

- Właściwie jestem jeszcze nowicjuszem, dopiero zacząłem się tym zajmować - odparł szeryf zadowolony jak dziewczyna z komplementu.

- No - zawyrokował Mr. Rankin - to jest trudna specjalność, ale może pana zainteresować. Będę tymczasem prowadził śledztwo według pańskich wskazówek i niektórych moich spostrzeżeń.

- A ile wyniesie pana należność?

- Moja należność jest jak honorarium doktorskie, zależna od rodzaju oddanej przysługi i proporcjonalna do dochodów klienta. W tym wypadku, przypuszczam, że... no... dziesięć tysięcy wystarczyłoby.

- Dziesięć tysięcy zielonych! - wykrzyknął fermer.

- Dolarów - poprawił detektyw i dodał uśmiechając się znacząco: - Czasami poprawiam reputacje, a czasami je urabiam!

Rozdział XIII

GLENHOLLEN

Zacny szeryf sam był zdumiony, gdy Rankin w kwadrans potem opuścił jego biuro, uzyskawszy to, czego żądał - miał otrzymać dziesięć tysięcy gotówką, płatnych natychmiast po wydaniu notorycznego przestępcy w ręce szeryfa. Ponadto, po dokonaniu swego dzieła, detektyw zobowiązał się zniknąć, nie roszcząc żadnej pretensji do publicznego uznania i wdzięczności, bowiem cały zaszczyt winien przypaść w udziale Kenworthy' mu.

Ta część umowy uspokoiła szeryfa, ale był jednak zdania, że perspektywa wypłacenia jeszcze dziesięciu tysięcy dolarów, w połączeniu z poniesionymi już poprzednio stratami, bynajmniej nie należała do przyjemnych! Starał się jednakże zapatrywać na to filozoficznie, mówiąc sobie, iż najważniejszą rzeczą w życiu jest reputacja. Jego reputacja zaś była zachwiana i musiał ją ratować, dobrze jeszcze, że dawało się to uskutecznić za pomocą środków pieniężnych. Bo ludzie zaczęli już wszędzie podśmiewywać się z szeryfa, który, rozporządzając pełnią praw i znaczną siłą zbrojną, nie potrafił zabezpieczyć swego własnego domu przed najściem przestępców. Czuł, że dzisiejszego dnia uczynił ważne posunięcie, angażując w tajemnicy dwóch sławnych detektywów. Odnosił wrażenie, iż Stef Morrison nie na wiele mu się przyda, lecz za to drugi był człowiekiem, na którego można było bezwzględnie liczyć. Zresztą dobra robota wymaga dobrej zapłaty.

Właśnie pokrzepiał się na duchu tą maksymą, gdy łaskawy los zesłał mu pociechę, pod wpływem której rozproszyły się dręczące myśli o Szepczącym i jego bandzie. Bo oto w drzwiach urzędu stanął we własnej osobie młody Aleksander Glenhollen, syn fermiera, który mógł pochwalić się większymi posiadłościami i znaczniejszym rachunkiem w banku

aniżeli sam Kenworthy. Zamożność jego była może mniej reklamowana, ponieważ Aleksander Glenhollen senior nigdy o niej nie mówił, nawet u siebie w domu, przeto ludzie nie znali dokładnie stanu jego majątkowości.

Lecz dobrze poinformowani bankierzy z Kenworthy'm włącznie wiedzieli, że fortunę Glenhollena można obliczać na miliony i że pod mądrym jego zarządzeniem zwiększała się ona stale. Kenworthy osobiście zdawał sobie sprawę, że bogactwa Glenhollena kilkakrotnie przewyższały jego zamożność.

Z ukrytym więc zdziwieniem powstał z miejsca, by powitać młodego Glenhollena. Z zasady szeryf nie lubił młodych ludzi, utrzymując, że istotny sens życia objawia się mężczyźnie dopiero, gdy przekracza czterdziestkę, a za zupełną dojrzałość uważał pięćdziesiątkę; wiek, w jakim obecnie sam się znajdował, Niemniej jednak uścisk ręki, którym powitał Glenhollena był pełen szacunku.

Glenhollen usiadł. Jako członek drużyny futbolowej uniwersytetu trzymał się prosto, mięśnie zaś jego szyi były tak sztywne i grube, że musiał trzymać głowę wzniesioną do góry. Czuprynę miał płową i niesforną, co mu nadawało podejrzany wygląd. Po jakimś przodku pochodzącym z Wikingów odziedziczył jasnoniebieskie, ogniste oczy. Wystająca szczeka zdawała się prowokować ciosy, ale uśmiech pojawiający się chwilami na jego twarzy, rozjaśniając ją całą, świadczył, że był to nadzwyczaj dobry chłopak.

Objął teraz kolana rękami w sposób przypominający detektywa, który siedział niedawno na tym samym miejscu. Wielka jednakże różnica zachodziła w ich zachowaniu. Podczas gdy tamten wyrażał się z widoczną pewnością siebie - Glenhollen na przemian bladł i czerwieniał, a

przemawiał niepewnym i przerywanym głosem. W końcu wykrztusił jednak, że on, Glenhollen, ośmiela się starać o rękę córki Kenworthy'ego i pragnąłby przedtem uzyskać aprobatę ojca, zanim się jej oświadczy.

Kenworthy przymknął oczy. Zbladł, gdyż z doznanego wrażenia zrobiło mu się niemal słabo. Kiedy pomyślał o doniosłości tego związku, dochodził do przekonania, że bożek miłości nie jest wcale ślepcem, lecz błogosławionym małym bóstwem. Jego córka poślubiona przez młodego Glenhollena! W najśmielszych swych marzeniach nie przypuszczał nic podobnego. Jednakże jego pobladła twarz i przymknięte oczy dezorientowały młodego człowieka. Jąkał się i zdradzał coraz większe zdenerwowanie.

- Czy Róża wie już coś o tym? - zapytał nagle szeryf.

- Nie - odrzekł Glenhollen. - Widziałem ją zaledwie kilka razy i oczywiście nie zwróciła nawet na mnie uwagi. Dlatego też odwiedzam pana dzisiaj, aby się dowiedzieć, czy mogę mieć jakieś szanse powodzenia i czy nie lepiej bym uczynił nie narzucając się jej ze swoją osobą. Bo widzi pan, ja się nie znam na tych rzeczach. Nigdy w życiu nie spojrzałem dwukrotnie na żadną dziewczynę. Mam siostrę, jak panu wiadomo, i to jest całe moje doświadczenie z kobietami. Czasami nawet i obcowanie z nią było dla mnie rzeczą zbyt skomplikowaną - dodał z komicznym wyrazem twarzy, a jego ułożony na czole wypomadowany lok podniósł się i zabłysnął w słońcu, wskutek przeciągu wiejącego z otwartego okna.

- A zatem? - spytał nagle bardzo blady. - Co pan mi odpowie? Czy nie jest ona uczuciowo zaangażowana gdzieś indziej?

Kenworthy powstał, ujął smagłą rękę młodzieńca w swoje pulchne dłonie i wyrzekł drgającym głosem:

- Mój chłopcze, mój chłopcze, to jest jeden z najpiękniejszych dni w moim życiu. Idź i zdobądź ją. Nie ma żadnych innych zobowiązań - na pewno nie ma!

Po południu pojechali obaj razem na fermę. Kenworthy zapomniał zupełnie o Szepczącym i o wszelkich trapiących go kłopotach. Pograżył się w rozkosznym rozmyślaniu o spodziewanych milionach. Przy finansowym poparciu potężnego Glenhollena wszystkie jego plany mogłyby być natychmiast skutecznie urzeczywistnione.

Wyznaczył sobie pięcioletni termin na zorganizowanie olbrzymiej korporacji, której działalność miałyby się rozszerzać aż na drugi kontynent i zasłynąć w całym świecie. W swojej wyobraźni widział siebie w Manhattan, gdzie się umawia z największymi potentatami, którzy ściskają mu dłoń, nazywają go po imieniu.

Wyobraźnię sięgał jeszcze dalej w wymaginowaną świetlaną przyszłość. Zasługi jego uznawane były przez całą ludność, zamieszkującą ogromną przestrzeń, rozciągającą się od Rockies do Sierras, w marzeniach ujrzał nawet swoje nazwisko umieszczone w podręcznikach szkolnych.

Wreszcie powóz wjechał na teren obszarów należących do fermy, a Kenworthy ocknął się ze swych miłych rojeń i uprzytomnił sobie obecność swego towarzysza oraz rozmowę, jaką prowadzili od chwili wyjazdu z miasta. Wystarczało zresztą, gdy od czasu do czasu wtrącił krótkie, urywane słowo, ponieważ młody Glenhollen był całkowicie pochłonięty opowiadaniem o swoim pierwszym, spotkaniu z Różą Kenworthy, opisywaniem różowej sukni, jaką wówczas nosiła, o tym jak obróciwszy głowę w jego stronę uśmiechnęła się, wprowadzie nie do niego, tylko bezmyślnie, on zaś wtedy pomyślał, iż jeden taki uśmiech przeznaczony

specjalnie dla niego, wart byłby więcej niż posiadanie wszystkich bogactw świata.

Przyciszony głos i rozmarzona mina ojca Róży podniecały go do dalszych zwierzeń. Właściwie Glenhollen mówił więcej do siebie niż do swojego towarzysza, który go słuchał tylko o tyle, aby móc cieszyć się tą myślą: „To rzeczywistość, a nie sen - ryba połknęła haczyk! Jakież to błogosławieństwo mieć ładną córkę”.

Przejechali przez wzgórze, skąd widać już było zabudowania fermy. Na północ dużym półkolem wznosiły się góry o wierzchołkach pokrytych wiecznym śniegiem. W stronie południowej góry te przechodziły w pagórki, poprzecinane wąwozami, którymi przepływały, jak srebrne wstęgi, strumyki stale zasilane wodą z topniejących górskich śniegów. Osada Kenworthy'ego była jakby małym miasteczkiem, składała się bowiem z tak znacznej ilości przeróżnego rodzaju budynków, stodół, szop, stajen itp.

Doświadczone oko właściciela mogło odróżnić dachy spichlerzy, kuźnię, z której się szczycił, duże wozownie i oborę. Spoczywało na nich z upodobaniem. Glenhollen nagle przerwał swoje opowiadanie.

„Chłopak rozsądny” - pomyślał z zadowoleniem szeryf. „Ma dość rozumu, żeby ocenić, iż głupia dziewczyna zyskać może dopiero na tle fermy, która przecież jest - no - cudownym dziełem”.

Nigdy dotąd nie mógł dla niej znaleźć dostatecznie pochlebnego określenia. Ale był pewien, że Pan Bóg spoglądając na ziemię, zatrzymywał przez dłuższy czas wzrok na tym miejscu.

W tej chwili jednak młody Glenhollen odezwał się: - Mój Boże, panie, czy pan sądzi, że ja mogę mieć szansę zdobycia jej?

Fermer ukrył uczucie doznanego zawodu. Zdecydował, iż chłopiec jest ograniczony jak ogół młodych ludzi; potrzebuje jeszcze sporo czasu do dojrzałości.

- Szanse? - odrzekł. - Nie ma najmniejszej wątpliwości pod tym względem. Jeśli ja się zgodziłem, to tak jak gdyby pan ją już poślubił!

Róża była w doskonałym humorze. Właśnie skończyła ujeżdżać nowego wierzchowca, wyposażonego przez naturę w wysmukłe, silne nogi i szlachetną głowę, co czyniło go podobnym do prawdziwego araba. Tę pierwszą jazdę można było porównać z pierwszą rozmową prowadzoną z nową i ciekawą osobistością, toteż wracała ze stajen cała zarumieniona, a oczy jej wyrażały wesołość i uprzejmość. Młody Glenhollen omal nie zemdlął z radości i obawy.

- Odwagi, człowieku! - powiedział Kenworthy łaskawie. - Będiesz ją miał, Alek, a to jest ładna dziewczyna, co? Tylko po co się tak cofasz, jak gdybyś chciał zniknąć w murze? Nie ugryzie ciebie, mój chłopcze!

Zachowanie się Róży wobec młodego bogacza było, w oczach jej ojca, skandalicznie niedbałe i nacechowane raczej zuchowatą koleżeńskością niż skromnością dziewiczą. Podeszła do niego, nazywając go po imieniu, uścisnęła mocno jego rękę, potem przeprosiła, że musi iść przebrać się do obiadu, zazwyczaj wcześniej na fermie podawanego. Szeryf spoglądał niespokojnie na córkę i chciał usprawiedliwić jej junacką trzpiotowatość, ale zauważył, iż młody Glenhollen popadł w bezkrytyczny zachwyty, objawiający się takim wzruszeniem, że jego niesforny lok drżał, choć nie było wcale wiatru.

Zaprowadzony przez Kenworthy'ego do biblioteki, w oczekiwaniu na obiad, nie potrafił się zdobyć na podtrzymanie rozmowy.

- Jeśli ten młodzik będzie w dalszym ciągu zachowywał się jak osioł
- pomyślał fermer - czeka mnie trudna przeprawa z Różą, niech go licho porwie!

Zachował się istotnie podczas całego obiadu jak osioł, toteż Róża wodziła zdumionym wzrokiem od niego do ojca, gdyż ilekroć młody Glenhollen wypowiedział jakieś głupstwo, jej ojciec przychodził mu szlachetnie z pomocą i ratował sytuację. Młodzieniec wpadł jednak na dobry pomysł pożegnania się wkrótce po obiedzie, ale zapowiedział swoją wizytę na następny dzień.

Rozdział XIV

W OGRODZIE

- Co się stało biednemu Alkowi! - zawołała Róża, kiedy pozostała sam na sam z ojcem. - Z miłego chłopca przemienił się w idiotę!

- Czy nie rozumiesz dlaczego? - wykrzyknął jej ojciec, nie ukrywając radości.

- Zawarliście zapewne jakiś interes do spółki.

- Słusznie, dziewczyno, słusznie. Ale czy się nie domyślasz, jaki może być rodzaj tego interesu? To ty, moja droga. Masz wyjść za mąż za Alka, a połączone fortuny Glenhollena i Kenworthy'ego utworzą piedestał, na którym ja...

Słuchała go najpierw ze zgrozą, potem rozbawiona, lecz w końcu z przestrawieniem.

- Ależ ojczy - przerwała mu - czy to naprawdę nie żart?

- Żart? - zagrzemiał fermer - żart? Gdyby to okazało się żartem, zastrzeliłbym tego szczeniaka. Ale tak nie jest. Obserwowałem jego twarz i wyczytałem z niej wyraźnie, że po prostu szaleje z miłości. On...

- Biedny Alek! - wyrwało się dziewczynie.

- Biedny? Nie zasługuje na litość. Cóż mógłby zrobić lepszego niż ożenić się z moją córką. Po mej śmierci dostanie cały mój majątek!

- Ojczy, czy mówisz serio? Ja mam zostać żoną tego... tego... futbolisty, który przez całe życie o niczym poważniejszym nie myślał?

- Czyż człowiek mający dziesięć milionów do swojej dyspozycji potrzebuje jeszcze myśleć?

- Więc z tego wynika - odrzekła Róża - że nie potrzebuje także być kochanym.

- Oczywiście, że nie - odparł ojciec. - Czy chcesz we mnie wmówić, niemądra dziewczyno, że nie możesz się zdobyć na racjonalną ocenę tej fortuny, odmawiając swej ręki jej właścicielowi. Zresztą - dodał, ostrzeżony dobrze znanym błyskiem oczu córki - nigdy jeszcze żaden młody człowiek nie wzbudził w tobie miłości, moja droga, jeżeli zatem zdecydujesz się wyjść za mąż, sądzę, że lepiej byś zrobiła, czyniąc wybór oparty na przyjaźni, pozostawiając miłość własnemu losowi.

Spostrzegł, iż wygłoszony przez niego punkt widzenia zastanowił ją, bowiem zmarszczyła w zamyśleniu brwi, on zaś omal nie zatarł dłoni z zadowolenia. Róża miała dwadzieścia dwa lata, a każda dziewczyna w jej wieku jest przekonana, że zna doskonale życie; pomimo zaś swojej impulsywności, posiadała silnie rozwinięty zmysł praktyczności, więc argument ojca trafił jej do przekonania. Myślała już nie raz o tym, że nigdy nie zazna uczucia miłości, a wiedziała, iż niejedno szczęśliwe małżeństwo zostało zawarte tylko z przyjaźni.

Idź się przejść do ogrodu - powiedział jej łagodnie ojciec - i rozważ sobie to wszystko. Obawiam się, że Alek jest w krytycznym wieku, w

którym mężczyzna, gdy już zdecyduje się ożenić, doznając niepowodzenia w jednym kierunku, obiera drugi, łatwiejszy. Jeżeli go więc wypuścisz z rąk i odstraszysz nieprzychylnym traktowaniem, to zwróci się do innej.

Róża posłusznie wyszła do ogrodu. Był to kawałek dzikich, gęstych zarośli, doprowadzony do jakiegoś takiego stanu. Szemrzący górski strumień przepływał przezeń, okalając róg domu. Strumień ten znikał pod kamiennym murem otaczającym ogród, by potem skierować się w stronę zabudowań gospodarczych, gdzie wpadał do ocementowanych koryt i sadzawek, dostarczając w ten sposób czystego napoju dla koni i bydła.

Ogród był dość rozległy, a drzewa rosły w nim w chaotycznej swobodzie, zarośla jednakże, stanowiące dawniej gęste podszycie, zostały wycięte i gdzieś tam zastąpione trawnikami. Coś w rodzaju tamy zatrzymywało bieżącą wodę, tworząc z niej podłużny staw o kapryśnych skrętach, brzegi którego były zarośnięte kwiatami i kwitnącymi krzewami. Dróżki krzyżowały się, biegnąc w rozmaitych kierunkach.

Dziewczyna poszła prosto pierwszą napotkaną dróżką, doszła do ławki, usiadła na niej tyłem do drzew, z twarzą zwróconą do stawu i majaczących na horyzoncie gór. Powierzchnia wody mieniła się odblaskami, a w oddali śnieżne szczyty różowiły się od strony zachodu. Pochłonięta tym widokiem Róża od razu zapomniała o problemie, jaki miała rozstrzygnąć. Promienie zachodu zaczynały blednąć, gdy odczuła za sobą czyjąś obecność. Obróciła się i zobaczyła nieznajomego z lasu.

Stał oparty plecami o szeroki pień drzewa, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i wzrokiem utkwionym w podziwiany przed chwilą przez nią krajobraz. Drgnęła na ten widok nie tylko ze zdziwienia, lecz i z poczucia pewnej winy popełnionej względem niego, gdyż wspomnienie tego

pierwszego nocnego spotkania zacierało się coraz bardziej w jej pamięci, a była nawet taka chwila, kiedy omal nie opowiedziała ojcu o całej przygodzie.

- Przyszedłem, aby usłyszeć resztę pytań - rzekł, wciąż patrząc na góry, a nie na nią. - Przypuszczam, iż do tej pory już je pani sformułowała.

- Miał pan przyjść następnego dnia - przypomniała mu.

- Byłem w wielkich kłopotach - spokojnie odparł nieznajomy.

- Przykro mi bardzo.

- Znalazłem miód - powiedział.

Podał jej coś w rodzaju małego naczynia w kształcie stożka, zrobionego z kory brzoźowej, giętkiej i mocnej jak biała skóra. Z tej samej kory była przykrywka, dopasowana do tego zaimprovizowanego kubka. Róża podniosła przykrywkę i ujrzała w środku miód bursztynowego koloru, błyszczący, jak gdyby od spodu oświetlony.

- Czy to dla mnie? - zapytała.

Skinął głową, lecz gdy spojrzała na niego bacznie i trochę drwiąco, chcąc odgadnąć intencję tego daru, spostrzegła, że twarz jego nic nie wyrażała. Pomyślała przeto, iż powodowany był jedynie życzliwością, a nie żadnymi leśnymi - zalotami. Doznała jak gdyby lekkiego zawodu i uczucia zażenowania z tego powodu.

- Po zdobyciu miodu - powiedział - wracając natrafiłem na ślad pani misio we j, wiodący w tę samą stronę. Ale tegoż dnia grupa myśliwych i sfora psów osaczyli ją, więc pośpieszyłem jej na ratunek. To była trudna sprawa. Pragnąc skutecznie dopomóc niedźwiedzicy, musiałem równocześnie wystrzegać się myśliwych i dokuczliwych psów.

Opowiadanie jego podnieciło i zaintrygowało Różę.

- Wyratował pan to biedne stworzenie?

- Ledwo mi się to udało. Tropili ją od wczesnego świtu do wieczora, prawie pięćdziesiąt mil poprzez góry. Trafiły ją trzy kule, więc, krwawiła, zostawiając za sobą czerwone ślady, a gdy krew przestała broczyć, zeszywniała z osłabienia. Stała się szpetna jak stary Tatar. Gdybym podszedł do niej zbyt blisko, mogłaby dosięgnąć mnie łapą, a jedno uderzenie wystarczyłoby, żeby mnie przesłać do wieczności. Widziałem raz nieżywą krowę z całym bokiem rozszarpanym przez takie uderzenie!

- Stara wariatka! - wykrzyknęła dziewczyna. - Czyż nie miała na tyle rozumu, aby poznać swego przyjaciela?

- To było trochę skomplikowane dla zwierzęcego umysłu - tłumaczył on. - Kiedy kilku ludzi strzela do kogoś, a jeden człowiek okazuje życzliwość, trudno jest dostrzec okiem nie nawykłym do rozpoznawania twarzy różnicę między nimi. Gdyby nie znajdowała się w stanie takiego podniecenia, to na pewno byłaby dla mnie uprzejmiejsza. W każdym razie wieczorem ścigający osaczyli ją.

Wspinała się po ścieżce coraz wyżej, wzdłuż parowu Donelly, kierując się w stronę urwiska i konie nie mogłyby do niej dotrzeć, o ile dosięgłaby jego wierzchołka. Lecz kiedy się tam dostała, zrozumiała, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niej, bowiem lawina ziemi obsunęła się po zboczu urwiska, wygładzając wszelkie nierówności, mogące jej służyć za punkty oparcia. Powierzchnia była skalista, gładka i bardzo stroma. Kilkakrotnie próbowała wdrapać się na nią, lecz obsuwała się za każdym razem. Obejrzała się bezradnie widząc, że nie ma już żadnego wyjścia z tej sytuacji. Z tyłu nadciągali myśliwi, przed nią zaś wznosiła się z jednej strony niedostępna góra, a z drugiej - otwierała się szeroka, na

trzydzieści stóp przepaść.

Zrozumiała, że jest zgubiona, chyba tylko jakiś cud mógłby ją uratować, stanęła więc na tylnych łapach, wydała ryk bojowy i zaczęła schodzić z powrotem, chcąc przynajmniej drogo sprzedać swoje życie, jak przystało na dzielnego niedźwiedzia. W trakcie tego zastanawiałem się, jakby jej dopomóc i przyszedł mi do głowy pewien chytry pomysł.

- Dzięki Bogu! - wykrzyknęła dziewczyna, klaszcząc w dłonie.

- Zagwizdałem na nią, a był to gwizd, którym zwykle zawiadamiałem ją o znaczniejszym połowie ryb, z którego większą część zostawiałem dla niej na brzegu. Gwizd ten niedźwiedzica słyszała z odległości wielu mil, posiadała bowiem nadzwyczaj czuły słuch. Uszy niedźwiedzi są ogromnie wrażliwe. Widziałem kiedyś, jak w czasie spadania wielkiej lawiny, staruszka zasłaniała sobie uszy łapami.

- Jakże ją pan przeprowił na drugą stronę przepaści? Był to jedyny sposób ratunku, nieprawdaż?

Uśmiechnął się, widząc jej zniecierpliwienie.

- Tak. Nie było innego wyjścia. Gdy usłyszała gwizd, skręciła w moją stronę i usiadła, patrząc uważnie na mnie, jak gdyby dziwując się, w jaki sposób zdołam jej pomóc.

- Biedactwo!

- Wyjąłem siekierkę i zacząłem ścinać duże, na wpół rozłupane przez piorun drzewo, częściowo spróchniałe i chylące się nad przepaścią. Ale pień jeszcze był mocny. Nie mogłem się spodziewać, że uda mi się je ściąć tak lekkim narzędziem jak moja siekierka, lecz sądziłem, że zdołam podciąć ją o tyle, że następnie zwali się pod własnym ciężarem.

W tym czasie myśliwi usłyszawszy ryk niedźwiedzicy, skupili się i

przywołali psy w oczekiwaniu na atak z jej strony. Kiedy się jednak dłuższy czas nie pokazywała, zaczęli się z wolna posuwać w górę, psy zaś biegły na przędzie. Słyszałem z daleka ich diabelskie ujadanie. Pracowałem w niewygodnych warunkach, a oprócz tego musiałem jeszcze zwracać uwagę na moją przyjaciółkę, mogącą w każdej chwili dosięgnąć mnie swoją potężną łapą.

Przerwał opowiadanie i zaśmiał się swoim osobliwym cichym śmiechem, a potem łagodnym głosem mówił dalej. Róża była bardziej niż kiedykolwiek pod jego urokiem, tym bardziej, iż ciągnął swoją opowieść nie tyle dla niej, ile dlatego, że powtórnie przeżywał najdrobniejsze szczegóły tej przygody, ciesząc się przy tym jak dziecko.

- Uderzałem raz po raz swoją siekierką w szalonym tempie. Drzewo zaczynało już skrzypieć, ale jednocześnie sfora psów wypadła z zarośli. Na widok człowieka, stojącego spokojnie obok ogromnego niedźwiedzia, zaczęły inaczej ujadać. Nie mogły tego pojąć, a pani misiowa wyprostowała się i przygotowała do zadania śmiertelnych ciosów każdemu, kto by się ośmielił do niej przybliżyć. Zebrawszy wszystkie siły zagłębiłem siekierkę jednym uderzeniem w sam środek słoju drzewa, co miało taki skutek, jak gdybym przeciął linę kotwicy, przytrzymującej okręt. Wierzchołek drzewa zakołysał się, wydając przeciągły szum, podobny do silnego podmuchu wiatru. Drzewo runęło i padając uderzyło w jodłę, rosnącą na przeciwległej stronie przepaści, rozbijając ją w drzazgi, jak puste pudełko zapalek. Oczywiście pień rozłupał się na dwie połowy, a grubszy jego koniec upadł bokiem tuż koło mnie. Ledwo zdążyłem odskoczyć.

Przerwał, jak gdyby przeszyty powtórnie dreszczem, który nim

wstrząsnął, gdy ujrzał walącego się olbrzymia.

- Nasz most był gotów - ciągnął dalej - i pani misiowa nie wymagała żadnych wyjaśnień, do jakiego celu miał służyć. Natychmiast przelazła po nim na drugą stronę, a ja podążyłem za nią. Lecz zaledwie dotarliśmy do przeciwległego brzegu przepaści, stara bestia obróciła się do mnie, wyszczerzyła zęby i wydała mrozący krew w żyłach pomruk.

- O, co za niewdzięczność!

- Widzi pani, to nie był niedźwiedź z czarodziejskiej bajki, tylko zwyczajny miś w całej swojej naturze. W każdym razie, zdążyłem się skryć przed przybyciem myśliwych. Psy przebiegły po zwałonym pniu, ale oni nie mogli pójść w ich ślady, gdyż musieliby pozostawić konie same, psy zaś najwidoczniej nie dałyby sobie rady ze starym niedźwiedziem. Przywołali więc je i odjechali z powrotem. Przedtem zebrali się jednakże dookoła powalonego drzewa, oglądając je uważnie. Nie potrafili sobie wytłumaczyć tego, co zaszło.

Na drzewie widoczne przecież były znaki od mojej siekierki i gdyby spojrzeli baczniej na ziemię, bez wątpienia dostrzegliby ślady moich stóp, aczkolwiek starałem się stapać po kamieniach. Nie zauważyli jednakże ani jednego, ani drugiego i powrócili do domów, opowiadając cudowną historię o zmyślnym niedźwiedziu, który dosłownie zębami i pazurami rozszczepił spróchniały pień drzewa, stwarzając sobie tym sposobem most, aby się przedostać na drugą stronę przepaści. Wszyscy gotowi byliby na to przysiąc.

- Coś mi się wydaje, że słyszałam podobną opowieść - rzekła. - Ale naturalnie nawet taka historia o niedźwiedziu jest niczym w obecnych czasach, w porównaniu z wyczynami Szepczącego.

- Któż to taki?

- Czy rzeczywiście pan o nim nigdy nie słyszał!

Zapewnił ją, że nie, bowiem tylko od czasu do czasu dobiegały doń wieści ze świata zamieszkiwanego przez ludzi. Podkrażał się nieraz do rozłożonych ognisk i podsłuchiwał, co przy nich mówiono, kiedyś nawet w podobnym wypadku strzelano do niego, biorąc go za dzikie zwierzę. Czasami, gdy tak leżał w gęstwinie leśnej, przechodzili obok niego samotni myśliwi, a nawet całe ich gromady, więc z kilku dosłyszanych przypadkowo tu i ówdzie słów dowiadywał się o wydarzeniach na szerokim świecie.

Trudno jej było go zrozumieć, lecz mówił tak przekonująco, traktując to jako rzecz zwykłą, że mimo woli musiała mu wierzyć.

Nagle szczęknęła furтка i jakiś kowboj przebiegł przez ogród, kierując się do domu. Istniał wprawdzie zakaz przechodzenia przez ogród dla wszystkich z wyjątkiem rodziny, ale widocznie miał coś ważnego do zakomunikowania, więc wybrał najkrótszą drogę. Dziewczyna spojrzała z trwogą na swojego osobliwego gościa, obawiając się, aby go nie dostrzeżono, lecz on znikł, jakby się rozwiął w powietrzu.

Rozdział XV

PONOSZENIE KONSEKWENCJI

Nieprzyjemne uczucie obecności kogoś nadludzkiego, jakie wzbudził w Róży nieznajomy z lasu podczas ich pierwszego nocnego spotkania, zniknęło w znacznej mierze przy ich następnym widzeniu dzięki pogodnemu usposobieniu tajemniczego osobnika i jego opowiadaniu o uratowaniu starej niedźwiedzicy. Opowieść ta wydała się dziewczynie wspaniałą, lecz nie było w niej nic niesamowitego.

Poza tym dostrzegła teraz wyraźnie jego długie, dawno nie czesane i nie strzyżone włosy oraz mocno wytarty skórzany przyodzieżek. Fakty te, stwierdzone obecnie przez nią z całym spokojem, nie miały nic wspólnego z niezwykłością.

Stawał się coraz mniej dziwaczny i niepokojący, a chociaż doznała pewnego wstrząsu widząc, że zniknął, już w chwilę potem nie mogła powstrzymać się od uśmiechu spostrzegłszy, iż korzystając z wieczornego zmierzchu położył się zwyczajnie na ziemi za gęstymi, wysokimi krzakami i stamtąd odzywał się do niej przyciszonym głosem.

Z początku nie słuchała tego, co mówił, zajęta śledzeniem kowboja, dopóki nie znikł jej z oczu, po czym westchnęła i zwróciła się do leżącego.

- Uniknęliśmy o włos niebezpieczeństwa - powiedziała mu.

- Nie - odrzekł - człowiek tak czymś zajęty jak ten, który przeszedł, nic nie zauważy, chyba że mu się coś wskaże. Zapewne jakiś koń skaleczył się o drut kolczasty, więc kowboj przybiegł oznajmić to ojcu pani, który zapali następne cygaro i powie mu, że nigdy po obiedzie nie myśli o koniach ani o żadnych innych sprawach dotyczących fermy.

Róża aż się zachnęła ze zdziwienia, gdyż były to dokładnie słowa, jakie by wyrzekł jej ojciec w tych okolicznościach.

- Jak pan mógł go tak dobrze poznać?

- Parę dni temu spędziłem cały wieczór obserwując go przez okno, kiedy siedział w czytelnicy. Łatwo to było wywnioskować z wyrazu jego ust.

Zrozumiała, że chciał mówić o jego umysłowości i z lekka się zarumieniła; pragnęła powiedzieć coś w obronie swojego ojca, ale się powstrzymała, zdziwił ją fakt, że czuła potrzebę tłumaczenia przed tym dzikim człowiekiem postępów członka swej rodziny. Ale jakże szybko

przejrzał on zarozumiałość bogatego fermera! Czy i w jej duszy czytał równie wyraźnie? Spojrzała z zaciekawieniem.

Leżał teraz na plecach i zerwawszy z trawnika mały żółty kwiatek - w zmroku nie mogła rozpoznać gatunku - muskał nim swoje nozdrza, wdychając jego delikatny zapach. Widocznie sprawiało mu to przyjemność, gdyż oczy miał przymknięte, a na ustach błąkał się uśmiech zadowolenia. Myślami znajdował się pewnie o tysiąc mil od niej! Przykre uczucie samotności opanowało Różę, a chociaż kształty domu jej ojca zarysowały się wyraźnie na tle nieba, poczuła się opuszczoną i samotną. Widok dachu domu mieszkalnego fermy przypomniawszy dziewczynie powód, dla którego wyszła do ogrodu i nagle sama myśl małżeństwa z młodym Glenhollenem wydała się jej nienawistną.

- No, a te pytania? - odezwał się człowiek z lasu, obrywając płatki kwiatka i rzucając je daleko od siebie. - Teraz nadszedł czas odpowiedzieć na nie, przecież przyrzekłem to pani.

Oparła swoje łokcie na kolanach i siedziała nad nim zamyślona.

- Samo mówienie nie wystarczy. Słowami nie da się wytłumaczyć tego, co pragnę wiedzieć, bo mam wrażenie, że i pan nie jest tego w pełni świadomy; pan się błąka tu i tam, otwierając szeroko oczy tylko na pewne rzeczy, a zamykając je mocno na resztę.

- Ach, tak? - odrzekł i usiadł. - Kiedy je zamykam - na co?

- Na przykład gdy trzeba spojrzeć prawdzie w oczy i uświadomić sobie, że pan będzie musiał wkrótce porzucić swój dotychczasowy tryb życia.

- Dlaczego?

- Przede wszystkim zanim się pan zestarzeje. Kiedy zwierzętom

członki sztywnieją i nie mogą już polować, to żywią się przez pewien czas korzeniami, a potem zdychają z głodu. Czyż tak nie jest?

Zadrzał, a jego oczy przybrały wyraz takiej zadumy, jakby nigdy o tym przedtem nie pomyślał.

- Pani częstuje mnie trucizną - rzekł posępnie. - Kobiety nie lubią, gdy mężczyźni są nieszablonowi. Mężczyzna, który potrafi żyć w samotności, jest dla nich niepokojącą zagadką. Co by się stało, gdyby jego przykład miał być zaraźliwy!

Zadziwiło ją, że nie czuła się obrażoną tym szczerym przemówieniem, ale kiedy zerwał się na nogi i oparł o drzewo, zrozumiała, iż dotknęła go do żywego swoim przypuszczeniem.

- Dotrzymałem słowa i powróciłem - rzekł krótko - ale ponieważ nie ma pani żadnych pytań do zadania - żegnam!

- Proszę poczekać! - rozkazała.

Zatrzymał się wyczekująco, gotów już do odejścia. Wydało się Róży, że jeśliby ją teraz opuścił, życie straciłoby dla niej połowę swego uroku. Nie mogła określić, czego się od niego spodziewała, uległa jego dziwnemu czarowi, sama o tym nie wiedząc. To było tak, jakby nieznajomy miał klucz do tajemnicy, dla poznania której gotowa by oddać wszystkie posiadane skarby.

- Zamiast zadawać pytania - powiedziała w końcu - zdecydowałam się na jedno; proszę mi pozwolić przyglądać się, jak pan poluje w nocy. Chcę wziąć udział w życiu pana od północy do ranka.

Zmarszczył się i potrząsnął przecząco głową. Lecz ponieważ nalegała, zwrócił jej uwagę, że była to rzecz, której nie należy czynić ze względu na nią. Jemu by nie przeszkadzało, jeśli ona jedną noc zapoluje z

nim razem, ale gdyby się dowiedziano, że wyszła nocą z domu i była nieobecna przez tyle godzin, mogłoby to dać powód do niezliczonych plotek. Jednakże argumenty jego trafiały w próżnię, zbywała je niecierpliwym ruchem ręki. Nikt nie spostrzeże jej nieobecności, a jeśli by jednak coś zauważyli, powie, że wyszła sobie na spacer, nie mogąc usnąć.

- Musi istnieć jakaś inna przyczyna, dla której pan nie chce, żebym z nim poszła - rzekła mu otwarcie - coś, na czym panu zależy. Jeśli jednak pan myśli, iż nie potrafię mu dotrzymać kroku i zepsuję jego polowanie...

Powrócił do niej i usiadł na kamieniu porośniętym mchem, utkwivszy wzrok w dal, gdzie odbłask zachodu jeszcze był widoczny na śnieżnych szczytach gór, choć na nizinach dawno już było ciemno.

- Co pani robi najlepszego - odezwał się ponuro. - Wiodłem swobodne życie, nie czyniąc nikomu krzywdy. Nie dawałem światu nic z siebie, ale też i niczego od niego nie żądałem. Dzień zaczynał się dla mnie w południe, a kończył o świcie i byłem rad, jeśli mogłem się każdego dnia dobrze wyspać. Nauczyłem się zadawać jednym posiłkiem dziennie, a bywało, że i raz na czterdzieści osiem godzin, chociaż to pożywienie bywało niejednokrotnie owocem dwudniowego wytężonego polowania. Stałem się samowystarczalny, nie dlatego że posiadałem dużo, lecz dlatego, że niczego nie pragnąłem, chyba takich rzeczy, jakimi by żebrak pogardził.

O, wiedziałem dobrze, iż istnieją inne sprawy, dla których ludzie żyją i umierają, lecz odsunąłem je od siebie; nie bywałem nigdy samotny, gdyż nie miałem żadnych przyjaciół. Unikałem widoku ludzkich twarzy, aby nie naszła na mnie pokusa obcowania z nimi. Nie ma bowiem gorszego głodu niż tęsknota za towarzystwem. Ona jest nieraz przyczyną, dla której zbrodniarze powracają do swojego dawniejszego domu, choć wiedzą, że

grozi im tam niebezpieczeństwo! A teraz - ciągnął dalej człowiek z lasu - pani wtargnęła do mojej samotni, do mego prywatnego życia. Czy może mnie jednak pani zapewnić, że poznawszy panią, nie zatrzymam się nagle w połowie drogi, pragnąc panią zobaczyć; że nie porzucę ogniska tam wysoko - i wskazał na odległe ośnieżone wierzchołki gór - i nie zbiegnę po zboczach w dolinę, aby panią odnaleźć, a pani już tam może nie będzie?

Stał przed nią wyprostowany.

- Jeśli będę panią nadal widywać - dodał z ledwo dostrzegalnym uśmiechem - zapalam chęcią uczynienia z niej mojej przyjaciółki. Dlatego też nie pragnąłbym już więcej się z panią spotykać.

Patrzyła na niego z powagą, lecz także z pewną czułością, zrozumiała bowiem znaczenie tego oryginalnego komplementu. Potrząsnęła jednakże głową.

- To nie jest uczciwa gra - oświadczyła mu. - Kiedy pan zaczął żyć jak dziki człowiek, to z niezłomnym postanowieniem, że nigdy nie pozwoli nikomu z zewnętrznego świata wtrącać się do swoich spraw, teraz jednakże, gdy pana odnalazłam, słuszne jest, żeby pan ponosił konsekwencje tego.

Z kolei ona się podniosła. - Wyjdę z domu o północy i udam się na polankę w lesie, gdzie pana pierwszy raz spotkałam. Czy będzie pan tam czekał na mnie?

Nie odpowiedział jej, tylko wykonał nieznaczny gest wyrażający poddanie się jej woli, ona zaś odwróciła się od niego i podążyła ścieżką ku domowi.

Rozdział XVI

NA TROPIE SZEPCZĄCEGO

Tylko w jednym wypadku poker grany przez dwie osoby może stać się interesującym, a mianowicie jeśli chodzi o wysokie stawki, lecz Jerry Monson i Joe Montague grali na zapalki. Nie dlatego, żeby nie mieli pieniędzy, ale Monson, będąc sam łagodnego i pogodnego usposobienia, zauważył, iż gwałtowny charakter jego towarzysza czyni go nieobliczalnym, gdy przegrywa w karty, toteż stale odmawiał grania z nim na pieniądze. Zapewne tylko dzięki temu dyplomatycznemu postępowaniu byli tak długo przyjaciółmi. Bo, chociaż Joe zjednywał sobie przyjaciół swą ujmującą wesołością, tracił ich jeszcze prędzej z powodu swej diabelsko porywczej natury, objawiającej się w nagłych wybuchach gniewu.

Tasowali karty i rozdawali je kolejno, wygrywając i przegrywając na przemian, ale nie robiło to im żadnej różnicy, gdy kupki zapalek leżące po obu stronach stołu zmniejszały się, ponieważ mieli pełne pudełka, z których można było w każdej chwili czerpać nowe zapasy. Ten, który po zakończeniu gry miał mniej zapalek, był skazany na porąbanie drzewa i ugotowanie śniadania następnego ranka.

Nawet ta niewielka grzywna wystarczyła, aby Montague stracił cierpliwość i objawiał wzrastające podniecenie w miarę, jak gra postępowała naprzód, a szczęście wciąż mu nie sprzyjało. Zaczynał już robić sarkastyczne uwagi o stałym powodzeniu swego przyjaciela, kiedy Monson, który czytał w nim jak w otwartej książce, oświadczył nagle, że ma już dość tych głupich kart i woli zagrać w orła i reszkę, aby przypadek rozstrzygnął, kto będzie musiał się podjąć następnego dnia uciążliwego rąbania drzewa.

Rzucili monetę i Monson, jak to sobie z góry uplanował, przegrał.

Przyjął to niepowodzenie niedbałym wzruszeniem swych szerokich ramion i ziewnąwszy popatrzył na swoje posłanie. Na dłuższą metę zawsze potrafił wygrać większą stawkę od swego impulsywnego i rozrzutnego przyjaciela, a czego nie zdołał dokonać umiejętnością uzyskiwał drogą perswazji. Zresztą, w wypadku grożącego niebezpieczeństwa nieporównana zręczność Montague'a w posługiwaniu się bronią była niezawodnym środkiem ratunku, wartym wszystkich skarbów.

Monson zdjął pas, za którym miał zatknięty rewolwer, ściągnął jeden but i zamierzał uczynić to samo z drugim. Montague był również bezbronny, gdy nagle drzwi otworzyły się raptownie. Na progu stanął Stew Morrison ze swym haczykowatym nosem, zaczerwienionym od nocnego wiatru i małymi, błyszczącymi jak u ptaka oczkami. Ponadto w ogromnych zaczerwienionych rękach trzymał dwa duże kołty, skierowane do obu mieszkańców szałas.

Podnieśli niechętnie ręce do góry. Przez chwilę walczyli z pokusą, żeby nagłym rzutem dosięgnąć rewolwerów lub też przewrócić stół, na którym stała kopcząca latarnia, pograżając tym sposobem wnętrze szałas w ciemnościach. Ale zorientowali się szybko, że narażanie się w tych warunkach tak znanemu człowiekowi, jak Morrison, zakrawałoby na szaleństwo. Poddali się. Montague, posiadający więcej przytomności umysłu od swego przyjaciela, postanowił wyświecić sytuację.

- Słuchaj, Morrison - odezwał się do wysokiego mężczyzny - czy ci się tak źle wiodło ostatnio? Zbrakło ci funduszków i musiałeś obrać ten zawód?

Morrison kazał im trzymać ręce wzniesione do góry i obrócić się do

ściany. Gdy wykonali jego rozkaz, obszedł ich ostrożnie, zabrał noże i, nie znajdując już przy nich żadnej broni, pozwolił im opuścić ręce, i wygodnie usiąść.

- Niezbyt dobrze rai się powodziło - odparł na pierwsze pytanie. - Podjąłem się trudnego zadania, chłopcy, ale nie przewidywałem, że wykonując je spotkam się z wami. Wyście zdaje się uprawiali podejrzaną procedurę?

Wszyscy trzej starannie unikali wzajemnych spojrzeń.

- Jeżeli można nazwać podejrzaną procedurą babranie się w starej dziurze pod ziemią, jaką jest kopalnia złota - powiedział Montague wzdychając - to słusznie to określiłeś, Morrison.

Obejrzał się za siebie.

Morrison skinął głową. - Grzebaliście się w ziemi, chłopcy, poszukując złota?

- Tak - odpowiedzieli mu.

- Zwiedziłem sztolnię przed chwilą, przyświecając sobie zapalką, aby widzieć jak daleko posunęła się robota. Nie mogłem stwierdzić jednakże, żebyście się wkopali bardzo głęboko w górę.

- Kwarec to nie piasek - wyrzekł Monson.

- A wasze ręce, Joe - ciągnął Stew Morrison - jakoś nie noszą śladów dźwigania ciężkich narzędzi...

- Co to znaczy? - zapytał Montague gwałtownie. - Do czego zmierza cała twoja rozmowa, Morrison?

- Odgaduję to, o czym wiecie.

- Nie przywykłem rozwiązywać łamigłówek.

- Mam wrażenie, chłopcy, że nie z pracy w kopalni utrzymywaliście

się w ubiegłym roku.

- Pewno, że niewiele mieliśmy z tej ciężkiej pracy korzyści - przytaknął Monson.

- W takim razie musieliście chyba posiadać w banku złożoną gotówkę - odrzekł spokojnie Morrison.

- Nie mieliśmy ani grosza - wtrącił Montague pośpiesznie z obawy, aby jego towarzysz się nie wygadał. - Ale graliśmy szczęśliwie w karty, nieprawdaż?

Zwrócił się do przyjaciela, a tamten skinieniem głowy potwierdził słowa towarzysza, widząc w tym wyjście z trudnej sytuacji.

- Szczęście w kartach to dla was coś nowego - zauważył Morrison. - No, chłopcy, jestem bardzo rad, że was tu zastałem. - Mówiąc tak, prawie się do nich uśmiechał.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Monson, dręczony niepokojem i widokiem skierowanej ku sobie lufy rewolweru.

- Nie zgadniecie - odparł sucho Morrison. - Zdziwicie się, gdy wam powiem, że chcę wiedzieć coście robili niedawno w Mackerel Mountain.

Ludzkie nerwy nie mogą znieść spokojnie tak nieoczekiwane wymierzonego ciosu. Monson wytrzymał go dość dobrze, lecz Montague w najwyższym napięciu nerwów nie mógł się powstrzymać od skierowania wzroku w stronę wiszącego na ścianie swego rewolweru. Uprzytomniwszy sobie jednak, że ten mimowolny rzut oka mógł go zdradzić, zbladł, a pomyślawszy, iż ta bladość była wymowna, momentalnie poczerwieniał. Zaciął zęby i spojrzał złowrogo na swego prześladowcę.

- Co u diabła może mieć Mackerel Mountain wspólnego z

Monsonem, a tym bardziej ze mną? - zapytał?

Łowca przestępców bawił się rewolwerami, a jego małe ptasie oczka wpiły się w nich.

- Tam w górach leży trup człowieka - odparł krótko.

Cios ponownie był dobrze wymierzony, a zaraz po nim nastąpił trzeci.

- Z trudem przedostałem się tutaj, aby was zapytać, chłopcy, co wiecie o Szepczącym?

Montague stał odrętwiały, ale Monson zerwał się na równe nogi.

- Na miłość boską, Morrison, co masz na myśli?

- To co mówię, u diabła!

- Szepczący? Cóż ja mogę wiedzieć o nim?

- Usiądź, Jerry. Nie śpieszmy się. Chcę tylko otrzymać garść informacji.

- Nie - rzekł Montague. - Nie ma nic do powiedzenia, jeżeli chcesz coś wiedzieć o Szepczącym.

- Uczucia biorą w was górę - ciągnął dalej detektyw, zmieniając ton, jakim dotychczas do nich przemawiał. - Gdybyście byli uwięzieni, a rozeszłaby się wiadomość, że należycie do bandy Szepczącego, to nie wiem co ci z miasta byliby zdolni uczynić.

Cisza zapanowała w szalasie.

- Lecz gdybym się od was dowiedział czegoś ważnego o Szepczącym, to wówczas...

Ponownie urwał. Zaległo milczenie.

- Jerry - zawołał Montague nagle - nie mogę tego znieść. Muszę mówić. Zresztą wódz zawziął się na nas. Wiesz co to znaczy. Ja radzę

działać wspólnie z Morrisonem. Musimy tak uczynić!

Dreszcz oczekiwania przejął Morrisona, stłumił go jednak natychmiast w sobie.

- Owszem - zgodził się Monson - zresztą ktoś inny musiał się już przedtem wygadać.

Spojrzał pytająco na Morrisona, lecz ten tylko uśmiechnął się znacząco.

- Czekam, chłopcy - przypomniał im. - Mogę was zabrać na dół lub zostawić tutaj, wolnych jak ptaki, i nikt nie będzie wiedział że kiedykolwiek z wami rozmawiałem. Niczego innego nie chcę, jak tylko zostawić was w spokoju, ale w zamian za to, musicie mi wskazać ślad Szepczącego. On bowiem jest moim celem!

- Niech ci Bóg sprzyja w takim razie - przerwał Monson - gdyż polujesz na diabła.

- Oni się wszyscy tacy wydają, zanim się ich nie złapie. Ale potem oswajają się dość szybko! Przynajmniej ci, których dotąd widziałem.

Teraz dopiero rozwiązały się języki. Chociaż byli równie skryci jak inni członkowie bandy, lecz strach, jaki ich ogarnął przed Szepczącym od chwili zabicia Sama Championa, zmusił ich do otwartości. Monson mówił, a Montague uzupełniał od czasu do czasu jego opowiadanie szczegółami. Wspominali, jak to we czwórkę z Championem i Tirritem „pracowali” do spółki przez wiele lat, jak ostatecznie przystąpili razem do bandy Szepczącego. Śmierć tamtych dwóch wywarła na nich wrażenie, że Szepczący zamierza ich również zgładzić ze świata i obawa przed zamordowaniem skłoniła ich teraz do zeznań.

Wymienili więc ilość członków należących do bandy, ich adresy,

udział, jaki brali w popełnieniu rozmaitych przestępstw, to wszystko o czym wiedzieli lub czego się domyślali - poza tym wyznali szczerze, że informacje, dotyczące całej tej organizacji, jakich mogli dostarczyć, były nader ograniczone ze względu na sprytny sposób postępowania Szepczącego ze swymi podwładnymi.

Morrison zagwarantował im bezkarność. Entuzjazmował się on perspektywą wyłącznego posiadania wiadomości, które go miały doprowadzić na ślady najważniejszej sprawy, jakiej się dotychczas podejmował.

- Ale jakże dobrałeś się do nas? - spytał Montague, dręczony ciekawością.

- W ten sposób - odparł Morrison. - Zauważyłem pewne ślady, na razie jeszcze o niczym nie myśląc. Doprowadziły mnie do opuszczonej szopy, nie było w tym nic osobliwego. Rozejrzałem się po górach. Niedawno musiała się tam obsunąć mała lawina, zasypując jedną ze szczelin odłamkami skały, poza tym wszystko było tak jak dawniej. Z przyzwyczajenia spoglądałem bacznie dookoła i wówczas zauważyłem ślad konia, którego jedna podkova zaopatrzona była w haccele.

Okrzyk wyrwał się u ust Monsona.

- Tak, to był twój koń, ale nie wiedziałem wtedy o tym. Pamiętajcie, że ślady te już nie były świeże. Postanowiłem jednak zbadać je, nie dlatego abym przypuszczał, że mogą mi się one na coś przydać, a dla tej prostej przyczyny, że nie miałem nic innego do roboty. Podjąłem się wykrycia Szepczącego, lecz nie wiedziałem od czego zacząć poszukiwania. Więc tropiłem te ślady tylko dla rozrywki. Zajęło mi to dwa dni żmudnej pracy, ale po upływie tego czasu doszedłem do ich kresu.

Uważałem na znaki pozostawiane tu i ówdzie na skałach przez podkowę z hacelami i w ten sposób posuwałem się naprzód, wypatrując oczy aż mnie teraz bolały.

Ostatecznie dotarłem do waszej kryjówki. Zajrzałem do przylegającej szopy i tam odnalazłem konia z podkową na przedniej nodze. Wszedłem więc tutaj, żeby porozmawiać z wami.

- Ale skąd wiedziałeś - przerwał mu Monson - że jesteście w zмовie z Szepczącym.

- Chłopcy - rzekł detektyw wyszczerzając zęby w uśmiechu - ja o niczym nie wiedziałem. Miałem tylko nadzieję, że może uda mi się coś dowiedzieć, a ponieważ nie było innego punktu wyjścia, więc zaryzykowałem. No i blef się udał. Oto wszystko.

Rozległo się kilka stłumionych przekleństw, potem zapanowało długie milczenie.

Morrison przerwał je odzywając się. - Teraz towarzysze, jakeście już raz zaczęli mówić prawdę, to musicie w tym wytrwać. Chcę wiedzieć, gdzie mogę znaleźć Szepczącego.

Tamci dwaj spojrzeli na siebie posepnym, rozpaczliwym wzrokiem, wreszcie Montague wzruszył ramionami, poddając się.

- Trzeba żebyś przez pewien czas śledził pilnie Borgena - powiedział.
- To cię doprowadzi do Szepczącego.

- Borgena?

- On mieszka w Cross City..

- A co go zmusi do mówienia?

- Nic. Więcej się bowiem boi Szepczącego niż szubienicy. Ale on jest jedyny spośród nas, który widuje samego wodza. Obserwuj go z bliska, a

prędzej czy później zawiedzie cię do Szepczącego, nie wiedząc o tym.

Łowca przestępców rozważał tę radę przez dłuższy czas. W końcu wstał, skinął im głową i szybko wyszedł z szałasu. Jak tylko znikł, Montague przysunął się do Monsona i szepnął mu na ucho.

- Musimy ubiec Morrisona, kolego. Tak jak jesteś, boso, będzie mniej hałasu. Tędy przez tylne drzwi.

Pochwycili rewolwery i wyślizgnęli się na dwór, ale posłyszeli chrzęst żwiru koło szopy, gdzie trzymali swoje wierzchowce i jeden koń ruszył z miejsca w pełnym galopie, jakby uderzony ostrogami. Pobiegli naprzód jak najprędzej, ale zanim dosięgli szopy, Morrison był już daleko. Znał on ich dobrze i nie tracił cennego czasu, polegając na ich dobrej wierze.

- Czy ostrzeżemy Borgena? - rzekł wreszcie Monson.

- Nie - odparł Montague. Wpadliśmy, Jerry. Musimy teraz stawać po stronie Morrisona, im wcześniej Szepczący zostanie pojmany, tym lepiej dla nas.

Rozdział XVII

NIEPOŻĄDANA ESKORTA

Kiedy Róża Kenworthy udała się do swojego pokoju, była w stanie gwałtownego podniecenia. Powiedziała ojcu, że musi mieć jeszcze jeden dzień do namysłu nad oświadczynami Glenhollena, a gdy wybuchnął gniewem, nie odezwała się. Roztaczał jej przed oczami nęcącą perspektywę zjednoczonych posiadłości. Lecz chociaż takie wywody przekonałyby przedwyborcze zebranie obywateli, nie wzruszyły jakoś jego córki.

Wróciwszy do swego pokoju, sama dziwiła się swej stanowczości.

Nie pochodziło to z jakiejś wzmożonej niechęci do Glenhollena. Pozostał w jej oczach tym samym porządnym, uczciwym, młodym człowiekiem, jakim go zawsze znała. Ale teraz wiedziała, że mężczyzna może być kimś więcej, a nauczył ją tego człowiek z lasu. Siedziała długi czas przy oknie z łokciami opartymi na parapecie, zapatrzona w gwiazdy migocące nad górami, starając się wywołać w pamięci nie tyle jego twarz, co to dziwne, głębokie wzruszenie, jakim ją przejmowała jego obecność. Uczucie to, trudne do zanalizowania, przypominało radość dziecka, znajdującego się w nowym otoczeniu, wśród nowych zabawek.

Była w tym równocześnie i pewna doza melancholii, jak gdyby ten człowiek rozstając się z nią zabrał z sobą jakąś istotną część jej jaźni. Smutek jej był niejako odbiciem tych odludnych gór, wśród których on przebywał. O ile myśl o jego dzikim i swobodnym życiu wywoływała uśmiech na jej ustach, o tyle obawa, że mogłaby go spotkać śmierć osamotnionego i pozbawionego przyjaznej opieki, zmuszała ją do opuszczenia z westchnieniem głowy. Niewątpliwie bowiem czekał go taki koniec - niechby, na przykład, upadając złamał nogę lub zasypała go lawina śnieżna podczas wspinaczki - a zginąłby nieznanym.

Westchnęła i ponownie opanowała ją nieprzeparta chęć spotkania go raz jeszcze i nakłonienia, aby powrócił do życia cywilizowanego; przyznał przecież, że miała na niego pewien wpływ, którego się nawet do tego stopnia obawiał, iż zamierzał jej unikać. Na to wspomnienie uśmiechnęła się z lekka. Powiew wiatru przyniósł jej z ogrodu delikatne, upajające zapachy, a do oczu jej nabiegły łzy, przesłaniając gwiazdy, na które patrzyła. Zdziwił ją cokolwiek ten nastrój.

Jednej rzeczy przynajmniej była pewna; nie mogła na tyle

ryzykować, aby spotkać się z nim tej nocy, jak obiecała. Jakiż to szalony impuls mógł nią powodować wówczas, kiedy zaproponowała mu to spotkanie? Powracając myślą do tej chwili, odczuwała dziwny dreszcz i doznawała wrażenia, że to jakaś inna osoba siedziała tam w ogrodzie i rozmawiała z nieznajomym. Opanowała się wreszcie, zamknęła okno - bo powietrze stawało się chłodne - przysunęła krzesło do lampy, otworzyła książkę i zasiadła do czytania, pragnąc zatrzeć przeżyte w tym dniu wzruszenia.

Czytała długo, wreszcie ogarnęła ją senność. Właśnie rozważała, czy jej starczy cierpliwości, by się rozebrać, tak ją ciągnęło do łóżka, kiedy duży stary zegar, stojący w holu, zaczął bić. Ziewając liczyła uderzenia. Przy dziesiątym uderzeniu wstała z krzesła, gdy jednak posłyszała jedenaste, drgnęła ze zdziwienia, na wpół ocknąwszy się z ogarniającej ją senności. Wtem nieoczekiwanie wybiła dwunasta! Noc nadeszła tak prędko, że północ zaskoczyła ją zniemacka, a teraz już było za późno, aby się ubrać do wyjścia i spotkać człowieka z lasu, nawet gdyby chciała to uczynić.

Z chwilą, gdy Róża zrozumiała, że już jest za późno, obudziła się w niej niepohamowana ochota pójścia do lasu za wszelką cenę. Zrzuciła szybko miękkie pantofle, a wdziała sportowe obuwie, włożyła ciepły płaszcz, wcisnęła na głowę filcowy kapelusz i spojrzała przez okno w ciemność. Nie odczuwała teraz żadnej senności. Drżała z ożywczego podniecenia. Opuściła swój pokój, skradając się po cichu na dół do holu. Przeszedłszy obok dużego, białego cyferblatu zegara, któremu zawdzięczała przebudzenie, doznała nieprzyjemnego uczucia, że jakaś twarz śledzi ją z tyłu.

Drzwi prowadzące na dwór były zamknięte i zaryglowane, ale ona знаła mechanizm, więc zręcznie odsunęła sztaby i zasuwy, tak iż nie wydały najmniejszego hałasu, po czym znalazła się na dworze.

Wyciągnęła ramiona do góry w nagłym, radosnym odruchu, wiatr przyniósł jej mocny, przenikliwy zapach jodeł, a tam daleko, na północnej stronie, wznosiły się góry, zasłaniając rozgwieżdżone niebo. Miały potężniejsze kształty, niż w świetle dziennym.

Księżyc wschodził, zaćmiewając gwiazdy srebrnym blaskiem. Ucieszyła się z tego i ruszyła naprzód żwawym krokiem, gdyż lubiła i umiała chodzić. Nie potrzebowała jednak docierać aż do odległej polanki, bo zaledwie stanęła na brzegu małego strumyka utworzonego przez topniejące śniegi, jakich wiele przepływało przez las, cień jakiś padł przed nią; podniósłszy głowę zobaczyła nieznanego, stojącego po przeciwległej stronie strumienia. Przeszedł go w bród z łatwością, stąpając po wystających kamieniach, nawet - jak jej się zdawało - nie patrząc wcale na nie i zbliżywszy się do niej przemówił zmienionym głosem:

- Przyszedłem panią spotkać, lecz nie spodziewałem się eskorty. Jeżeli pani mi nie ufała, to po co było w ogóle przychodzić?

- Eskorty? - wyszeptała zdziwiona.

Wzruszył ramionami. - Jakiś wariat - wyrzekł pogardliwie - skrada się chyłkiem pani śladem. Może go wysłał ojciec pani - żeby panią pilnował!

Powiedział to w taki sposób, iż nie mogła nie odczuć jego myśli, że dwadzieścia podobnych przeszkód nie zdołałoby go powstrzymać, jeśliby chciał ją skrzywdzić.

Dała mu słowo honoru, że nie wiedziała nic o tym, że ją ktoś śledzi,

wobec czego odetchnął z ulgą.

- Proszę zatem iść prosto naprzód - rzekł - a ja się rozprawię z tym osobnikiem.

- Ale... - zaczęła.

- Nic złego mu się nie stanie, o ile ma mocne nerwy - powiedział człowiek z lasu i, zanim zdążyła coś odpowiedzieć, znikł wśród drzew.

Uśluhała rozkazu, pilnie uważając, czy nie dojdą ją z tyłu jakieś głosy. Lecz wszędzie było cicho. Nieznajomy już powrócił, prześlizgując się bezszelestnie jak wąż w trawie, aż doszedł do dużego drzewa z korzeniami wystającymi ponad ziemią i przylgnął do pnia, zamieniając się w niewyraźny cień, w którym nawet baczne oko z trudem rozpoznałoby ludzki kształt. Stał i czekał, podczas gdy z ciemności wyłoniła się postać, skradająca się szybko naprzód z gotowym do strzału rewolwerem w ręku. Przeszedł w odległości o sześć cali od człowieka z lasu, czyhającego przy drzewie i kroczył dalej, nagle jednak zatrzymał się i obrócił. Ale było już za późno. Znakomity Stephen Rankin, on to bowiem był, dostrzegł tylko lotny cień. Twarda pięść uderzyła go w prawą rękę, tak iż rewolwer wypadł z jego zdrętwiałych palców. Potem ciężar ciała napastnika przygniótł go i powalił bezgłośnie na ziemię.

Rankin, padając, trafił głową o wystający korzeń drzewa i zemdłał. Kiedy zaczął odzyskiwać świadomość, poczuł, że jest mocno związany, choć więzy nie wpijały mu się w ciało. Leżał na miękkim mchu i paprociach, ust nie miał zakneblowanych, a jego napastnik znikł. Mógł wołać o ratunek, ale nie chciał. Nie był przyzwyczajony do przebywania w lesie; jego wszystkie wyczyny, którymi się wslawił, miały miejsce w miastach. Toteż teraz w wyobraźni widział świecące zielone oczy dzikich

zwierząt, czających się do skoku na niego. Nie śmiał krzyczeć, aby nie zwabić innych wrogów. Leżał więc cicho pogrążony w rozmyślaniach.

Co to mogła być za ciemna postać, która wymknęła się z domu szeryfa o północy i którą tropił, dopóki się nie odwróciła i napadła go? Wydawało się detektywowi, że to był niewyraźny kształt kobiety, idący spiesznie w nocy, a przecież silna jak stal ręka, która go przewróciła, należała do mężczyzny. Wśród ponurych rozważań Rankin oczekiwał na zbawcze natchnienie, jakie by mu dopomogło do wydostania się z tej niemiłej sytuacji, obawiał się jednak, iż nie potrafi nic wymyśleć, zanim światło dzienne nie położy kresu koszmarowi.

Tymczasem człowiek z lasu powrócił do Róży, stąpając dużymi posuwistymi krokami jak Indianin. W mroku nocnym ze swymi długimi, sięgającymi aż do ramion włosami wydał się jej bardziej podobny do czerwonoskórego niż kiedykolwiek.

- Co mu pan zrobił? - zapytała.

- Związałem go - odparł spokojnie. - Będzie cicho leżał. Czy pani go zna? Nieduży mężczyzna, o grubej szyi i szerokich rękach.

- To Stephen Rankin. On tropi Szepczącego.

- Szepczącego? - zdziwił się tamten. Domyślała się po jego ruchu głowy, że wybuchnął śmiechem, choć jak zwykle, nie wydał żadnego dźwięku.

Rozdział XVIII

ZACZAROWANE MIEJSCE

Księżyc wznosił się coraz wyżej, aż wypłynął ponad wierzchołki gór, zalewając ciemno granatowe niebo mglistą poświatą o stalowym odbiciu. Gwiazdy bladły jedne po drugich, przygaszone cudownym blaskiem, jaki

rozsiewał księżyc, zbliżający się do pełni. Powietrze było przezroczyste i suche, gdyż już dawno nie padał deszcz, więc poza licznymi strumykami utworzonymi przez topniejące śniegi, leżące jeszcze gdzieśgdzie, nie było śladu wilgoci. Księżyc znajdował się już na pół drogi, kiedy Róża z nieznanym doszli do małej łączki, wyglądającej jak staranne dzieło rąk ludzkich. Teren był gładki, a otaczające go półkolem drzewa rosły w równych, jakby wymierzonych odstępach.

Miejsce to wydało się Róży jak zaczarowane; przystanęła opierając się ręką o pień drzewa i oddychając ciężko, bo z trudem wdrapała się tutaj. Serce jej biło mocno, twarz miała rozpaloną, a w ciągu ostatnie pół godziny ani ona, ani jej dziwaczny przewodnik nie wymówili słowa. Z początku podejrzewała, że padła ofiarą mistyfikacji, że, zamiast dopuścić ją do wzięcia udziału w swym nocnym życiu i asystowaniu w łowach, zamęczy ją forsownym marszem, a potem zniknie, zostawiając ją w lesie i będzie musiała sama szukać drogi wiodącej do domu. Lecz widok tego czarownego ustronia wzbudził w niej na nowo nadzieję. Spojrzała wyczekująco na człowieka z lasu.

Stał nieruchomy w wysokiej trawie, sięgającej mu do kolan, z twarzą zwróconą do księżyca. Trud wspinania, który ją nieomal wycieńczył, chociaż była wytrwałą, i zahartowaną w górskich wycieczkach, nie pozostawił na nim śladu. Przez cały czas uciążliwego marszu stale ją wyprzedzał, a jego lekki i sprężysty krok zdawał się naigrywać z jej bezsilności.

- Dokąd te ślady prowadzą? - zapytała.
- Tu się kończą - odrzekł.
- Ale pana polowanie...

- Odbędzie się tutaj, dzisiejszej nocy. Zaśmiała się przerywanym ze zmęczenia głosem.

- Pan żartuje.

- Jeśli pani ma na myśli śmiertelny wynik łowów, to na to jest jeszcze czas. Powiedziałem pani, iż pokażę jej jeden z najbardziej przeze mnie uczęszczanych szlaków i przyprowadziłem ją tutaj.

Zastanawiała się nad jego słowami, gotowa się uśmiechnąć, a jednak nie mogąc go zrozumieć.

- Na co pan tu poluje? - zapytała w końcu.

- Na rozmaite rzeczy, wystarczy mi zajęcia przynajmniej na miesiąc. W nocy widać niewiele, ale jest tego dosyć, jeśli się tylko wie, co znajdować i gdzie szukać.

Schylił się i zerwał kilka kwiatów spośród wysokiej trawy. - Oto dzika marchew i jaskier - powiedział, podając jej rośliny.

Wzięła je zdziwiona, wciąż uważając to wszystko za żart, lecz kiedy spojrzała na kwiaty, wydały się jej cudowne jak cała ta łączka. Barwy ich mieniające się w księżycowej poświacie nie były podobne do żadnych kolorów, jakie przedtem widywała.

Zaczął iść przed nią. Od czasu do czasu zatrzymywał się, aby dodawać coraz to nowe kwiaty do tych, które już trzymała w ręku.

- Niebieskie goryczki, dzikie astry - proszę to powąchać! Wręczył jej pęk traw, w których zanurzyła twarz, wdychając obfitą woń ulubionego przez pszczoły kwiecica koniczyny. Podążała za nim, aż doszli do samego środka łączki, przez którą przepływał strumyczek; nieznajomy przykląkł nad nią na jedno kolano.

- Tu jest jakby dusza tego zakątka - powiedział jej, łagodnie. - Na

razie pani tego nie odczuwa, ale jeżeli pani przykłąknie na chwilę i posłucha - oddychając jak najlżej...

Posłusznie uklękła nad wodą i nadsluchiwała z wpół przymkniętymi oczami. Nagle posłyszała jak gdyby korowód przeróżnych delikatnych dźwięków utworzonych z szelestu traw, poruszanych powiewem wiatru albo szumu drobnych fal strumyczka, rozbijających się z pluskiem o brzegi.

Trwała w bezruchu przez długą chwilę, aż w jej wyobraźni mały potoczek urósł do rozmiarów szerokiej, ogromnej rzeki, toczącej wolno i majestatycznie swe wody do morza. Trawy stały się wysokie i ciemne jak las, obrastający wybrzeża rzeki, a drzewa wydawały się wzgórzami.

Nagle mężczyzna powstał, sen przysł i Róża znalazła się znowu przy jego boku.

- Noc jest właściwą porą - wyrzekł przyciszonym głosem, jakby się obawiał, że coś spłoszy. - Ale i dzień ma swój urok. Tysiące owadów i wielkich motyli o skrzydłach barwnych jak klonowe liście w jesieni fruwać wśród kwiatów. Są też i ptaki, a to wszystko posiada swoją mowę, tworząc jeden wielki chór, brzmiący jednak tak cichutko, że rozwiewa się przy najmniejszym poruszeniu.

- Zresztą południe usposabia do drzemki, jest wtedy taki blask i ruch, iż mimo woli ogarnia senność, ale nocą panuje tu błogi spokój, przerywany jedynie szmerem roślin. Jeżeli tęskni się za czymś więcej, to można przywołać wspomnienia, które znajdują się jednak w księżycowej poświacie.

Obrócił się nagle do niej, marszcząc brwi. - Dlatego często przychodzę tutaj - powiedział.

Skinęła głową.

- Rozumiem pana, a przynajmniej usiłuję pojąć. Dotychczas rozumiałam góry jedynie jako dające możliwość wspinania się na nie lub jako ładnie wyglądający na tle nieba krajobraz, ale nigdy nie myślałam, aby się z nimi tak zżyć, jak pan to potrafił.

Westchnął z ulgą.

- Wierzyłem, że pani zrozumie - rzekł cicho i dodał nagle zupełnie innym tonem, pełnym entuzjazmu:

- Jest tu jeszcze wiele różnych rzeczy godnych uwagi, o których należy wiedzieć. Czy pani domyśla się w jaki sposób powstała ta łączka?

- Powstała? - powtórzyła.

- Oczywiście. Przecież wszystko w górach ma swoją przyczynę istnienia, każda dolina, przepaść, każdy wierzchołek, tak samo jak zmarszczki na ludzkiej twarzy zjawiają się z pewnego określonego powodu. Spadający lodowiec wyłobił wklęsłość w znajdującej się tu wówczas skale i powstało jezioro, podsycane wpadającymi doń górskimi potokami, niosącymi z sobą małe kamyki i piasek. Dookoła jeziora utworzyło się wybrzeże z mułu, zaczęły na nim rosnać trawy i sitowie. Osypujący się żwir i drobne odłamki skał zrównały po jakimś czasie dno jeziora z jego powierzchnią, a na żyznym zamulonym gruncie wybijała obfita roślinność. Dziś mamy tu naturalny trawnik.

- Czy pobyt w górach nauczył pana tego wszystkiego? - spytała.

- Nie można się nauczyć tych rzeczy tak od razu. Zacząłem je studiować, kiedy jeszcze byłem chłopcem. Mam zamiar opowiedzieć pani o sobie tak szczegółowo, że gdy skończę, będzie mnie pani znała na wylot, a wtenczas możemy się już więcej nie widywać. W dzieciństwie byłem

wątlęgo zdrowia, a musiałem chodzić całą milę do szkoły. Wydawało mi się, że wiek upłynął, zanim przebyłem przestrzeń dzielącą nasz mały biały domek z niebieskimi okiennicami od, otaczającego szkołę, chodnika wyłożonego cegłą. Wreszcie doktor zwolnił mnie ze szkoły i polecił mojej matce, aby mnie trzymała na świeżym powietrzu.

- Przez dwa lata używałem swobody i czułem się jak w raju. Moim ulubionym miejscem badań była, przepływająca opodal domu, odnoga zatoki. Młody las obrastał jej brzegi. Setki przeróżnych ptaków uwijały sobie w lesie gniazda, a gromady najrozmaitszych gatunków płazów i ryb pluskały się w wodzie. Studiowałem więc tę odnogę najpilniej, z takim zaciekawieniem, że żadna zła pogoda nie zdołała mnie zatrzymać w domu. Nawet zimą, gdy mgły powstające nad zatoką przesłaniały wzgórza i zagajnik z krzewów włoskich orzechów, chadzałem tam i zawsze odkrywałem coś nowego, nigdy nie spotkał mnie zawód. Wówczas już uczyłem się różnych rzeczy, toteż kiedy wiele lat później dotarłem do tutejszych gór, posiadałem pewne doświadczenie w tych sprawach. Czy mam pani jeszcze coś opowiedzieć o łączce, na jakiej się znajdujemy.

- Więcej o sobie. Dużo, dużo więcej!

- To by trwało za długo. Wszak obiecywałem pani udział w polowaniu.

- Ale ja myślałam, że będzie...

- Zabita zwierzyna?

- Tak.

- Może i to nastąpić, jeśli pani zechce. Spodziewam się zmierzyć dzisiejszej nocy z moim starym wrogiem.

- Bez broni?

- Owszem, posiadam ją - odparł wyciągając rewolwer. Skoro robota ma być dokonana na bliski dystans, to mi starczy za karabin.

Uśmiechnął się do niej, lecz w słabym świetle księżyca twarz jego przybrała wyraz ironiczny.

Rozdział XIX

POLOWANIE

Róża zaczynała już go teraz rozumieć.

Nie był to samotny wędrowiec, wiodący smutne życie na pustkowiu, bowiem pustkowie to przemawiało do niego rozlicznymi głosami tak wyraźnie jak do niej drukowana stronica książki. Nie czuł się nigdy samotny. Nawet skały i piaski opowiadały mu monotonnym szmerem swe stuletnie dzieje, a tu w lesie czas mu upływał szybko i niemal wesoło. Jej za to życie, jakie dotychczas prowadziła, wydało się w porównaniu z jego bogatym życiem puste i jałowe.

Zapytała go, kiedy zacznie się polowanie.

- Poluję już teraz - odpowiedział - czekając na mojego nieprzyjaciela.

- Czy nieprzyjaciel porusza się według zegarka?

- Przynajmniej bardzo regularnie, zapewniam panią.

- Czy pan chce powiedzieć - zawołała z nagłym przestraszeniem - że to człowiek?

Wzruszył ramionami. - Człowiek nie byłby tak straszny - odparł. Są inne stworzenia w górach, dużo groźniejsze. Na przykład gdyby pani misiowa zawzięła się na mnie, miałbym z nią sporo kłopotu, z człowiekiem zaś zawsze byłoby łatwiej. Ale rodzaj ludzki jest jak stugłowa hydra. Gdy się odetnie jedną głowę, dwie drugie wyrastają na to miejsce. Z tego powodu unikam ludzi. Jeśliby pani zdradziła mnie choć

słówkiem byłbym zgubiony. Z samej tylko ciekawości ludzie błądzą wśród lodów polarnych, a nie w celu odkrycia bieguna północnego lub południowego. Chcą dotrzeć tam, gdzie nikt przed nimi nie był. Dla tej też przyczyny zrobiliby obławę na mnie. Gdyby się dziesięciu nie udało, wówczas wyruszy stu. Tropiliby moje ślady dniem i nocą i w końcu nie uszedłbym im. Przypuszczam, że zaaresztowaliby mnie za włóczęgostwo.

Przyznała mu słusność. Ona sama gdyby tylko posłyszała o takim górskim podróżniku, nie miałaby spokoju, zanim nie dowiedziałyby się o nim wszystkiego. Zresztą nawet w chwili obecnej postępowała co najmniej dziwnie, starając się zdobyć serce wędrowca, lecz im bardziej pragnęła się doń zbliżyć, tym więcej stawał się dla niej tajemniczym.

- Już czas się zbliża - powiedział nagle. - Mój nieprzyjaciół jest niedaleko.

Z bijącym sercem skryła się z nim za wysoką skałą.

- Proszę się położyć na piasku - rzekł cicho zbierając kamieniste grudki, którymi teren był w tym miejscu usiany - i oprzeć głowę na rękę.

Uśluchała go. Rozciągnął się na ziemi obok niej. Przez pewien czas nic nie mówili. Róża zwracała baczność uwagę na otoczenie. Skała, pod którą się schronili, musiała kiedyś oderwać się i stoczyć z góry, łamiąc po swojej drodze drzewa jak wiotkie trzciny. Lecz zdarzyło się to już tak dawno, że las zdążył znów zarosnąć na miejscach spustoszonych. Znajdowali się na samym skraju łączki, drzewa z tyłu za nimi miały wygląd wysokich, prostych lanc, księżyc świecił jasno, lecz cień padający od skały okrył ich jakby czarnym całunem. Za ledwie mogła odróżnić postać leżącego obok siebie nieznajomego.

- Proszę uważać na tamto wzgórze z zachodniej strony - powiedział.

- Ale jeśli pani chce coś zobaczyć, to musi pani zmienić bieg swych myśli.

- Moich myśli? - spytała.

- Owszem. Są myśli tak głośne jak okrzyki. Ostrzegają one nieraz ludzi o grożącym im niebezpieczeństwie, zwierzęta zaś wyczuwają instynktem promieniowanie myśli innych istot znacznie lepiej.

- Nie rozumiem tego.

- Czy pani nigdy nie widziała psa gończego, tropiącego zająca? On polega jedynie na swoim węchu i wzroku. Cóż więc nim powoduje, gdy się przerzuca z jednego pola na drugie. To właśnie, że jakiś inny zając, przestraszony, dostrzegłszy psa, przycupnął tam z gwałtownie bijącym sercem. I ten strach zdradza go.

- Jakie to straszne...

- Prawda nie zawsze jest ładną. Inne przykłady - dlaczegoż koń staje przed chwiejnym mostem i nie chce iść dalej, chociaż nigdy przedtem tamtędy nie chodził? Cóż go ostrzega, że tam grozi mu niebezpieczeństwo? Dlaczegoż pies w czasie burzy ucieka spod drzewa, w które po chwili uderza piorun? Czy się pani zastanawiała kiedykolwiek na tym, jak często kierują nami trafne przeczucia? To tak wygląda, jak byśmy wiedzieli, że nasz instynkt w niektórych wypadkach pewniej nas wie, aniżeli nasza świadomość.

Czy widziała pani kiedy hazardującego się gracza? Wygrywa wtedy, gdy nie skupia wszystkich swoich władz umysłowych w jednym tylko kierunku - wygranej! Dlaczego najlepsi gracze najmniej ulegają podnieceniu? Bo, opanowując swe wewnętrzne odruchy, ułatwiają działacze instynktowi. Mówię pani, że widywałem człowieka, który chwilami wiedział dokładnie na jakim kolorze zatrzyma się koło ruletki!

Obawiam się, iż pani mi nie uwierzy!

- Rzeczywiście, to mnie oszłamia - przyznała Róża. - Kilkakrotnie próbowałam zdać się na los szczęścia i zawsze doznawałam zawodu.

- Bo zanadto pani o tym myślała. Znałem pewnego gracza, nadzwyczaj nerwowego. Lecz niebywałym wysiłkiem woli doprowadził swoje nerwy do całkowitego bezwładu. Żaden mięsień na jego twarzy nie drgnął i nic nie można było wyczytać z tej nieruchomej maski. Wygrywał lub przegrywał z uśmiechem albo zasepieniem, zupełnie nie odpowiadającym wewnętrznemu stanowi swych uczuć. Potrafił nie myśleć o niczym jak nowo narodzone dziecko i stawał lub nie stawał, zależnie od tego co mu instynkt podpowiadał. Kiedy instynkt milczał, przestawał grać. Wygrywał stale przez dziesięć lat.

Teraz, jeżeli pani będzie patrzeć na wierzchołek tego pagórka z zachodniej strony, starając się jednocześnie absolutnie o niczym nie myśleć, wkrótce coś się tam ukáže. Ale jeśli pani nie zdoła opanować swej ciekawości, to zaręczam, że tym samym odstraszy pani nieprzyjaciela.

Z początku skłonna była uśmiechać się powątpiewająco, nie mogła oprzeć się urokowi pewności bijącej z jego słów. Leżała zupełnie bezwładnie, wpatrując się bezmyślnie we wskazany punkt.

- O, tak jest dobrze! - wyszeptał jej towarzysz.

Przejęło ją to nagłym zdumieniem; jakim sposobem, nie obróciwszy nawet głowy, mógł on zauważyć, że się zastosowała do jego wskazówek. Ale zanim zdążyła się nad tym zastanowić, jakiś kształt zjawił się na szczycie wzgórza, widoczny wyraźnie na tle oświetlonego księżycem nieba.

Nie był to człowiek, ale ogromny wilk, z olbrzymią, podobną

cokolwiek do niedźwiedzia głową i wydłużonymi bokami szakala: groźny, mądry, okrutny niszczyciel. Zatrzymał się przez chwilę jak gdyby nad słuchując, potem zbiegł ze wzgórza równym truchcikiem, znikł w lesie i następnie z zadziwiającą chyżością ukazał się na brzegu łączki.

Już go nie mogła dostrzec, bo skrył się za skałą. Nieznajomy powstał, nagłym ruchem, Róża posłyszała odgłos jego szybkich kroków, okrążających skałę, rozległ się strzał i przejmujące wycie śmiertelnie ugodzonego wilka rozdarło powietrze. Dziewczyna zerwała się i zdążyła jeszcze zobaczyć, jak ranny zwierz ostatnim odruchem życia podskoczył do góry i opadł ciężko na ziemię bezwładną masą.

- Widziałem go kiedyś, jak zagryzł na pastwisku rocznego źrebaka - rzekł człowiek z lasu - i odtąd go tropiłem. Zwierzę, które zabija konia, jest moim śmiertelnym wrogiem. Szukałem go dwa lata, a mądra, stara bestia wiedziała o tym doskonale. Dostrzegłem jego ślady dookoła mego nocnego ogniska; zapewne gdy spałem, stawał nie opodal przyglądając mi się, gotów zatopić kły w moim gardle, powstrzymywany jednak nieznaną siłą - odchodził. W końcu przestałem go ścigać, i zacząłem obserwować.

Rozum człowieka bywa groźniejszy dla zwierzęcia niż sama broń. Poznałem wszystkie jego sposoby działania. Dokonywał napadów na źrebaki i cielęta po obu stronach gór i miał zwyczaj prawie zawsze przechodzenia przez tę łączkę - widocznie musiał mieć jakiś po temu powód. W każdym bądź razie o jednego mordercę mniej na świecie!

Rozdział XX

JEREMY SAYLOR

Odprowadził ją do fermy nad ranem, kiedy księżyc już zaczynał blednąć, i rzekł na pożegnanie:

- Nie powinienem był widywać się z panią. Czułem to od pierwszego spotkania - jakiś fatalizm pociągał mnie do pani, a teraz obawiam się, że las i góry nic już mi nie mówią.

Nie rozumiała znaczenia tych słów, dopóki nie znalazła się z powrotem w swoim pokoju. Leżąc w łóżku uświadomiła je sobie z rozkoszą. Chociaż wydawał się tak pewny siebie, miał mimo wszystko słabą stronę; zaczynał obawiać się jej wpływu, znaczyło to, że jednak nie przestawał myśleć o niej - słowem, że ją pokochał!

Róża Kenworthy siadła na łóżku i złożwszy ręce na piersiach zaśmiała się tak cicho, jak to czynił człowiek z lasu. Nie знаła nawet jego nazwiska, nie mogła stwierdzić, czy historia, jaką jej o sobie opowiadał, była prawdziwa czy zmyślona. To ostatnie przypuszczenie przejęło ją zimnym dreszczem. Położyła się z powrotem do łóżka i otuliła szczelnie kołdrą.

Przewracając się z boku na bok, przypomniawszy sobie zdarzenia tej dziwnej nocy - każde słowo, które on wymówił, lub krok, jaki wspólnie przedsięwzięli. Nagle jakiś cień mignął za oknem. Spojrzała i zobaczyła nieznanego, siedzącego na parapecie. Twarz miał pobladłą, rysy ściągnięte i zmienione oczy.

Na dworze już świtało. Mogli go łatwo dostrzec! Usiadła w łóżku, patrząc na niego z przerażeniem.

- Z chwilą, gdy się z panią rozstałem - rzekł jej posępnie - poznałem prawdę. Powróciłem, żeby pani powiedzieć swoje nazwisko. Nazywam się Jeremy Saylor. Chcę pani oznajmić, że Jeremy Saylor kocha panią! Dlaczego to wyjawiam, Bóg jeden wie! Nie mam nadziei, iż pani mogłoby coś zależeć na ubogim włóczędze, ale gdy mi pani powie szczerze i

otwarcie, że się tym wyznaniem ośmieszam w jej oczach, to może znajdę w sobie na tyle siły woli, aby przebywać z dala od pani.

Zamilkł. Czekał na odpowiedź. Róża nie zdołała wymówić ani słowa. Opanował ją lęk, lecz równocześnie i taka radość, że zdawało się jej, iż pokój nappełnił się złotym blaskiem słońca i zapachem róż, a szczebiot ptaków na pobliskich drzewach zabrzmiał w jej uszach jak najśłodsza muzyka.

- Gdy tak pani milczy, Rózo, nadzieja budzi się w moim sercu, czuję, że muszę panią zdobyć albo umrzeć dla niej.

Coś się poruszyło w głębi domu. Dziewczyną wstrząsnął dreszcz trwogi. - Idź, Idź! - krzyknęła do niego. - Znajdą cię tutaj - zobaczą i...

- Nie dbam o to, choćby mnie dziesięć tysięcy ludzi znalazło lub zobaczyło. Chodzi mi tylko o ciebie...

- Przyjdź tu do nas dzisiaj...

- Dzisiaj?

- Tak, tak... mój ojciec...

- Mój Boże, Rózo, czy to ma znaczyć...

- Sama nie wiem co to ma znaczyć...

- Przyjdę przed południem! - zawołał do niej cicho i znikł z okna, jak gdyby zawrotna wysokość dzieląca je od ziemi nie znaczyła dla niego więcej, niż krok postawiony na gładkim terenie.

Tak się jednak tym wystraszyła, że czym prędzej wyskoczyła z łóżka i wychyliła się przez okno. Nie dostrzegła na ziemi żadnych śladów, lecz posłyszała przytłumiony gwizd dochodzący z kępy drzew, otaczających dom z tej strony, i wśród liściastych konarów ujrzała go zegnającego ją skinieniem ręki. Odruchowo przycisnęła obie dłonie do ust i posłała mu

pocałunek, potem jednakże, zdając sobie sprawę ze swojego postępuku, osunęła się na krzesło i rozejrzała bezradnie dookoła, jakby szukając pomocy i pociechy. Doznawała dziwnego uczucia, że czyha na nią groźne niebezpieczeństwo, ale niebezpieczeństwo to posiadało tyle rozkosznego uroku, o jakim nigdy nie marzyła..

Tymczasem należało się rozmówić z ojcem i załatwić odmownie sprawę oświadczyn młodego Glenhollena. Zadrzała na myśl o uniesieniu szeryfa, lecz postanowienie jej było niezłomne. Ubrała się więc w sukienkę, którą ojciec najbardziej lubił i zasiadła z nim do śniadania pozornie w najlepszym humorze. Zresztą obawa przed jego gniewem tylko częściowo zaprzętała jej umysł - fakt, że Jeremy Saylor ją kochał, a ona jego, był najważniejszą rzeczą.

Dwukrotnie fermer próbował ją wybadać co do Aleksandra Glenhollena i dwukrotnie dała mu wymijającą odpowiedź, pamiętała bowiem mądrą radę zmarłej matki, iż nigdy nie należy się sprzeciwiać mężczyźnie, zanim nie zje śniadania i nie wypali papierosa. Poczekala więc aż ojciec, wypaliwszy cygaro po śniadaniu, udał się na przechadzkę do ogrodu, żeby podejść do niego i wyznać mu prawdę. Jej spokojna, lecz stanowcza odmowa poślubienia młodego Glenhollena uderzyła w niego jako grom, Róża zaś, pozornie opanowana, usiadła na ławce i obserwowała wzbierającą w nim wściekłość.

Szeryf pohamował się potężnym wysiłkiem woli, tak iż nawet zdołał uśmiechnąć się do córki i wyrzekł zdławionym głosem:

- Przypuszczam Rózo, że znalazłaś sobie godniejszego konkurenta?
- Takiego, którego kocham - odparła.
- Co! - ryknął fermer. Przeszedł się aleją tam i z powrotem, po czym

trochę uspokojony zwrócił się ponownie do córki.

- Rózo, mówisz rzeczy nieprawdopodobne, a więc twierdzisz, że kochasz innego człowieka?

- Tak.

- Gdzież go spotkałaś?

- W lesie.

- W lesie? Kiedy?

- Owej nocy, gdyśmy ścigali Szepczącego.

- Rózo, żartujesz sobie ze mnie?

- Mówię prawdę.

- Dobrze, dobrze! Spotkałaś więc tego - jakże się nazywa?

- Jeremiasz Saylor.

- Ach! I któż to jest?

- Młody człowiek.

- Gdzie mieszka?

- W górach.

- Niech to diabli wezmą! Rózo, nie drażnij mnie, bo i tak ledwo się hamuję! Pytam, gdzie się znajduje jego dom?

- On nie ma domu.

- Jak to?

- Wędruje po lasach.

- Włóczęga bez grosza przy duszy... łajdak, który się ośmielił... Na to ona powstała. Według stopnia oburzenia, jakie ogarnęło jej ojca mogła zmierzyć siłę swej miłości dla człowieka z lasu. Wypowiedziała dość spokojnie, co miała na myśli - że kocha Jeremy'ego Saylora, będąc już w tym wieku, w którym dziewczyna zdaje sobie sprawę ze swych uczuć; że

ojca bardzo kocha i chętnie by mu dogodziła wyborem przyszłego małżonka, lecz uważa się za narzeczoną Jeremy'ego Saylora, a jeśliby tego zaszła potrzeba, opuściłaby od razu dom ojca i wyrzekłaby się z lekkim sercem jego majątku.

- I poszłabyś za tym łowcą przygód jak indyjska niewolnica za swoim panem?

- Jak indyjska niewolnica - odpowiedziała niewzruszenie - jeżeli już chcesz, ojczu, wyrazić się w ten sposób!

Szeryf miał tu doskonałą okazję, by wybuchnąć gniewem i wypędzić córkę z domu, ale wysiłek, na jaki się zdobył, wyczerpał go doszczętnie. Poza tym mógł raczej oprzeć się hałaśliwym lamentom niż spokojnej stanowczości, a oto odnajdywał w córce tę samą niezłomną wolę, jaka cechowała jego żonę, której zawsze ustępował. Opadł więc na ławkę blady i trzęsący się. Wzniosłe marzenia o wielkości, absorbujące go od chwili pierwszej rozmowy z młodym Glenhollenem, rozwiały się jak tęcza, gdy chmura zasłoni słońce.

Róża uklękła przed nim ze łzami w oczach i ujmując jego obie ręce w swoje zapewniała go raz po raz, że nie ma rzeczy jakiej by nie uczyniła dla niego, z wyjątkiem wyrzeczenia się człowieka, którego pokochała. Wciąż jeszcze oszołomiony poprosił ją, żeby mu wszystko opowiedziała. Przystała na to chętnie i powtórzyła mu całą historię jej spotkania z tym oryginalnym człowiekiem z lasu i każde słowo, jakie jej opowiedział o sobie.

Zanim skończyła, fermer wpadł na nowy pomysł.

- Różo - rzekł - Bóg świadkiem, że na świecie mam jedno pragnienie, a jest nim - widzieć cię szczęśliwą. Tyle młodych dziewcząt

marnuje życie i szczęście ulegając lekkomyślnie porywom nagłego i gwałtownego uczucia, że chcę cię od tego uchronić. Gdy Saylor przyjdzie dziś do nas, przyjmę go bardzo życzliwie, chcę jednakże byś mu powiedziała, że nie możesz od razu wyjść za niego. Niech zamieszka u nas przynajmniej przez miesiąc. Po upływie tego czasu, o ile będziesz w dalszym ciągu go kochała, nie sprzeciwię się waszym zamiarom. Możesz chyba uczynić to dla mnie?

Obiecała mu to z jaśniejącą w oczach radością. Wówczas chytry szeryf poszedł szukać sprzymierzeńca. Znalazł go w osobie detektywa Stephena Rankina, który zjawił się tego ranka blady, z podkrążonymi oczami jak po nieprzespanej nocy. Był jednocześnie dziwnie przygnębiony i zamyślony. Ten stan szeryf przypisywał dotychczasowemu jego niepowodzeniu w odnalezieniu Szepczącego.

Rankinowi zwierzył się ze wszystkiego i powtórzywszy mu dosłownie historię usłyszaną od Róży, zapytał go: - Jak się panu zdaje, kim może być ten Saylor?

- Oszustem - odparł detektyw bez wahania. Przypomniawszy sobie z dreszczem odrazy noc, spędzoną przymusowo w lesie. - Żeby ktokolwiek mógł z zamiłowania wędrować po górach, to nieprawdopodobne, Mr. Kenworthy. On okłamuje pańską córkę!

Szeryf przytaknął i dodał zacierając ręce: - To na pewno jakiś zbieg, Rankin. Musi pan sprawdzić, skąd on uciekł. Prawdopodobnie pochodzi gdzieś ze Wschodu...

- Na Wschodzie nie spotyka się zagajników z włoskich orzechów, Mr. Kenworthy.

- A cóż to ma z tym wspólnego?

- Pan mówił, że on wspominał pańskiej córce o mgle, która powstawała nad zatoką i zasłaniała rosnący na szczycie wzgórza zagajnik z włoskich orzechów. Ten opis przypomina mi Kalifornię!

- Może być. Pan ma duże doświadczenie w tych sprawach!

- Zresztą w Kalifornii jest tylko jedno miejsce, gdzie mówią o „zatoce”, a to jest Zatoka San Francisco. Przypuszczam, że w ciągu tygodnia zdobędę już o nim jakieś wiadomości.

Feroner poklepał go poufale po ramieniu. - Dobrze! Dobrze! - powiedział. - Gdyby panu udało się zebrać dostatecznie obciążające poszlaki, bym mógł go osadzić w więzieniu, przeszkadzając w ten sposób niedorzecznym zaręczynom, to możesz sam wyznaczyć sobie nagrodę. Powiadam panu, że te dziesięć tysięcy dolarów, których pan zażądał za wykrycie Szepczącego, jest niczym w porównaniu z tym, co gotów jestem zapłacić za tę sprawę. Słowem, zrobiłbyś na tym majątek!

Rankin wznosił z krótkim westchnieniem oczy do góry. Gotów już był rozpocząć wywiad.

- Jak tylko zobaczę tego ptaszka - oświadczył farmerowi - to go dobrze wybadam. Kto wie... może nawet będę mógł go zdemaskować? Studiowałem bowiem album przestępców jak Biblię.

Rozdział XXI

WYŚMIANY

Rankin nie poznał jednakże Jeremiasza Saylora; Róża nawet odniosła wrażenie, iż właściwie go nie знаła. Ojciec pierwszy doznał wstrząsu na jego widok. Wszedł do pokoju córki z dziwnym błyskiem w oczach, oznajmiając o przybyciu jej przyjaciela. Dziewczyna poszła powitać Jeremy'ego z pewną obawą.

Ujrzała go siedzącego na krześle w kącie, odzianego w to samo zniszczone skórzane ubranie, w którym widywała go przedtem. Dopiero teraz uwydatniły się w nim rażąco duże dziury! Czarne jego włosy były starannie uczesane, spadały mu jedwabistymi falami na ramiona, słoneczne światło odbijało się w nich. W skórzanej kurtce na miejscu, gdzie zwykle znajdują się klapy, wyciął otwór, w który włożył pęk żółtych polnych kwiatów.

Nic dziwnego przeto, że ojciec jej, mówiąc o jego przybyciu, miał niezwykle błysk w oczach. Ona sama zarumieniła się na myśl, że kowboje widzieli go zbliżającego się w tym stroju do domu i że mieli się wkrótce dowiedzieć o jej z nim zaręczynach. Tłumiąc jednak to wrażenie jako niegodne jej uczucia, powitała Jeremiasza z całego serca. Ale rozmowa nie kleiła się. Swobodna i męska niezależność, cechująca jego zachowanie się w lesie, znikła całkowicie. Siedział sztywny na krześle, rozglądając się dookoła siebie, jak gdyby w obawie, że obrazy wiszące na ścianach mogły zamienić się w nieznanych wrogów, a sufit w każdej chwili spaść mu na głowę.

Róża zapytała go o powód tego zdenerwowania, on zaś wyznał, że czuje się nieswojo wśród tyłu murów, będąc przyzwyczajony do życia na otwartym powietrzu. Stosownie do życzenia ojca zaproponowała mu, żeby spędził pewien czas w ich domu; pokój był już przygotowany na jego przyjęcie i miano mu dostarczyć ubrania oraz wszelkie potrzebne drobiazgi, które by go upodobniły do cywilizowanego człowieka, postarano się nawet o fryzjera dla niego.

Lecz to wszystko jakoś nie trafiało mu do przekonania. Dotykając czarnych loków zapewnił, że obcięcie ich sprawiłoby mu zbyt wielką

przykrość. Nagłe uczucie wstrętu powstrzymało Różę od nalegania. Siedząc tak milcząco z oczami utkwionymi w podłódze, chciała już głośno oświadczyć mu, że popełniła błąd i że musi on wrócić do lasu. Nie śmiała nawet patrzeć na niego, gdy nagle jakiś ptak zaświergotał za oknem; spojrzała na Saylora ukradkiem i zauważyła, jak podniósł głowę z uśmiechem, a wówczas ponownie wydał jej się przystojnym, pociągającym mężczyzną!

Nie było innego wyjścia jak uzbroić się w cierpliwość, chociaż człowiek, który zdobył nocą jej miłość, różnił się krańcowo od lękliwego, nieokrzesanego osobnika, jakim okazał się w dzień! Kazała ironicznie uśmiechającemu się służącemu zaprowadzić Jeremiasza do przeznaczonego dlań pokoju. Po drodze spotkali Stephena Rankina i po wyrazie jego twarzy, odgadła, że musiał coś wiedzieć. Na pewno zamierzał podzielić się swoimi wiadomościami z kowbojami. Jakże oni wszyscy będą kpić z biednego Jeremiasza i tych kwiatów przypiętych do skórzanej kurtki! Zatrzymała się, pragnąc poprosić detektywa o zachowanie swoich wrażeń dla siebie, ale duma zwyciężyła i przeszła z podniesioną głową.

Potem spotkała ojca. Miał ten sam rozbawiony błysk w oku, który już dostrzegła u Rankina. Poglądził ją po rękach i zaczął się śmiać w przystępie dobrego humoru.

- Złotko - powiedział - widywałeś tego nędznego osobnika jedynie o zmroku i dlatego ci się spodobał. Nie wytrzymasz nawet miesiąca, za tydzień będziesz już go miała dosyć razem z jego kwiatami!

Wybuchnął tak głośnym śmiechem, aż się szyby zatrzęsły. Jakież to straszne upokorzenie! Nie mogła wymówić ani słowa. Czuła w tej chwili, że gdyby nie pogardzała Jeremiaszem Saylorom, to by go znienawidziła -

ale on nie zasługiwał na nienawiść!

Te sprzeczne uczucia miały Różę przez cały pierwszy dzień pobytu Jeremiasza u nich, lecz ukrywała je starannie przed innymi, a zwłaszcza przed nim samym. Dziwne to było, że człowiek taki spostrzegawczy w lesie, w domu stał się nagle tak mało domyślny! Przy stole przechodziła prawdziwe męki, Jeremiasz nie zwracał na nikogo uwagi, zapominał nawet o jedzeniu. Miała ochotę chwycić go za ramiona i porządnie wytrząść, tak jak nauczyciel karci nieposłusznego ucznia, lecz zamiast tego, musiała siedzieć spokojnie i znosić skierowane na nią zażenowane lub współczujące spojrzenia obecnych. W tych okolicznościach nawet nie śmiała spotkać się ze wzrokiem Jeremy'ego, ale gdy się wreszcie odważyła to uczynić, zauważyła, iż oczy jego nie są całe czarne, a mają chwilami odcień niebieskawy.

- Jakiego rodzaju było twoje przedsiębiorstwo zanim zbankrutowało?

- spytała się go pewnego wieczoru.

- Prowadziłem handel kolonialny - odrzekł Jeremy.

Ta odpowiedź dobiła ją. Ale czekały ją jeszcze inne przejścia. Kowboje zatrudnieni w fermie szeryfa przyjęli wiadomość o przybyciu obcego człowieka, który zdobył serce Róży Kenworthy, najprzód ze zdziwieniem, potem wesoło a w końcu ze zgrozą. Ostatecznie sprawa ta nie nadawała się do śmiechu. Dotyczyła pośrednio ich honoru. Czuli bowiem, że jeśliby dozwolili uwielbianej przez wszystkich dziewczynie wiązać się z tym podejrzanym osobnikiem, zhańbiliby się na zawsze.

Jeden kowboj przewiskiem Shorty został wysłany w charakterze delegata dla dokładnego obejrzenia nowego przybysza i zdania relacji kolegom ze swych spostrzeżeń. Kiedy wrócił, był tak żółtoblady, jakby

nagle zachorował. Splunął gwałtownie, po czym przemówił do towarzyszy oczekujących jego słów w milczeniu.

- To nie mężczyzna - rzekł, krzywiąc się pogardliwie - to jakiś szczur! Przysięgam, iż mówię prawdę! Ma wystraszone, nieszczerze wejrzenie. Nosi długie włosy i przystraja się kwiatami!

Te okropne wieści były długo rozważane w milczeniu przez obecnych, aż wreszcie najstarszy, Bill Matthews, powstał i przemówił z całego serca.

- Chłopcy, wiem, że istnieją hipnotyzerzy, którzy robią z ludzi wariatów. Na pewno on zahipnotyzował dziewczynę. Zdaje mi się, iż tacy rośli, trzeźwo myślący mężczyźni, jak my, powinni by się postarać o przywrócenie jej utraconego rozsądku.

Szlachetna propozycja spotkała się z ogólnym uznaniem. Zdecydowali, że z ułożeniem stosownego planu, należy poczekać na odpowiednią Okazję, mogącą im dać pole do działania.

Następnego dnia doszła ich nowa pogłoska. Róża miała ponoć dość tej całej historii, ale ponieważ sama sprowadziła nieznanego z Lasu do domu, duma nie pozwalała jej zrywać zaręczyn, które ją jedna już nudziły i zawstydzaly.

Podstawą tej plotki była burzliwa rozmowa, jaka miała miejsce między farmerem a córką. Jeremiasz Saylor bawił u nich już od trzec dni, wreszcie szeryf postanowił wyświecić sytuację.

- Rózo - rzekł - na miłość boską, zakończ tę komedię! Miej na tyle cywilnej odwagi, aby się do tego przyznać i powiedz mu, żeby wracał, skąd przyszedł!

Na to wezwanie dziewczyna nic nie odparła. Zaczerwieniła się, lecz

widać było, że coś ją nurtuje. Ale jej ojciec popsuł sprawę, ciągnąc dalej swe wywody.

- Między nami mówią, temu Saylorowi chodzi tylko o pieniądze. On wie dobrze, że nie może się z tobą żenić, ale chce tu siedzieć, póki mu nie zapłacimy za odejście. Osobiście jestem gotów w każdej chwili ofiarować każdą zażądaną przezeń sumę. Mogę mu nawet przyznać stałą rentę, niech sobie zamieszka, gdzie mu się podoba!

Róża wybuchła gniewem. Wspomniała łączkę w górach skąpaną w księżycowym świetle i odważne zastrzelenie ogromnego wilka.

- Przyznaję, że jest inny niż my wszyscy - oświadczyła ojcu - ale przyjdzie czas, kiedy zrozumiecie co to za człowiek! Zaskoczy was to jak piorun z jasnego nieba! Ja doznałam na sobie tego uczucia!

Szeryf odszedł do swego pokoju, z trudnością tłumiąc irytację. Tylko pierwsza część tej rozmowy doszła do publicznej wiadomości. Odpowiedź Róży pozostała nieznaną. Wywołałaby niewątpliwie Wybuchy śmiechu wśród nieokrzesanych, szorstkich ludzi.

Czekali dotąd na próżno na sposobność rozprawienia się z człowiekiem z lasu. Unikał ich bowiem starannie. Czasami podchodził do grody przeznaczonej dla stadniny i opierając się o płot patrzył dużymi, niewinnymi oczami, jak pędzono konie na lince. Niekiedy przechadzał się samotnie po polach, ale gdy tylko dostrzegał z daleka zbliżającego się do niego kowboja, zawracał spieszenie z powrotem.

- Ona musiała się czegoś domyślić i ostrzegła go - mruknął Shorty pewnego wieczoru do towarzyszy. - Widzi przecież, że jest tchórzem, a jednak obstaje przy nim. Na nic się nie zda otwierać jej oczu, chłopcy!

- Głupstwa mówisz, Shorty - odrzekł Bill Matthews. - Kiedy

wysmarujemy Saylora smołą i wytaczamy go w pierzach, gdy zobaczy go takim czarnym - posłyszysz nasz śmiech. Żadna kobieta nie wytrzyma z człowiekiem, który dał się wystawić na pośmiewisko, chłopcy!

Rozdział XXII

ZLECENIA

Stew Morrison uważał, że nowe otoczenie, w jakim chwilowo przebywał, znakomicie ułatwia mu jego zadanie. Znany był we wszystkich miasteczkach i pojawienie się jego wywoływało moc plotek i komentarzy. Zresztą wiadomo było, że śledzi zbrodniarzy, toteż gdy przybywał do danej - miejscowości, elementy przestępcze ulatniały się stamtąd czym prędzej.

Lecz w miasteczku, gdzie mieszkał Lew Borgen, nikt nawet nie słyszał nigdy o Morrisonie, który z błogością zażywał całkowitej swobody ruchów. Wykrył szybko, gdzie się mieści skład kolonialny należący do Borgena i wynajął w najbliższym sąsiedztwie pokój mający tę dobrą stronę jak potem tłumaczył gospodyni - że był położony na zachód, więc wschodzące słońce nie mogło budzić lokatorów. W rzeczywistości, chodziło o to, iż z tego pokoju doskonale obserwował mieszkanie Borgena, znajdujące się z tyłu za jego sklepem.

Borgen urządził się bardzo wygodnie. Domek otoczony był ogródkiem, w którym rosło kilka drzew owocowych, wznosiła się tam altana opleciona winogradem i rozciągał się gładki, zielony trawnik. Kiedy Morrison porównywał ten zakątek ocieniony szmaragdową zielenią z rozpalonymi piaskami pustyni, doznawał rozkosznego uczucia ciszy i spokoju.

Czasami widywał właściciela pod wieczór, siedzącego na trawniku

pod drzewem włoskiego orzecha. Niekiedy czarny sługa podawał mu tam kolację. Chwilami lekki wietrzyk przynosił Morrisonowi przez otwarte okno miłą woń cygara palonego przez Borgena.

Był on jedynym mieszkańcem miasteczka, który mógł sobie pozwolić na utrzymywanie służącego i palenie hawańskich cygar i sprawiał takie wrażenie jak gdyby od dzieciństwa rósł w dobrobycie. Morrison, który znał przeszłość Borgena, uśmiechał się sarkastycznie. W miasteczku mniemano, że Borgen ostatnio wzbogacił się pracując w kopalniach. Gdzie owe kopalnie znajdowały się - nikt dokładnie nie wiedział. Niektórzy wymieniali Alaskę, inni zaś Montanę.

W każdym razie posiadał on niewątpliwie dużo pieniędzy i nie liczył się z groszem. Poczynił znaczne wkłady do prowadzonego przez siebie sklepu kolonialnego, zaś ceny jego towarów były nie tylko umiarkowane, lecz nawet trochę niższe od cen pobieranych w takichże sklepach w sąsiednich miasteczkach. Jego współobywatele byli tym tak zdziwieni, że wręcz zapytali go o przyczynę.

- Widzicie - odpowiedział Lew Borgen - nie jestem tu przelotnym gościem, który chce was obedrzeć i ruszyć dalej. Zamierzam osiedlić się tutaj na stałe. Nie chodzi mi o to, by zarobić miliony w krótkim czasie, pragnę tylko zapracować na dostatnie utrzymanie. To mi wystarcza” a jeśli jesteście z tego zadowoleni, to wszystko w porządku.

Nauczył się uśmiechać po dawnemu, zaczął tyć, co najbardziej uwidaczało się na jego twarzy. Detektyw zauważył to, śledząc codziennie ze swego okna ogródek Borgena. Osobiście żywił tysiące podejrzeń co do jego osoby, lecz nie mógł ich poprzeć żadnymi dowodami.

Pewny był, że tajemniczy osobnik jest bandytą i to tym

niebezpieczniejszym, że sprawia wrażenie człowieka spokojnego i mało mównego. Wydawało się nieprawdopodobne przyłapanie Borgena na gorącym uczynku przestępstwa.

Na razie musiał więc ograniczyć się do śledzenia Borgena i poświęcał temu cały czas. Aby nie zwracać niczyjej uwagi, Morrison opowiadał, iż cierpi na gruźlicę i przyjechał na zachód dla leczenia się suchym, czystym powietrzem. Jego mizerny wygląd potwierdzał to. Litowano się nad nim i unikano go, co właśnie było mu na rękę. Poruszał się swobodnie w dzień i w noc, a nikt nie wszczynał z nim rozmowy.

Chociaż minęło już dziesięć dni od czasu rozpoczęcia obserwacji, żaden najmniejszy dowód nie mógł stwierdzić prawdziwości zeznań Monsona i Montague'a. Borgen po mistrzowsku udawał zamożnego człowieka, który wycofał się z interesów i obecnie zabawia się w skromnego detalistę. W końcu, chcąc śledzić go z bliska, Stew Morrison zaryzykował ukrycie się w krzakach jego ogródka. Leżał tam przez całe popołudnie. Wieczorem ujrzał Borgena, który usiadł w pobliżu jego kryjówki, gwizdząc i paląc cygaro. Nic jednak nie usłyszał prócz kilku banalnych słów zamienionych przez Borgena z jego służącym. Morrison odczuwał mimo wszystko, że to jest jedyna szansa, powinien ją zatem wykorzystać do ostatka.

Powrócił więc do ukrycia następnego popołudnia i leżąc tam, piekł się w słońcu, gdyż krzaki ocieniały go niedostatecznie. Tego wieczoru jednakże Borgen wcale się nie pokazał. Na trzeci dzień zjawił się wprawdzie na zwykłym miejscu, lecz znowu nic nie zaszło. Noc zapadła i w jej mroku zaledwie dostrzegalnie rysowała się sylwetka Borgena i błyszczało czerwone światełko jego cygara.

W tejże chwili Morrison usłyszał szept. Ku jego przerażeniu szept ten pochodził z krzaków oddalonych od kryjówki zaledwie o parę stóp. Nie śmiał obrócić głowy, a jednak wydawało mu się niemożliwe, by żywa istota mogła prześlizgnąć się do tego miejsca, stąpając bezszelestnie po kruchych gałęziach i zeschniętych liściach. Drżąc cały, wpatrywał się w ciemności i nasłuchiwał.

Borgen zerwał się od razu z cichym pomrukiem. Morrison usłyszał jak wyjąkał: „Boże”!

- Usiądź, wariacie!, - zabrzmiał szept.

Borgen opadł z powrotem, jakby popchnięty niewidzialną ręką.

- Ktoś może nas dostrzec - ciągnął dalej. Zachowujesz się jak osioł, Borgen!

- To... to mnie zaskoczyło - rzekł Borgen.

- Zakryj ręką usta, Borgen, nie mów tak głośno. Jeśli tylko słyszysz sam siebie, możesz być pewien, że i ja ciebie słyszę. Kto zajmuje pokój w tamtym domu, na drugim piętrze?

- Pewien samotnik.

- Na pewno?

- Tak.

- Ma ładny widok z tego okna. Może co wieczór oglądać twoje tłuste plecy, nieprawdaż?

Borgen wzruszył ramionami, lecz Morrisonem wstrząsnął dreszcz trwogi. Dziwne to było, że osobnik Jen - a nie wątpił, że był to sam słynny, straszliwy Szepczący - ód jednego wejrzenia dostrzegł grożące Borgenowi niebezpieczeństwo! Bo czymże to okno mogło wzbudzać podejrzenie? Było ono wprawdzie otwarte, lecz o tej porze prawie wszystkie okna były

otwarte! Morrison zrozumiał, iż rzeczywiście tropi lwa!

- O co chodzi? - zapytał Borgen.

- Robota, Borgen, oczywiście. Czy jesteś gotów.

- Naturalnie! Ale...

- No, co?

- Wodzu, ja już dość uzbierałem! Z twoim pozwoleniem chętnie bym zaprzestał uprawiania tego fachu. Może ktoś inny z chłopców obejmie starszeństwo. Mnie wystarczy to co mam, a już nerwy odmawiają mi posłuszeństwa.

Szepczący nie odpowiedział od razu na to dziwne wyznanie. Milczał przez chwilę, jakby rozważając w myśli to, co usłyszą}, potem zaś rzekł:

- Bardzo dobrze, Borgen, ale gdy raz wycofasz się z naszej bandy, to już więcej do niej nie możesz powrócić, rozumiesz. Gdybyś po wystąpieniu z bandy utracił wszystko, nie licz na nią dla ponownego wzbogacenia się. Odplacam ci szczerością za szczerość!

Borgen zaprotestował.

- Jeśli to ujmujesz w ten sposób, wodzu, to oczywiście pozostaję z wami aż do końca.

- Pomyślimy jeszcze o tym. A teraz mam robotę dla ciebie.

- Jestem gotów na wszystko.

- Stałeś się za tłusty i za leniwy na to, aby móc wiele zdziałać - rzekł ostro herszt bandytów - chcę jednak, żebyś zawiózł ode mnie rozkaz dwom naszym chłopcom.

- Którym? - spytał Borgen posłusznie, pragnąc ułagodzić gniewnego zwierzchnika.

- Jerry i Montague.

- Mogę dotrzeć do nich jutro o świcie.

- To dobrze, ale musisz jechać tam i z powrotem nocą, bowiem w miasteczku nie powinni nic wiedzieć, o twojej wyprawie.

- Dobrze, wodzu.

- Jedź na złamanie karku; powiedz mi jednak przedtem, czy ci chłopcy są uczciwi i lojalni w stosunku do nas?

- O ile wiem - tak!

- W takim razie, to dziwne, że obaj zamierzają wyjechać na Wschód. Wygląda to, jak gdyby chcieli od nas uciec, czyż nie?

Borgen zachłysnął się ze zdziwienia, a podsłuchujący detektyw znowu drgnął całym ciałem. Otrzymał bowiem właśnie od nich wiadomość, że obawiają się dłużej pozostać w tych okolicach.

- Wyjechać na Wschód - tchórze! - mruknął Borgen.

- A ty także zamierzasz nas opuścić; widzę, że pozwoliłem wam wszystkim zanadto utyc - powiedział Szepczący. Ale jedź i zawieź im takie zlecenie: „Niech wyruszą w drogę jutro w południe do Jessup. Mają jechać przez dolinę Richmond. Gdzieś po drodze odbiorą dalsze zlecenia, dokąd muszą się udać i co wykonać”. Zrozumiałeś?

- Jutro w południe - przez dolinę Richmond - zlecenia po drodze. Pojmuję, wodzu. Czy jeszcze masz coś do rozkazania?

- Tak. - Po krótkiej i znaczącej przerwie, herszt odezwał się znowu: - Powiedz też wszystkim innym chłopcom, co wiesz o projektowanej przez tych dwóch ucieczce na Wschód i zawiadom ich, że Montague i Monson będą przejeżdżać jutro po południu przez dolinę Richmond.

Rozległ się lekki szelest w krzakach.

- Wodzu! - stęknął Borgen.

Szepczący nie odrzekł nic, ale znikł tak cicho i szybko, jak się pojawił.

Rozdział XXIII

W DOMKU

Rankin łączył w sobie cechy właściwe psu gończemu i buldogowi; posiadał udoskonalony zmysł tropienia śladów i odznaczał się zawziętością, gdy pochwycił wroga. Wierzył w osiągnięcie celu wytrwałością. Przecież stale spadające krople wody mogą wydrążyć kamień. Zdążając pociągiem do Kalifornii, zdecydowany był doprowadzić zadanie do końca. Poza tym szczerze się ucieszył w duszy, iż pozostawia za sobą górzyste i bezludne okolice. Zapewniał sam siebie, że nigdy by w mieście nie mógł być tak zaskoczony i z maltretowany, jak to mu się zdarzyło w owym lesie. Spieszno mu było wrócić do cywilizowanych krajów.

Dojechał do miasta Richmond, skąd rozpoczął swoje poszukiwania.

Wynajął mały samochód i udał się nim w kierunku południa. Dla orientacji posiadał zaledwie dwie wskazówki: domek, który chciał odnaleźć, znajdował się w pobliżu małej zatoki, a po wtóre stał w niewielkiej odległości od miasteczka.

Odszukanie tego domku stanowiło dość trudne zadanie. Gdziekolwiek bądź dojeżdżał, do jakiejś wioski lub miasteczka, starannie zwiedzał okolice, bowiem gdy Saylor opowiadał Róży, że mieszkali o milę od miasteczka, to mógł w chłopięcej wyobraźni pomylić się w określeniu dokładnej odległości. Rankin czuł, że nie powinien lekceważyć żadnej choćby problematycznej możliwości.

Detektywowi niejednokrotnie przychodzili z pomocą miejscowi

mieszkańcy. Kalifornijczycy są bardzo gadatliwi. Zarówno stateczni farmerzy, jak również i chodząca do szkół młodzież, chętnie udzielali mu wszelkich informacji.

W ciągu tygodnia dowiedział się o dziesięciu rodzinach, noszących nazwisko Saylor. Wszystkie te rodziny zamieszkiwały w pobliżu mniejszych lub większych osiedli, lecz żadna z nich - w białym domku z niebieskimi okiennicami, stojącym nad zatoczką.

Rankin posuwał się stale naprzód, osłabł wprawdzie nieco w swoim zapale, lecz nie ustawał ani chwili. Dotarł do słynnych z malowniczego położenia wzgórz Berkeley, ale w danej chwili piękne widoki były mu całkowicie obojętne.

Czwartego dnia wędrówki po wzgórzach natrafił niespodziewanie na mały, biały domek z niebieskimi okiennicami. Detektyw zaklął. Wprawdzie wyglądało to zupełnie na miejscowość, jaką opisywał Saylor, lecz Rankin napotkał już przedtem kilka podobnych domków, odpowiadających temu opisowi, z których żaden jednakże nie był tym, którego poszukiwał.

Położenie tego domku nie we wszystkim zgadzało się z tym, co o nim mówił Saylor. Wprawdzie wioska, o której on wspominał, mogła się znajdować za wzgórzami, lecz zamiast zatoki widniało tylko nie opodal podsycające bagnisko, a zachodni pagórek, który miał być porośnięty drzewami włoskiego orzecha, był goły jak dłoń.

Detektyw spoglądał na domek znużonymi oczami. Miejscowość tchnęła spokojem. Z obu stron domku rosły olbrzymie drzewa włoskich orzechów tak, iż w porównaniu z nimi sam domek wydawał się malutki. Chociaż słońce mocno przypiekało, od rozłożystych konarów padał

przyjemny cień. Pod każdym z drzew stały ławeczki, a kwiecisty ogródek uwydatniał się wielobarwną plamą.

Wszystko tam było schludne i uporządkowane. Płotek okalający siedzibę nigdzie nie był uszkodzony, a widocznie niedawno pomalowany na biało, błyszczał w słońcu na tle ciemnej zieleni przylegającego do żywopłotu.

Jakiś uczeń nadchodził w stronę detektywa, machając zamasyżycie tornistrem. Był opalony jak Murzyn, a buty miał pokryte kurzem. Gdy Rankin się do niego zwrócił z zapytaniem, chłopiec przystanął, otwierając szeroko zdziwione oczy.

- Czy nie wiesz chłopcze, kto mieszka w tym domku?

- Mrs. Richards - odparł uczeń. - Czyżby jej tam nie było? Ona zawsze przesiaduje w domu!

Zainteresowanie chłopca tym niezwykłym faktem przewyciężyło jego nieśmiałość, wobec czego chętnie odpowiadał detektywowi.

- Ona pewnie drzemie teraz - mówił chłopiec. - Jeśli nie szyje siedząc przed domem albo nie pracuje w ogródku, to na pewno znajduje się wewnątrz domu.

- Widzę, że szedłeś kawał drogi - powiedział Rankin, na pozór zmieniając temat rozmowy. - Daleko masz do szkoły?

- Około mili.

Serce detektywa zabiło żywiej.

- Czy jest tu gdzieś miasteczko?

- Owszem. Szkoła znajduje się na przedmieściu.

W Rankina wstąpiła nadzieja, lecz gdy spojrzął na zachodni pagórek, goły jego szczyt zdawał mu się urągać.

- Powiedz mi - czy rosły kiedy jakie drzewa na tamtym wzgórzu?

- Pan ma na myśli zagajnik z włoskich orzechów? Wycięto go w zeszłym roku. Nie było już z nich pożytku. Ojciec mówił, że szkodziła im mgła, powstająca nad zatoką.

Rankin po tych słowach ze wzruszenia zapomniał o chłopcu, nie zastanawiał się już dłużej nad istnieniem wyschniętego bagniska, które napełnione wodą w czasie dżdżystej pory, mogło być od biedy uważane za zatokę. Bez wątpienia było to miejsce, którego poszukiwał i świadomość ta wstrząsnęła nim do głębi. Chłopiec poszedł dalej, powłócząc w kurzu nogami, w chwilę potem otwarły się drzwi domku.

Wysoka, lekko zgarbiona kobieta, która się ukazała na progu, była zapewne ową panią Richards. W rękach, na których miała rękawiczki, trzymała polewaczkę i motykę. Detektyw podszedł do niej, uchylając kapelusza, ona zaś powitała go uśmiechem, który wzbudził w nim rzadko odczuwane pragnienie usłużenia jej w czymkolwiek.

- Czy pani jest panią Richards? - odezwał się.

- Pan mnie zna? - zapytała łagodnym i spokojnym głosem. Było prawdopodobne, że taka kobieta mogła przez zbytnią macierzyńską troskliwość wychować owego bojaźliwego i niezyciowego osobnika, zowiącego się Saylorem, który wkradł się w łaski córki szeryfa. Ale dlaczego ukrywał swoje prawdziwe nazwisko? Rankin był pełen niecierpliwego oczekiwania.

- Słyszałem o pani w miasteczku - odpowiedział jej. - Mówiono mi, że pani ma u siebie najpiękniejszy na świecie winograd z gatunku Virginia Creeper.

Winograd, o którym wspomniał, rzucił się od razu w oczy. Jego

brązowy pień z popękana korą był tak rozrośnięty, że przypominał drzewo. Zielone pędy tworzyły przed frontowym wejściem jak gdyby altanę i pokrywały dach aż do komina. Była to rzeczywiście wspaniała roślina. Pani Richards zeszła z wejściowych stopni i przyjrzała się jej uważnie.

- Duże jest - rzekła - ale widywałam ładniejsze. Czy pan się interesuje ogrodnictwem?

- Bardzo! - skłamał na poczekaniu Rankin.

- Mam niebrzydkie kwiaty - powiedziała z nieśmiałą dumą, wskazując je detektywowi zapraszającym ruchem ręki.

Rankin natychmiast wszedł na podwórko. Jego niezręczne i nieumiejętne pochlebne odezwania się o delikatnych, biało-różowych kwiatach, łatwo mogły ją przekonać, że wprowadzał ją w błąd, ale była zbyt zajęta swym ulubionym tematem, aby być usposobioną krytycznie. Oprowadzała go po ogródku, on zaś wśród uśmiechów i pochwał oczekiwał sposobności, by jej zadać kilka pytań. W końcu zaryzykował rzucone od niechcienia zdanie, że szkoda jednak, iż nie posiada ona energicznego męża lub dzielnych synów, którzy by jej pomagali w pracy.

- Mój mąż umarł i mój biedny Charles także, lecz Jack mi pozostał, drogi Jack! - odrzekła mu na to. - Tylko, że on przebywa obecnie w Kanadzie.

- W Kanadzie? - mruknął detektyw. Serce zabiło mu gwałtownie.

- Jest traperem w angielskich koloniach.

- To ciężkie życie!

Oświadczyła mu, że Jack je polubił, a zresztą miał tak wątłe zdrowie, że choć tęskni za nim, lecz godzi się na tę rozłąkę, gdyż tamtejsze powietrze lepiej mu służy. Detektyw zastanowił się. Było jednakże dużo

prawdy w zwierzeniach, jakie czynił Saylor swej narzeczonej.

- Jack tam dobrze zarabia - ciągnęła dalej starsza pani, widocznie ujęta okazywanym przez Rankina zainteresowaniem jej ogródkiem. - On utrzymuje tu wszystko. Bóg wie, ile ze swego zarobku zachowuje dla siebie, bo tak dużo mi przysyła, kochany chłopiec!

Rankin wydawał się głęboko wzruszony tym dowodem synowskiego przywiązania. Oświadczył, że sam miał starą matkę, toteż cieszy się, słysząc o tak dobrym synu. Pani Richards była zadowolona. Po upływie niespełna pół godziny detektyw już siedział przed domem, popijając herbatę z filiżanki z chińskiej porcelany, ongiś własnoręcznie malowanej w kwiaty przez samą panią domu. Opowiadał jej, uśmiechając się uprzejmie, że właśnie wraca z Zachodu i kilkakrotnie miał okazję zwiedzenia Kanady. Zasypała go pytaniami. Czy lato bywa tam bardzo upalne, a zima mroźna? Czy tamtejsi mieszkańcy są dobrzy i czy wątpy młodzieniec nie jest narażony na złe traktowanie?

Rankin opowiadał jej cierpliwie. Gdy czegoś nie wiedział, kłamał bez zająknięcia. Ze słów jego wynikało, że zima w Kanadzie jest o 15 stopni mroźniejsza, niż w najmroźniejszych okolicach, ale zapewnił swą słuchaczkę, że to zimno nie daje się we znaki przy „odpowiednim ubraniu”. Ta pozorna wszechwiedza zachwyciła panią Richards. Jego zdaniem, nawet życie w podbiegunowych strefach nie jest zbyt uciążliwe. Do tego czasu, twierdził, syn jej niezawodnie się zahartował.

- Pan tak sądzi? - spytała żałośnie. - Mój biedny Jack był zawsze delikatny jak dziewczynka! Trudno było się go dobudzić! Ta jego fotografia... Urwała w pół zdania.

- Ma pani jego fotografię?

- Och, naturalnie!

- Pani mi tyle o nim naopowiadała, czy mógłbym ją zobaczyć?

Pani Richards rada była z nadarzającej się okazji pokazania jej. Zaprowadziła swego gościa do saloniku, gdzie do połowy spuszczone rolety przepuszczały łagodne światło.

- Oto mój Jack - rzekła, biorąc dużą fotografię, stojącą na fortepianie. Instrument ten, jakkolwiek nie używany, był starannie utrzymany.

Detektyw wziął do ręki fotografię i bacznie się jej przyjrzał.

Była to bez wątpienia podobizna Jeremiasza Saylora. Ta sama pociągła twarz i duże ciemne oczy oraz ten sam wyraz tęsknej zadumy na twarzy. Podobieństwo było uderzające, chociaż w rzeczywistości życie na otwartym powietrzu przyciemniło cerę wędrowca.

Ale pewien ważny szczegół zwrócił uwagę Rankina. Podbiegł z fotografią do okna, aby móc ją obejrzeć w pełnym oświetleniu.

- Ależ panie! - wykrzyknęła pani Richards przestraszona, jak gdyby lekarz wykrył w jej synu jakieś zatrważające symptomy - co pan widzi takiego w Jacku?

- Jego włosy - zawołał detektyw, zbyt podniecony, aby zachować ostrożność. - Jakiego koloru są jego włosy?

Rozdział XXIV

ZASADZKA

Stew Morrison po krótkim wahaniu przewyciężył swoje skrupuły. Właściwie powinien dosiąść konia i pośpieszyć z ostrzeżeniem do Monsona i Montague'a, lecz poczucie lojalności względem swego klienta skłaniało go do pozostawienia ich własnemu losowi. Mieli mu oni służyć za przynętę, przy pomocy której spodziewał się ująć Szepczącego.

Zanim się jednakże zdecydował obrać ten drugi kierunek, musiał stoczyć walkę z własnym sumieniem.

- Jakże możesz - mówiło sumienie do Stewa Morrisona - pozwolić, aby ci dwaj ludzie jechali na pewną śmierć, gdyż niewątpliwie taki jest zamiar Szepczącego!

- Jeśli tym sposobem zdołam go ująć - odrzekł Stew Morrison swemu sumieniu - uczynię więcej dla ludzkości, niż gdybym ocalił życie tym dwom bandytom, którzy prędzej czy później marnie skończą!

- Powoduje tobą chęć zdobycia obiecanych przez fermiera pieniędzy - szeptało dalej sumienie.

- W tym wypadku bardziej chodzi mi o prawo i porządek - bronił się Stew - robię to w interesach ogółu!

Ostatecznie postanowił poświęcić tę dwójkę, aczkolwiek byli oni niejako jego współnikami, w nadziei, że nieuchwytny herszt, mszcząc się na nich, sam wpadnie w zasadzkę.

Uporawszy się w ten sposób ze swoim sumieniem, detektyw przystąpił z całą energią do wykonania zamierzonego planu działania.

Plan ten polegał na tym, że miał on ukryć się gdzieś w dolinie Richmond, przez którą mieli obaj zdradzający swego wodza bandyci przejeżdżać. Kiedy Jerry i Joe stanęliby oko w oko ze swym straszliwym zwierzchnikiem, który w tak niepojęty wprost sposób dowiedział się o ich niewierności, Morrison bezpośrednio zaatakowałby Szepczącego.

Chociaż Stew był rozważnym i dzielnym zapaśnikiem oraz wybitnym strzelcem, który niejednokrotnie wychodził cało z niebezpiecznych starć, to jednakże rozumiał dobrze, iż nie może się sam jeden zmierzyć z Szepczącym. Wobec tego uznał konieczność przybrania

sobie do pomocy kilku ludzi, z którymi nie potrzebowałby się dzielić osiągniętą w tej wyprawie chwałą i nagrodą.

Detektyw wiedział, gdzie może znaleźć ludzi, którzy zgodziliby się wziąć udział w tak niebezpiecznym przedsięwzięciu. W tym celu spędził całą noc i następny rano porozumiewając się z gromadą włóczęgów. Byli to dawni przestępcy, którzy okupili swoje życie i wolność wydając władzom wybitniejszych i groźniejszych swoich towarzyszy.

Ten tchórzliwy postępek zraził do nich zarówno prawomyślnych obywateli, jak i świat przestępczy. Od tej pory opuszczeni i pogardzani przez dawnych swoich kolegów wiedli marną i beznadziejną egzystencję.

Tacy ludzie, nie mając już nic do stracenia, chętnie wynajmowali się do podobnych usług, gdyż chodziło im wyłącznie o zarobek. Przewidujący Morrison znał ich wszystkich i gdy zachodziła ostateczna potrzeba rekrutował sobie spośród nich eskortę. Toteż i teraz wybrał czterech najodważniejszych, zatwardziałych eskryminalistów, którzy zgodzili mu się towarzyszyć. Nosili oni następujące przydomki: Chris, Red, Lefty i Porky. Jakie były ich prawdziwe nazwiska - sami już nie pamiętali.

Z wyglądu byli oni bardzo podobni do siebie. Twarze mieli wychudłe, włosy długie, ciemną z brudu i opalenia skórę i niezwykle błyszczące oczy. Posiadali też oryginalnej, nigdzie nie widzianej rasy konie - z brzydkimi głowami i wygiętymi w kształcie garbu grzbietami, dzikie i złe, chyżością jednak przewyższały jelenia, a wytrzymałością - wilki. Z tak skompletowanym oddziałem uzbrojonym w karabiny i rewolwery Stew Morrison wyruszył w stronę doliny Richmond i przed południem przybył na miejsce przeznaczenia.

Dolina Richmond była właściwie tylko wąskim wąwozem między

dwiema wielkimi górami. Wąwóz ten niezawodnie uformował się przez pęknięcie skały i dno jego było zasypane dużymi odłamami i bryłami, wśród których wiła się kręta ścieżka. Niemożliwe było przebyć ją w szybkim tempie.

Morrison ze swymi ludźmi zajął pozycję na górze o sto stóp wyżej ponad dno wąwozu, w miejscu, gdzie załomy skały przedstawiały bezpieczne schronienie, a równocześnie pozwalały objąć wzrokiem całą dolinę. Z miejsca tego względnie łagodna pochyłość umożliwia łatwiejszy zjazd na dół. Przeciężny koń nie potrafiłby wprowadzić tego dokonać, lecz na wpół dzikie wierzchowce Morrisona i jego towarzyszy były zwinne jak górskie kozice. Zająwszy w ten sposób stanowisko, detektyw spokojnie oczekiwał dalszych wydarzeń. Karabiny jego towarzyszy panowały nad wąwozem. Byli to znakomici strzelcy. Każdy z nich umiał trafić sokoła w locie. Wszyscy oni mogli strzelać spokojnie do człowieka jak do zwierzyny. Nie zdarzył się taki wypadek, żeby spudłowali. Z chwilą gdyby Szepczący się ukazał - pięć karabinów wzięłoby go na cel.

W międzyczasie Morrison rozkazał swoim ludziom bacznie obserwować nie tylko samą dolinę, ale i zbocza przylegających gór, aby uniemożliwić niespodziewane pojawienie się Szepczącego. Wprowadzić zręczny i obeznany z górami człowiek mógłby prześlizgnąć się wśród skał niezauważony, nawet przez pilnie śledzące pięć par oczu. Nie wydało się to jednakże prawdopodobne, gdyż Szepczący wraz z ewentualnymi swymi podkomendnymi wjeżdżałby zapewne śmiało do wąwozu i zanim by dojechał - padłby martwy.

Detektyw opisał go swoim towarzyszom szczegółowo. - On jest

średniego wzrostu, lecz ma tak szerokie ramiona, że wydaje się niski. Prawdopodobnie zjawi się w czarnej masce. Włosy jego, o ile można będzie je dostrzec, są czerwono-rude.

Nie potrzebował dodawać nic więcej. Cztery pary bystrzejszych od orlich oczu obserwowały cały wawóz, tak iż jemu pozostawało tylko wyczekiwać rezultatu. Nadeszło już gorące południe, a nikt się nie zjawił. Wawóz przeistoczył się w rozpalony piec, Morrison ze swymi towarzyszami pocili się w milczeniu, lecz trwali nieruchomo z cierpliwością dzikich zwierząt, czyhających na zdobycz.

Wtem usłyszeli szmer. Od strony południowej dwóch jeźdźców zdążyło powoli do wejścia doliny. Jerry i Joe zbliżali się do zasadzki. Lecz gdzież była ta zasadzka?

Rozdział XXV

OSTATNIE ZABÓJSTWO

Pięć bowiem par sokolich oczu nie dostrzegało, prócz nadciągających jeźdźców, jakichkolwiek oznak, znamionujących obecność w dolinie Richmond innej ludzkiej istoty. Lefty nagle zawołał: - Klnę się na nieba, że Szepczący dowiedział się, iż my tu jesteśmy i nie pokaże się wcale!

- Musi się pokazać - odrzekł Stew Morrison, potrząsając głową. - Zależy mu na tym, żeby członkowie jego bandy byli przekonani, że on wszystko może i niczego się nie obawia. Jeśli rozkazał tym dwom przejeżdżać tędy, to na pewno tu ich spotka. Nie może przecież narażać się na utratę swego autorytetu, tłumacząc podwładnym, że zląkł się pięciu uzbrojonych ludzi, on, taki niezwyciężony!

Mruczał to więcej do siebie niż do towarzyszy, jak gdyby sam

niezbyt wierzył w swe słowa.

- Ten cały Szepczący to musi być oszust - powiedział Porky. - Zresztą byłby wariatem, chcąc sam jeden atakować Monsona i Montague'a. Ja ich znam, to są twardzi ludzie. Strzelają szybko i celnie, a nie potrzeba im powtarzać dwa razy tego samego. Szepczący nic by z nimi nie wskórał bez pomocy innych. Żaden człowiek na świecie tego by nie dokonał...

Przerwał mu to rozumowanie stłumiony okrzyk Lefty'ego. Wszyscy spojrzeli w głąb wąwozu i ujrzeli dziwny widok. Na ścieżce ukazał się, bynajmniej się nie ukrywając, niski, barczysty człowiek w masce.

Nie trzymał on w rękach broni, bowiem ujął się pod boki, ale z obu stron pasa wisiały mu rewolwery, których dotykał palcami. Widocznie musiał krzyknąć na jadących, gdyż ci zawrócili konie i stanęli w miejscu twarzą ku niemu.

- Na litość boską! - jęknął Morrison. - Strzelajcie teraz prędko, zanim on uśmierci tamtych dwóch!

Jego czterej towarzysze robili co mogli, aby dobrze chwycić na cel stojącego w dole osobnika. Ale nie była to łatwa sprawa, gdyż zamiast stać nieruchomo, co by umożliwiło trafienie go, Szepczący stale się poruszał w różnych kierunkach. Gdyby się znajdował trochę bliżej od nich, byłiby go mimo wszystko dosięgli kulami. Lecz na tę odległość było to niemożliwe.

W rezultacie, chociaż pięć karabinów skierowano w jego stronę i palce spoczywały na cynglach, nie padł żaden strzał. Każda bowiem nieostrożność mogła mieć śmiertelny przebieg dla Jerry'ego i Joe'go, którzy stali tyłem do swych nieznanym sprzymierzeńców.

Na razie trudno było odgadnąć o czym rozprawiano na dole; Szepczący mówił coś szybko, ci dwaj zaś zaprzeczali czemuś stanowczo. Herszt wskazywał na załomy skał w górze, gdzie leżał ukryty ze swoją eskortą detektyw. Monson i Montague obrócili w tym kierunku głowy, lecz widocznie nic nie dostrzegli.

Wówczas Szepczący nagle wyrzekł jakieś słowo, po którym tamci obaj porwali za broń. Lecz Szepczący z błyskawiczną szybkością strzelił dwukrotnie i w momencie, gdy obie jego ofiary osuwały się z siodeł na ziemię, on skoczył w bok i znikł za skałami.

Jakby cudem uniknął salwy, która w ślad za tym zagrzmiała. Strzały bowiem nastąpiły tak szybko, że wszystkie kule chybiły prawie o jeden cal. Można było przysiąc, że ten niezwykły bandyta nosił zbroję, czyniącą go nietykalnym.

Widząc to cała piątka skoczyła na konie i rozpoczęła za nim pościg. Zaledwie jednak wysunęli się poza osłaniające ich skały, gdy przed nimi zagwizdały kule. Pierwszy z jeźdźców zostałby niechybnie ugodzony, gdyby się był w porę nie cofnął.

Musieli zatem zsiąść z koni i ponownie się ukryć. W tym momencie Szepczący mignął im w załomach góry. Natychmiast dano do niego trzy strzały.

- Trafiłem go w nogę! - zawołał Porky.

- Kłamiesz! - wykrzyknął Chrys. - Dostał ode mnie w głowę. Czyż nie widzieliście jak upadł?

- To ja go raniłem w plecy! - powiedział Lefty. - Na pewno już ma dosyć!

Wszyscy trzej wybiegli z ukrycia. Przywitał ich grad kul. Klnąc i

zachłystując się ze zdumienia, musieli cofnąć się z powrotem.

- No, rzeczywiście zabity! - zakpił Stew Morrison.

- Chyba nosi jakiś amulet, chroniący go od złego - przysięgał Porky, rzucając na ziemię swój karabin i stanowczo odmawiając dalszego strzelania. - Jeśli nieprawdą jest, że trafiłem go w nogę pomiędzy kolanem a biodrem, to niech już nigdy więcej nie utrzymam w garści karabinu!

- Ależ - przerwał mu detektyw i w tejże chwili sam pociągnął za cyngiel. - Znowu spudłowałem! - mruknął do siebie. - Mimo wszystko coście, chłopcy, myśleli i mówili, on żyje, rusza się i wkrótce może nam umknąć!

- To nie jest normalne - wyrzekł Lefty. - Ja nigdy nie widziałem czegoś podobnego!

Stew Morrison jednakże zachował więcej zimnej krwi od swych towarzyszy, nie był więc zbyt zdziwiony tym, co się wydarzyło. Słyszał niejednokrotnie od całego grona myśliwych, że każdy z nich trafił kulą niedźwiedzia, a pomimo to zwierzę uciekło. Gdy je zabito następnego dnia, okazało się, że ciało jego nie nosiło żadnych śladów od poprzednich kul, chociaż mierzyli doń myśliwi, którzy szczycili się celnymi strzałami do tarczy ze znacznej nawet odległości. Ale polować na niedźwiedzia to co innego niż na człowieka, w dodatku tak słynnego jak Szepczący.

- Ten nieuchwytny diabeł nie jest bardziej zaczarowany od każdego z nas - powiedział Morrison swym ludziom, uśmiechając się spokojnie. - Ale zarówno wy, jak i ja - dodał dyplomatycznie - potraciliśmy głowy. Zapewne również Jerry i Joe doznali tego samego uczucia i dlatego tak łatwo Szepczący ich zamordował!

Ta rozsądna przemowa przywróciła im zachwianą równowagę.

Każdy z nich zaciął zęby i opanował podniecenie. Ale szanse ich zmniejszały się z każdą chwilą, gdyż Szepczący wdrapywał się za osłonę skał coraz wyżej, co niesłychanie utrudniało celowanie doń.

- Zejdźcie na dno wąwozu! - zawołał Morrison nagle, uprzytamniając sobie, że upragniony obiekt wyślizguje się z jego rąk. - Zostawcie konie tutaj. Lefty i Chrys, starajcie się dotrzeć jego śladami do krawędzi tamtego urwiska. Nie ma teraz obawy, by Szepczący do was strzelał, zbyt jest bowiem zajęty wydostaniem się z tej matni. Pozostali zaś dwaj niech staną u wylotów doliny, zagradzając przejście. Ja pozostanę tu i dla upozorowania, żeśmy się stąd nie ruszyli, będę hałasował za pięciu.

Dotrzymał słowa i pozostał w dotychczasowej kryjówce, strzelając bezustannie. Jego dwaj ludzie pośpiesznie wdrapywali się na urwisko. Ale jeszcze nie dosięgli szczytu, gdy Szepczący niespodziewanie wyłonił się z krzaków rosnących niemal prostopadle na samej krawędzi skalnej ściany. Uchwycił się wystających gałęzi, rozhuśtał i przerzucił przez sterczący do góry brzeg skały, za którym rozpościerało się płaskowzgórze, gdzie już był bezpieczny.

W tym momencie oczywiście Morrison i dwaj zmierzający na dół jego towarzysze skierowali do niego szereg strzałów. Lecz ruchy Szepczącego były tak szybkie i niespodziewane, że udaremniały celność tych strzałów. W każdym bądź razie uniknął śmierci, dokonując czynu, który wsławił jego imię na całą okolicę.

Tymczasem dwaj wysłani przez Morrisona na dno wąwozu ludzie dotarli do leżących tam ciał Jerry'ego i Joe'go. Monson zginął na miejscu, lecz Montague widocznie żył jeszcze przez chwilę i zdołał na skale napisać własną krwią: - Szepczący jest...

I jak poprzednio Tirrit, umarł nie dokończywszy zdania.

Gdy zaś Morrison, Chrys i Lefty wdrapali się na płaskowzgórze, gdzie przed chwilą znikł Szepczący, już choćby nie w nadziei odnalezienia go, a tylko z poczucia obowiązku zbadania jego śladów, spostrzegli szeroką granitową płytę, podobną do nagrobka, na której widniał pośpiesznie skreślony napis: „Tu leży Szepczący. Żegna swych przyjaciół i wrogów. Nikt go już więcej nie ujrzy”.

- Głupi żart - rzekł Lefty.

Lecz Morrison wyjął swój fotograficzny aparat i zrobił staranne zdjęcie tego napisu.

Szeroko rozeszła się wieść o przygodzie Szepczącego w dolinie Richmond, jak po zabiciu dwóch ludzi zdołał ująć z życiem nietknięty, będąc osaczony przez pięciu zawziętych przeciwników. Opowieść ta wzbudzała podziw i zdumienie w najdzielniejszych mężczyznach. Fakt ów, jakkolwiek niezrozumiały i niewytłumaczony, nie podlegał jednakże żadnej wątpliwości.

Większość przypisywanych Szepczącemu czynów należała raczej do legendarnych, ale było udowodnione, że to on obrabował dom szeryfa i w dolinie Richmond umknął przed nosem słynnemu detektywowi Morrisonowi, który miał jeszcze wówczas jako eskortę czterech niebezpiecznych sprzymierzeńców.

Rozdział XXVI

ODKRYCIE RANKINA

- Cokolwiek by się zdarzyło - powiedział Shorty, przemawiając na zaimprovizowanym zebraniu kowbojów - zbrzydnie on jej, gdy okaże się tchórzem! Nie będzie chciała potem na niego patrzeć!

- Lecz jak my tego dokonamy? - padło zapytanie.

- Zostawcie to mnie - odparł Shorty - ja się z nim rozprawię. Jeśliby który z was go zaczepił, to wobec tego, że jest on taki delikatny prawie jak dziewczyna wyglądałoby to niejako na znęcanie się nad słabszym. Lecz gdyby nie dotrzymał placu mnie, to musiałby wówczas przyznać, że jest tchórzliwym niedołągą!

Ten plan spotkał się z całkowitym uznaniem zebranych. Shorty rzeczywiście przypominał swą postacią groteskowy posążek hinduskiego bożka. Ciało miał pokurczone, nogi niesamowicie kabłąkowate, a twarz podobną do brzydkiej małpy.

Tysiącejzyczna plotka, docierająca do wszystkich, poczynając od króla i kończąc na żebraku, z niepojętą szybkością doszła do uszu fermera, który ją powitał jako zwiastunkę dobrych wiadomości. Posłał po Shorty'ego i wszczął z nim rozmowę na osobności.

- Shorty - rzekł - słyszę, że sposobisz się do walki.

Shorty nie chciał odpowiedzieć wyraźnie. - Nie wiem, co pan chce przez to powiedzieć? - zapytał. - Ja się nie sposobię do walki. Chcę zapolować na tchórze.

Fermer był zachwycony. Nagła miłość jego córki wydawała mu się okropną, niemal hańbiącą rzeczą, rujnowała jego nadzieje i pod każdym względem przynosiła ujmę Percivalowi Kenworthy.

- Byłem zawsze tego zdania - oświadczył - że należy tępić szkodników..

Obaj z Shorty'm zamienili spojrzenia.

- Mam wrażenie, że zgadzamy się pod tym względem - wyrzekł kowboj.

- Mój chłopcze - odparł szeryf prawie ojcowskim tonem - widzę, że rozumiesz... w żywotnym interesie fermy... mogę jedynie wyrazić, to jest, mam nadzieję...

W zmieszaniu plątały mu się słowa. W końcu Shorty wybawił go z trudności, wybuchając śmiechem.

- Przypuszczam - powiedział - że nie będzie pan mi miał za złe jeśli poświęcę jeden dzień roboczy na to polowanie?

- Za złe? Shorty, otrzymasz całomiesięczną gażę w nagrodę, jeżeli zdołasz upolować tego tchórza!

- Nie ma najmniejszej wątpliwości - zapewnił Shorty, widząc już w wyobraźni tę hulankę jaką zamierzał urządzić za obiecaną mu nagrodę - że rozprawię się z nim należycie. Będziecie mogli wszyscy się z tego uśmieć!

- Poczekaj - zawołał fermer, widząc, że Shorty zamierza odejść. - Czy konieczne jest, by Róża to widziała?

- Oczywiście - odrzekł kowboj - czyż to nie dla jej dobra. Shorty, nie tracąc czasu, błąkał się stale koło domu, oczekując na odpowiedni moment działania. Ale nie było to łatwe. Jeremiasz spędzał większą część dnia i nocy w lesie, czasami sam, czasami zaś z Różą, ale rzadko spacerował koło domu.

Róża czegoś się domyślała. Udała się wprost do ojca.

- Ojczy - zapytała - czy nasi chłopcy zamierzają sprowokować awanturę z Jeremiaszem?

- Różo - odparł na to szeryf spokojnie, patrząc jej w oczy - czyż nie będzie on musiał radzić sobie z chłopcami do końca życia, mając w perspektywie rządzenie tą fermą?

Widocznie nie zastanawiała się nad tym. Chciała coś powiedzieć,

lecz po chwili odeszła w milczeniu. Fermer mógł słusznie przypuszczać, że nie uprzedzi o niczym narzeczonego. Ucieszył się, mniemając, że jest to pierwszy objaw rozsądku z jej strony.

Epilog projektowanego zajścia nastąpił zupełnie niespodziewanie.

Gdy cała rodzina wraz z Jeremiaszem przechadzała się przed domem, nadjechał nagle Shorty na kosmatym koniu, który wyczyniał przedziwne harce, pobudzany do tego niewidzialnymi dla patrzących uderzeniami ostróg jeźdźca. Całe towarzystwo śmiało się na widok niesamowicie podskakującego na siodle Shorty'ego.

W pewnej chwili zsunął się z siodła i podszedł do Saylora z twarzą posępną jak noc.

- Czy śmiałeś się ze mnie? - zapytał.

- Ja? - wyszeptał biedny Jeremiasz. - Ależ...

- Ty tchórze! - warknął Shorty i uderzył go w twarz otwartą dłonią aż rozległ się odgłos jak wystrzał z rewolweru.

Róża Kenworthy zrozumiała, iż nadszedł czas decydującej próby. Wprawdzie męskość Jeremiasza objawiała jej się w ciemnościach leśnych w całej pełni, lecz nie wiedziała, jak on się zachowa w walce z drugim mężczyzną. I to z jakim mężczyzną! Głowa Shorty'ego sięgała Jeremiaszowi zaledwie do ramienia.

Zesztywniała w bezruchu. W wyobraźni widziała już, jak Jeremiasz błyskawicznym uderzeniem ręki powala na ziemię zakrwawionego kowboja. Lecz to nie nastąpiło. Jeremiasz Saylor od zadanego mu razu zatoczył się w tył i stał na miejscu z oczami utkwionymi w ziemię, przyciskając ręką policzek. Shorty, pozornie trzęsąc się z uniesienia, nadal mamrotał: - Ty tchórze, niedołęgo! Śmiejesz się ze mnie? Ja ci tu pokażę! -

Wyrzekłszy to, obrócił się na pięcie, a Róża, pąsowa ze wstydu i oburzenia, spostrzegła stojących dookoła kowbojów, będących świadkami tego zajścia. Nieomal zemdląła z doznanego przykrego wrażenia. Siłą woli jednakże zachowała zewnętrzny spokój, wycofując się z towarzystwa i zamykając w swoim pokoju. Po upływie pół godziny, spotkała się wieczorem sam na sam z Saylorem, mając wciąż upokarzającą scenę przed oczami. Nie traciła czasu ani słów, starając się tylko nie okazywać mu swej pogardy:

- Jeremiaszu - odezwała się doń - czemu nie zareagowałeś, gdy Shorty ciebie uderzył?

On spojrział na nią jak gdyby ze zdumieniem. - Przecież on jest dużo mniejszy ode mnie - powiedział. Ten słaby argument rozdrażnił ją.

- Jeremiaszu! - wykrzyknęła.

- Zresztą, mówiąc szczerze, nie chciałem, Rózo, dotknąć go z obawy, aby mu nie uczynić za wielkiej krzywdy!

- Och! - zawołała dziewczyna, odsuwając się od niego. - Ty tchórze!

Nie zauważyła nawet jak silnie drgnął na te słowa, tak była uniesiona żalem, wstydem i złością.

- To już koniec! Nigdy za ciebie nie wyjdę. Wielkie nieba, prawie, że jestem wdzięczna Shorty'emu, iż zdemaskował ciebie! Nie chcę cię już więcej widzieć na oczy!

Oddaliła się spieszenie, nie zważając na jego wołania. W zaciszu swego pokoju opadła na krzesło, chowając twarz w dłoniach.

- Nigdy nie będę mogła spojrzeć nikomu w oczy - załkała. - Co za obrzydliwy tchórz!

Silna wola i stalowe nerwy mogą zdziałać cuda. Na kolację Róża

zmusiła się do zejścia na dół. Ośłupiała ze zdumienia, widząc, że Jeremiasz Saylor znajdował się wśród obecnych. Fakt, iż ten osobnik pozostał nadal w domu po odprawie, jaką mu dała, przejął ją odrazą. Może rzeczywiście, tak jak sądził jej ojciec, zamierzał otrzymać od niego pieniężne odszkodowanie. Nie mogła zwrócić się do niego ani nawet spojrzeć w tę stronę, choć czuła skierowane na siebie błagalne jego spojrzenia.

„Jak oczy zbitego psa” - pomyślała w duchu.

Podczas gdy wszyscy zajmowali swoje miejsca, w drzwiach zjawiła się postać znanego detektywa Stephena Rankina. Za nim stało trzech obcych ludzi.

- Na Boga! - wykrzyknął Kenworthy, radośnie podniecony myślą, że niefortunne małżeństwo jego córki już się rozchwiało. - Na Boga. Rankin, dzisiejszy dzień zaliczę do bardzo szczęśliwych w moim życiu. Zgaduję, że przynosisz dobre nowiny, zanim jeszcze otworzyłeś usta!

- Tak - odparł Rankin. - Dobre nowiny, panie! Bardzo dobre nowiny!

Zatarł ręce, dodając: - Mogę pana zapewnić, że Szepczący przestanie już być szkodliwy!

Jego trzech towarzysze prześlizgiwali się wśród ogólnego zamieszania niepostrzeżenie pod ścianę.

- Czy pan chce powiedzieć, że skreślony przez tego łajdaka napis na skale istotnie odpowiadał prawdzie?

- Zapewne sam tego nie przypuszczał - powiedział Rankin - że to się rzeczywiście sprawdzi!

Przerwał wołając: - Spisaliście się dzielnie, chłopcy! - W międzyczasie bowiem tamci trzej zarzucili sznur na ramiona i ręce

Jeremiasza Saylor, krępując go całkowicie. Desperackim wysiłkiem próbował się uwolnić, lecz potem znieruchomiał, wpatrując się uporczywie w Różę. Nie wiedziała jak ma zrozumieć to wejrzenie, ale serce jej zamarło w trwożnym oczekiwaniu.

Rankin podszedł do uwięzionego i zanurzył ręce w jego długie, czarne loki. Jednym pociągnięciem zdarł mu z głowy perukę, ukazując kręcone rude włosy.

- Panie i panowie - zwrócił się Rankin do obecnych, usiłując przemawiać spokojnie. - Mam zaszczyt przedstawić wam Szepczącego!

Rozdział XXVII

PODWÓJNIE DUMNA

Jakże wielką różnicę w jego wyglądzie uwydatniła ta zmiana! Istotnie, owa nadzwyczaj precyzyjnie wykonana i dopasowana peruka wprowadziła w błąd wszystkich, nie wyłączając Róży. Długie jedwabiste, czarne włosy nadawały mu pozór zniewieściałości, a po zdarciu zeń peruki, rude kędziory odmieniły całkowicie jego oblicze. Senne czarne oczy były teraz niebieskie i pełne blasku. Wszystko to wydawało się tym dziwniejsze, że przed chwilą kpiono i pogardzano tym człowiekiem, uważając go za tchórza, on zaś okazał się straszliwym i nieuchwytnym dotychczas przestępcą.

Nikt jednak nie miał czasu ani ochoty zastanawiać się nad tą omyłką i zarzucać sobie wzajemnie brak przenikliwości. Wszyscy byli zbyt zajęci obserwowaniem Szepczącego. Siedział sztywno na krześle, nie poruszając się, gdyż zdradziecki sznur pozbawił go swobody, a przez cały czas nie spuszczał wzroku z twarzy dziewczyny.

Wejrzenie jego było tak zawzięte i uporczywe, że wszyscy również

spojrzeli z zaciekawieniem na Różę Kenworthy. To co dostrzegli, zdumiało ich, zachowywała się bowiem jak tryumfatorka. Najwidoczniej odkrycie, że jej ukochany okazał się bandytą, mniej ją obchodziło, niż fakt, że okazał się niesłuchanie odważnym człowiekiem!

Powstała z miejsca. - Ojcze - wyrzekła - czy to możliwe, abyś wydał swojego gościa?

- Cicho bądź, Rózo! -, odparł Kenworthy. - Ozy myślisz, że to wszystko nie jest moim dziełem?

Rzucił Rankinowi spojrzenie, w którym tamten wyczytał obietnicę dodatkowych pięciu tysięcy dolarów, o ile detektyw zachowa dyskrecję i pozwoli ludziom mniemać, że cała sprawa jest dziełem szeryfa. Detektyw zrozumiał i niedostrzegalnym dla innych mrugnięciem dał znak, że się na to zgadza, po czym zwrócił się do obecnych, potwierdzając, iż uchwycenie groźnego bandyty rzeczywiście zawdzięczano sprytowi fermera. Zaczęto więc uważać Kenworthy'ego za dobroczyńcę, a on sam przejął się tą rolą.

Jedynie Róża zdawała się być poruszoną do głębi oburzeniem i wstydem.

- Nie mów mi takich okropnych rzeczy! - zawołała. - Och, ojciec, nie mów, że goszcząc człowieka pod swoim dachem, jednocześnie przygotowałeś pułapkę na niego.

- Czemu nie miałem tak postąpić? - wybuchnął szeryf, a wyraz twarzy obecnych zdawał się mu potakiwać. - Nie mów mi o honorze. Gdy mam do czynienia z człowiekiem, to traktuję go jak człowieka, gdy spotkam wilka - to traktuję go jak wilka! No, panie... Szepczący... Saylor... czy jak ci tam... czy możesz mnie oskarżyć o nieuczciwe postępowanie?

Szepczący przeniósł powoli wzrok z twarzy ukochanej kobiety na

fermera, zmierzył go oczami od stóp do głowy, potem uśmiechnął się i znowu spojrzał na dziewczynę. Gdyby nawet wybuchnął gniewem, nie wywarłby na szeryfie tak silnego wrażenia, jak uczynił to swoją spokojną i zimną pogardą. Mimo pewności siebie Kenworthy zbladł i zadrżał. Przez chwilę niemal zwątpił w słuszność swego postępu, lecz zaraz znów odzyskał równowagę.

- Ten łotr - wykrzyknął - potwierdza swoim milczeniem, że nie można mi nic zarzucić. Wkradł się do mojego domu pod fałszywym nazwiskiem. Dzięki Bogu został zdemaskowany, zanim nie wyrządził nam krzywdy. Rózo, na miłość Boską, co ty robisz?

Dziewczyna podeszła do Szepczącego i położyła mu obie ręce na ramionach.

- Przyszłam, żeby ci powiedzieć - oświadczyła - że uważam to, co się stało, za nikczemną zdradę. Ale ja się nigdy nie zmienię. Jeśli byłam dumna, przedtem, mając wyjść za Jeremiasza, to obecnie jestem podwójnie dumna, gdy okazał się on Szepczącym.

- Rózo... idź do swego pokoju... zabraniam ci...

- Nie ruszę się stąd! Nie dbam o to, co sobie pomyślą!

Wtem tłusta ręka ojca spadła na jej ramię; Róża opierała się przez chwilę, lecz potem wyszła spokojnie z pokoju. W drzwiach odwróciła się i zamieniła długie spojrzenie z Szepczącym, którego zimne i ironiczne oczy wyrażały w tym momencie niewymowną czułość. Gdy wyszła, cała uwaga zebranych skierowała się ponownie na Szepczącego.

- Posłuchaj mnie - rzekł do niego szeryf. - Cokolwiek powiesz, to może być użyte przeciwko tobie w czasie śledztwa, ale radzę ci, ku ulżeniu własnemu sumieniu, wyznaj wszystko całkowicie. Nie uratuje cię to od

szubienicy, lecz może ci zapewnić lepsze traktowanie w więzieniu, a nawet przedłużyć życie.

Ta przemowa, pełna niewyraźnych obietnic, wywołała na twarzy jeńca wyraz niesmaku. Powtórnie spojrzął na swego prześladowcę z najwyższą pogardą. Ale przemówił.

Chociaż głos jego zachował miękkie, łagodne brzmienie, dźwięczał jednakże inaczej, jak to szeryf później określił: w mruczeniu kota odzywał się ryk tygrysa.

- Mam tylko jedną rzecz do powiedzenia - wyrzekł Szepczący - przyznaję, że popełniłem zły uczynek. Przybyłem do pańskiego domu pod obcym nazwiskiem. Żyłem tu jako przyjaciel i starałem się o rękę Róży, wiedząc przez cały czas... Nie, o tym nie będę dalej mówił. Na swoją obronę powiem to tylko, że zamierzałem skończyć z dotychczasowym trybem życia i sądziłem, że zupełnie uczciwy człowiek zaślubi Różę Kenworthy. To wszystko. Nie odezwę się już więcej do nikogo, z wyjątkiem Róży.

Wymówił to zdanie z całkowitym spokojem, po czym zamilkł. Zakuli mu ręce w kajdany i przystąpili do rewizji osobistej. Ku swemu nieopisanemu zdziwieniu, nie znaleźli przy nim żadnej broni, nawet, scyzoryka. Nie miał również żadnych dowodów, mogących stwierdzić jego tożsamość. Przeszukali skrzętnie zajmowany przez niego pokój, lecz i tu nic nie znaleźli.

Gdy mu to oznajmiono, po twarzy Szepczącego przemknął wyraz zdziwienia, ale obojętnie wzruszył ramionami i milczał nadal.

Jakkolwiek wyraźne było, że nie zamierzał odpowiadać na pytania, Rankin nie mógł sobie odmówić tej przyjemności, żeby go nie podrażnić i

szepnął mu:

- Jestem owym osobnikiem, którego pan napadł w lesie, Jeremiaszu Saylor, Szepczący, Jacku Richards.

Bandyta drgnął, a detektyw cofnął się ze złośliwym uśmiechem. Lecz Szepczący natychmiast się opanował i znowu wyglądał niewzruszenie.

- Dobre wiadomości od pańskiej matki - ciągnął dalej Rankin. - Wzruszy się, dowiadując, w jaki sposób jej kochany chłopiec ciężko pracuje i zdobywa tyle skór, aby po spieniężeniu ich zapewnić jej wygodne utrzymanie w Kalifornii. Muszę jej o tym donieść, bo obiecałem, że napiszę, gdybym się kiedyś spotkał z jej synem w górach!

Zaśmiał się, jakby ubawiony wesołym żartem, ale z równym powodzeniem mógł przemawiać do posągu, albowiem Szepczący, zapatrzony w dal, nie zdawał się wcale słyszeć jego słów.

Rankin dał za wygraną, ale przedtem szepnął jeńcowi do ucha: - Czeka cię trzeci stopień badania. Możesz teraz milczeć, już my znajdziemy sposób, żeby ci pysk otworzyć, ty szczurze!

Następnie pozostawił Szepczącego pod strażą dwunastu uzbrojonych ludzi i udał się na konferencję z farmerem. Kenworthy, który musiał się hamować w obecności osób obcych, znalazłszy się sam na sam z Rankinem, dał upust swej radości. Poklepał poufale detektywa po ramieniu i omal nie uściskał go, twierdząc, że uratował honor rodziny i godność szeryfa.

Poprosił również Rankina o dokładne opowiadanie, w jaki sposób zdołał dotrzeć do domu Saylora i utożsamić go ze słynnym bandytą. Odpowiedź detektywa nie była zbyt szczegółowa. Niejednokrotnie w

swoim zawodzie miał okazję zauważyć, że wyjaśniona tajemnica traci swój urok, a zbyt dokładna relacja z przeprowadzonej akcji może wyrzucić na słuchacza wrażenie, iż zadanie było łatwe do wykonania.

Toteż historia, którą opowiedział szeryfowi, była pełna niedomówień. Wynikało z niej, że kierowało nim tajemnicze przeczucie, które go wiodło na Zachód, gdzie po wielu przeciwnościach odnalazł wreszcie to, czego szukał.

- Ostatecznie wyjaśniła mi wszystko fotografia Saylora, na której stwierdziłem, że zamiast długich czarnych włosów ma zgodnie z zeznaniem matki rude kędziory. Od razu myśl moja zwróciła się ku Szepczącemu. Według zeznań bowiem naocznych świadków, miał on właśnie rude kędziory i działał głównie nocą. Gdy sobie to wszystko rozważyłem doszedłem do wniosku, że jestem na dobrym tropie. Pospieszyłem więc z powrotem do pańskiej fermy, dobrawszy sobie po drodze kilku ludzi do pomocy.

- Niezwykła historia - zawołał Kenworthy. - Oplaci się panu to, czego pan dokonał. Umówiliśmy się na dziesięć tysięcy dolarów. Wiem, że w pojęciu wielu osób suma ta jest znaczną. Ale ja tego nie uważam. Zapewniam pana, że może się już nie troszczyć, o swoją przyszłość. Dziesięć tysięcy dolarów otrzyma pan w tej chwili. - Usiadł i wyjął z kieszeni książeczkę czekową. - Ale to tylko początek. Mówię panu szczerze, mój przyjacielu, że gdyby nie pańska interwencja, byłbym się doczekał tej hańby, że córka moja zaślubiłaby zbrodniarza. Miałbym związane ręce, chyba, że rozciąłbym ten węzeł czyniąc ją wdową, a tego przecież trudno byłoby ode mnie wymagać, nieprawdaż?

Detektyw przyznał mu rację. Pochłonięty był odgłosem skrzypiącego

pióra, który brzmiał mu w uszach jak słodka melodia. Fermer wręczył mu czek, opiewający na kwotę dziesięciu tysięcy dolarów, płatnych Stephenowi Rankinowi lub osobie przez niego zleconej.

Rankin złożył starannie otrzymany czek i schował go powoli do kieszeni. Na pozór wpatrywał się machinalnie w leżący na podłodze dywan, ale w wyobraźni swej widział kuszący obraz wyścigów, gdzie on. Stephen Rankin, wykwintnie ubrany, z cygarem w ustach i grubym plikiem banknotów w ręku odwiedza po kolei kasy totalizatora. W myśl; stawiał całe dziesięć tysięcy, widział wybranego przez siebie konia, dochodzącego jako pierwszy do mety. Usłyszał głuchy pomruk tłumu. Wszystkie oczy były zwrócone na niego, wskazywano go sobie szepcząc: „Oto idzie wielki ryzykant, Stephen Rankin”!

Takie były marzenia detektywa.

Rozdział XXVIII

BOHATER

Kenworthy nie tracił żadnej okazji, żeby się wysunąć na widownię, toteż nie omieszkął urządzić spektaklu z dokonanego ujęcia sławnego Szepczącego. Przede wszystkim zatrzymał go przez noc u siebie w domu, przeznaczając na ten cel pokój, w którym dyżurowało przy jeńcu na zmianę czterech ludzi, uzbrojonych od stóp do głów.

Chętnych do pełnienia obowiązku wartowników znalazło się wielu, bo gdy okoliczni sąsiedzi dowiedzieli się o niebywałej nowinie, zaczęli tłumnie odwiedzać fermę, a każdy z nich poczytywał sobie za zaszczyt odbyć dwugodzinny dyżur przy słynnym bandycie. Dawało im to możliwość zadawania mu pytań, a chociaż absolutnie na nic nie reagował, mogli przynajmniej do syta się mu przypatrzeć.

Zauważono, że chociaż wydawał się całkowicie opanowanym, nie spał wcale tej nocy, lecz przesiedział cały czas nieruchomo z szeroko otwartymi oczami. Oczy jego były pozbawione wszelkiego wyrazu. Dozorcy usiłowali wyjaśnić ten niezwykły objaw.

- Szepczący - mówili - jest jak zwierzę i dlatego nie można nic wyczytać w jego oczach. Spójrzmy na psa. Trudno wyczytać z jego oczu, czy chce gryźć, czy też łąsić się. Prędzej można to poznać z jego głosu i ruchów. To samo dzieje się z jeńcem. Pomimo, że jest pozornie spokojny, na pewno w głębi duszy lęka się swego przyszłego losu!

Większość jednak nie podzielała tego zdania. Szepczący był na ogół uważany za człowieka nieustraszonego. Wobec tego pilnowali go ze zdwojoną ostrożnością, póki nie nastał błądy świt.

Szeryf ocknął się z głębokiego i słodkiego snu, przygotowując się do projektowanej na ten dzień uroczystości. Chociaż właściwie ujęcie głośnego bandyty było wyłączną zasługą Rankina, szeryf poczynił odpowiednie starania, aby nikomu podobna myśl nie mogła przyjść do głowy. Rozgłosił zatem wszędzie, że detektyw, którego udział w tej całej sprawie był bądź co bądź znany, wykonywał jedynie jego polecenie. Zanim upłynął dzień i nastał wieczór, Rankin mógłby nawet pod przysięgą zapewniać wszystkich, że to jest jego dziełem, a nie uwierzono by mu, tak wielkie zaufanie zdołał wzbudzić szeryf do swej bohaterskiej osoby.

Kenworthy pokierował dalszym biegiem spraw w ten sposób, że kawalkada prowadząca jeńca, przybyła do miasta przed samym południem, kiedy ulice pełne są ludzi.

Na przedzie jechali dwaj starzy i doświadczeni kowboje z jego fermy na kosmatych koniach. Za nimi, groźnie uzbrojeni, z karabinami

wystającymi nad łękiem siodła i rewolwerami za pasem, jechali sąsiedzi szeryfa, którzy żywili dozgonną wdzięczność dla Kernworthy'ego za dozwolenie im na wzięcie udziału w imponującej kawalkadzie.

Twarze jeźdźców miały wyraz ponury i zawzięty, jak gdyby dopiero co uniknęli groźnego niebezpieczeństwa.

Następną grupę tworzyli konni kowboje szeryfa, otaczający wspaniałego czarnego wierzchowca, chlubę stadniny Kenworthy'ego, na którym jechał Szepczący. Aby zaś ten ostatni nie wyglądał zbyt młodo, więc mniej groźnie, szeryf nie pozwolił mu się tego dnia ogolić.

Stephen Rankin, który stał na chodniku paląc cygaro, przyglądał się z wielką uwagą całej tej pompie.

- Do licha! - pomyślał detektyw, gdy tryumfalny pochód mijał go. - Staremu opłacił się wydatek dziesięciu tysięcy dolarów. Zrobiono z niego bohatera i pewnie nieza długo będą pisać o nim w książkach.

Rozdział XXIX

RÓŻA ODWIEDZA WIĘZNIĄ

Był to najważniejszy okres w całym dotychczasowym życiu Percivala Kenworthy'ego. Wprawdzie stale go podziwiano, lecz teraz zyskał ogólne uwielbienie. Przedtem imponował kobietom i dzieciom, obecnie zaś również i mężczyznom.

Hodowcy bydła i właściciele kopalń znali go od dawna; gdy czytali o nim w gazetach, w których od czasu do czasu pojawiały się nawet jego fotografie, kiwali głowami z uśmiechem uznania. Szeryf doskonale umiał pozować przed obiektywem; wiedząc, że rysy jego twarzy zdradzały słabość charakteru, obracał się profilem, marszcząc z lekka brwi, co mu nadawało wygląd energiczny i stanowczy. Starannie obmyślane pozy

upodabniały go do jakiegoś słynnego mówcy. Kenworthy niesłychanie lubił te zdjęcia. Zawsze miał ich kilka w kieszeni i często, korzystając z przypadkowej samotności, czy w biurze, czy na przechadzce, wyjmował je i przyglądał się im z zadowoleniem, przy czym odnosił wrażenie, że bijące z nich poczucie władzy udzieliło się jemu w rzeczywistości.

W okresie jego tryumfu była tylko jedna ciemna strona, a mianowicie zachowanie się Róży. Gdy następnego dnia po uwięzieniu Szepczącego zobaczył córkę, spodziewał się zauważyć u niej przygnębienie i upokorzenie, pod wpływem których to uczuć powinna by uznać jego względem niej troskliwość i zająć odpowiednie stanowisko w całej tej sprawie. Zastał ją natomiast jedynie milczącą i zamyśloną. Nie miała mu nic do powiedzenia i zachowywała się tak, jak gdyby nie dostrzegała zupełnie jego obecności.

Nazajutrz po południu zwróciła się tylko do niego, wyrażając życzenie odwiedzenia Szepczącego w więzieniu bez świadków. Zapytana o powód wzruszyła ramionami bez odpowiedzi. Zastanawiając się nad jej postępowaniem, szeryf doszedł do wniosku, że spowodowane ono zostało wrodzoną dumą i opanowaniem się, które nie dozwalały jej wyjawic nikomu swoich przeżyć, lecz niewątpliwie pragnęła widzieć się z Szepczącym, aby mu rzucić w twarz słowa oburzenia i pogardy. Udzielił jej przeto żądanego przyzwolenia, przesyłając równocześnie odpowiednie pismo do naczelnika więzienia.

Słynny bandyta był pilnie strzeżony, ludzie bowiem, którzy go dostali w swoje ręce, nie mieli zamiaru pozwolić mu uciec. Otoczyli go czymś silniejszym niż same tylko łańcuchy i rygle - znacznie wzmocnioną strażą. Gęsty kordon tej straży okrążał więzienie, baczenie zwracając

uwagę, by pojmany jakimś cudem nie wydostał się przez podkop, wewnątrz zaś budynku, z którego zabrano wszystkich innych aresztowanych, wartowało nieustannie kilku ludzi, zmienianych co cztery godziny, z obawy, aby zmęczenie nie osłabiło ich czujności.

Róża Kenworthy przywiozła ze sobą pismo ojca. „Możecie zostawić na parę minut Różę samą z więźniem” - głosiła treść listu. „Gdy wyjdzie, zrewidujcie go, czy przypadkiem czegoś mu nie zostawiła”.

Dziewczyna weszła do celi i znalazła się sam na sam z ukochanym. Siedział na prycy, mając ręce i nogi skute ciężkimi kajdanami. Palił spokojnie papierosa, z trudnością podnosząc rękę. Lecz gdy ją ujrzał, zerwał się na równe nogi, upuszczając papierosa na ziemię. Podeszła do niego w milczeniu.

- Rózo - przemówił - nie dbam o to, co inni o mnie sądzą. Ale zanim umrę, pragnę żebyś wiedziała, że walczyłem ze sobą, nie chcąc postępować wobec ciebie nieuczciwie. Zaraz przy pierwszym widzeniu się z tobą poczułem, że dalsze nasze spotkania groziłyby niebezpiecznymi konsekwencjami. Obawiałem się tego. Lecz sama wiesz, jak się to stało. Po trzecim spotkaniu byłem już bezsilny. Pokochałem cię, Rózo. I nie myślałem wówczas o możliwych następstwach. Nie zastanawiałem się nad tym, iż potępiono by ciebie, gdybyś mnie była poślubiła.

- Czy to wszystko co masz mi do powiedzenia? - zapytała, przypatrując mu się uważnie.

Westchnął. - Jeszcze jest jedna rzecz - mówił dalej. - Wiedziałem dobrze, że kowboje z fermy twojego ojca spiskują przeciwko mnie i Shorty ma mnie sprowokować. Schowałem swoje rewolwery, aby nie dać się skusić do użycia ich. Zdecydowałem, iż postąpię uczciwie, pozwalając

się pokonać Shorty'emu wobec wszystkich. Jeśli by cię to zniechęciło do mnie, przysięgam sobie, że pozostanę u was do czasu, aż mnie sama oddalisz. I tak właśnie się stało. Widziałas, jak Shorty mnie zniewazył, a ja na to nie zareagowałem. Rzekłaś wówczas, że wszystko skończone między nami. Zniosłem i to, chociaż było mi ciężko. Postanowiłem wziąć udział w tym obiedzie, aczkolwiek darzony ogólną pogardą, uważałem bowiem, iż w ten sposób wzbudzę w tobie odrazę, czym naprawię krzywdę, jaką ci wyrządziłem, pozwalając rozwinąć się twojemu do mnie uczuciu miłości.

- Czy to wszystko co miałbyś mi powiedzieć? - spytała powtórnie.

Wzdrygnął się i zaczerwienił pod wpływem tego uporczywego pytania.

- Owszem - wyrzekł stłumionym głosem - jeszcze jedną rzecz pragnąłbym ci wyjaśnić, Wiele z zarzucanych mi czynów jest prawdą. Lecz nie przypisywane mi morderstwa.

- Żadne? - zapytała.

- Prócz czterech - odpowiedział. - Mój brat został zamordowany przez czterech łotrów. Zabiłem ich wszystkich. Chcąc ich osiągnąć, przybyłem tutaj na Zachód i zorganizowałem całą bandę. Poza tymi czterema nie popełniłem żadnego morderstwa. Co się zaś tyczy rabunków, to przypadające mi z podziału części łupów oddawałem w całości biednym. Organizacja i prowadzenie bandy oraz napady rabunkowe służyły mi jedynie za pretekst dla dopięcia swego celu - zabicia tych czterech. Z chwilą gdy dokonałem tego - Montague i Monson byli ostatnimi - zdecydowałem zerwać z dotychczasowym trybem życia. Słyszałaś chyba o napisie, skreślonym przez Szepczącego na skale?

- Czy mówisz prawdę? - spytała. Przytaknął ruchem głowy.

- Podejź bliżej do mnie - powiedziała. - Nie chcę, aby ktokolwiek usłyszał to, co mam ci do zakomunikowania.

Przysunął się do niej, pobrząkując kajdanami.

- Jeszcze bliżej - rozkazała.

Stanął tuż przed nią i nagle usta jej dotknęły jego warg.

- Przyszłam oświadczyć ci, Jeremiaszu, że kocham ciebie. Gdyby mi cię mieli zabrać, to za nikogo innego nie wyjdę!

- Róžo! Róžo! - zawołał.

Lecz ona już się odwróciła i śpieszyła do drzwi. Zanim jednakże do nich doszła, tak się zachwiała, że musiała ręką oprzeć się o mur. W chwilę potem wyszła i drzwi zatrzęsnęły się za nią.

Przechodząc przez pokój, w którym czuwała straż, uśmiechnęła się do nich przez łyzy, co nadało jej oczom niezwykłego blasku.

- Ona już z nim skończyła - rzekł jeden z wartowników, którym był tego dnia kowboj z fermy Kenworthy'ego. - Na pewno skończyła. Niech mnie licho porwie, jeśli wychodząc stamtąd, nie śmiała się.

- Tak to bywa z kobietami - odparł drugi. - Mają tylko tę dobrą cechę, że nie potrafią ukryć tego, co czują.

Stosownie do otrzymanego polecenia, weszli do celi Szepczącego, aby go zrewidować. Z jego wyglądu i zachowania się od razu można było wywnioskować, iż coś się w nim załamało. Obojętność jaką dotychczas okazywał, opuściła go. Siedział pochylony na pryczy z głową ukrytą w dłoniach.

- Dobrze mu widocznie dogodziła! - powiedział jeden z dozorców. - Kopnęła go wtedy, kiedy już leżał. Kobieta nie potrafi postępować szlachetnie!

Pozostali z poważnym wyrazem twarzy przyznali mu rację.

- Mamy cię zrewidować - odezwali się do więźnia, otwierając kluczem ciężkie jego kajdany. - To nie potrwa długo.

Nieszczęśliwy zdawał się ich nie słyszeć. Dopiero gdy dotknęli jego ramienia, spojrzął na nich błędnym wzrokiem, jakby nie rozumiejąc o co chodzi. Podnieśli go łagodnie na nogi, bowiem wszyscy byli wzruszeni męką moralną, jaką widocznie przeżywał, aczkolwiek mylnie sobie tłumaczyli jej przyczynę. Przeszukali go spieszenie, oczywiście nic nie znajdując. Powrócili zatem na swoje stanowiska i snuli w dalszym ciągu swe spostrzeżenia.

- Musiała go przypiekać na wolnym ogniu - mówił ponuro jeden do drugiego. - Niech lichy porwie tę dziewczynę!

- Ale cóż miała robić? - zapytał inny. - Nie mogła przecież trwać nadal w swym postanowieniu i chcieć poślubić człowieka, który niezadługo ma być skazany na powieszenie, nieprawdaż?

Tamten wzdrygnął się. - Dreszcz mnie jednak przejął na widok Szepczącego tak złamanego na duchu - mruknął. - Człowiek odważny jak on, który niejednokrotnie bez zmrużenia powiek patrzył zwycięsko śmierci w twarz, żeby pozwolił się tak zmiażdżyć młodej dziewczynie! To po prostu wygląda na coś nienormalnego. Słabo mi się robi na tę myśl!

- Bo wiecie - powiedział najstarszy z obecnych - nigdy nie można przewidzieć, jak dany mężczyzna zachowa się wobec kobiety. Bywają głupcy i mądrzy. Czasami głupiec postępuje z kobietą rozsądnie, a odwrotnie, mądry staje się głupim. Na przykład ten Szepczący. Gdyby mu nawet teraz wetknąć rewolwer pod nos z oświadczeniem, iż w tej chwili zostanie zastrzelony, to by się tylko roześmiał. Lecz gdy przychodzi

dziewczyna i znęca się nad nim, to tego znieść nie potrafi.

Żadnemu z nich nie przyszło na myśl, że moralna agonia Szepczącego wynikała z nagłego porywu tęsknoty do życia. Przedtem, w przekonaniu, iż śmierć jego jest już przesądzona, był zrezygnowany, pogardzając daremną walką z nieuniknionym losem. Teraz zaś, gdy błysnęła mu słodka wizja możliwego szczęścia, serce jego skurczyło się bólem!

Do szeryfa doszła szybko wieść, że córka jego zadała Szepczącemu cios, który go pogrążył w rozpacz, odbierając mu całą siłę i odwagę. Udał się on niezwłocznie z tą nowiną do Rankina.

- Hm! Tęskni za dziewczyną, tak? No cóż, każdy z tych bandytów posiada swoją słabą stronę. Niech pan teraz pójdzie do niego i pomówi z nim po ojcowsku. Jest w takim nastroju, że na pewno wyzna wszystkie swoje zbrodnie, a to warto wiedzieć. Potem ja się z nim rozprawię. Zastosuję trzeci stopień przy badaniu.

Rozdział XXX

BŁĄD KENWORTHY'EGO

Szeryf nie zastanawiał się dłużej nad tą radą, gdyż zdanie Rankina uważał w tej sprawie za decydujące. Udał się zatem wprost do więzienia, aby wydobyć od cierpiącego winowajcy przedśmiertne wyznanie.

Od pierwszego wejrzenia spostrzegł, że mądry Rankin, jak zwykle, miał słuszność. Szepczący stał się zaledwie cieniem swej dawnej dumnej osobistości, która jeszcze dzień przedtem drwiła z całego świata i śmierci. Siedział bezwładnie na pryczy. Ciężar kajdan zdawał się go przygniatać. Głowę miał zwieszoną na piersi.

Kenworthy przybrał współczującą minę lekarza, stojącego u łoża

beznadziejnie chorego pacjenta. Usunął straż i otworzył drzwi do celi. Znalazł się sam na sam z uwięzionym, gdyż tylko przy głównym wejściu, którym pompatycznie wkroczył, pozostało kilka kowbojów.

Fermer usiadł obok Szepczącego i położył mu łagodnie swoją tłustą dłoń na ramieniu. Nieszczęsny więzień podniósł głowę i spojrzał dookoła dzikim wzrokiem. Potem usiłował się opanować i nawet lekko uśmiechnąć do szeryfa.

- Przyjacielu - wyrzekł ten ostatni - przyszedłem, aby ci powiedzieć, iż bardzo żałuję, że zmuszony byłem dać cię zaaresztować w moim własnym domu!

Szepczący machnął tylko ręką. Łańcuchy zabrzęczały.

- Kiedy wprowadziłem w ruch procedurę sprawiedliwości - ciągnął dalej szeryf - potoczyła się ona swoim trybem i zaskoczyła cię w nieprzewidzianym dla mnie miejscu. Teraz, mój chłopcze, pragnąłbym zapytać, co mógłbym obecnie dla ciebie uczynić?

- Powieście mnie dziś po południu - odparł więzień bez chwili wahania. - Powieście i skończcie z tym wszystkim! Ja... ja już dłużej nie mogę...

Przymknął oczy i zadrżał gwałtownie, aż twarz Kenworthy'ego pokryła się bladością. Straszny bowiem był widok tego zuchwałego człowieka, który jak się wydawało szeryfowi - pod wpływem uwięzienia i zwłaszcza okrutnych zapewne słów Róży, tak się psychicznie załamał, iż całkowicie stracił swoje męstwo!

Jednakże, pomyślał Kenworthy, ten jego rozstrój nerwowy może być wykorzystany dla skłonienia go, aby wyznał szczerze wszystkie swoje przestępstwa. Sprawiedliwość nie jest równoznaczna z miłosierdziem.

Głośno zaś powiedział: - Błuźnisz, mój chłopcze. Kiedy twoja kolej nadejdzie, no, to trudno. Lecz któż zdoła przewidzieć przyszłość? A może gubernator cię ułaskawi?

Szepczący zapanował nad sobą o tyle, że się nawet uśmiechnął.

- Dlaczegoż by nie? - ciągnął dalej szeryf. - Faktem jest iż nieraz bywają ułaskawieni ludzie, którzy popełnili wiele zbrodni. Z jakiej to się dzieje przyczyny - nie wiem. Przypuszczam, iż gubernator często rozumie w ten sposób, że człowiek, aczkolwiek mający na sumieniu cały szereg przestępstw, o ile jest obdarzony wybitną siłą woli i charakteru, po nawróceniu się, może być również pożyteczną jednostką w społeczeństwie. Zresztą, wyznając wszystko szczerze, niezawodnie wydasz tylu współtowarzyszy, którym w innych okolicznościach trudno byłoby dowieść dokonanych zbrodni, że gubernator w nagrodę za to mógłby cię ułaskawić.

Te ostatnie słowa zdawały się wywierać na więźniu wrażenie.

- Tak? - wyrzekł i zeszywniał nieco.

Kenworthy zadowolony, iż swymi wywodami osiągnął pożądaný skutek, ciągnął dalej.

A teraz spójrzmy na to z innego punktu widzenia. Jeśli ktoś stał się tak znany jak ty, Szepczący, ludzie zaczynają przypuszczać, że musiał istnieć jakiś powód, który kierował twymi czynami. Gdybyś popełnił tylko jedno morderstwo, wszyscy byliby przeciwko tobie, ponieważ jednakże masz ich na sumieniu prawdopodobnie z dwadzieścia, myślę, iż śledztwo może pójść w kierunku poszukiwania zasadniczych pobudek!

Z początku szeryf sam nie wierzył swoim dowodzeniom, lecz wypowiadał je z takim zapałem, że w końcu nieomal sam siebie przekonał.

W oczach Szepczącego zalśnił dziwny błysk - podniósł głowę i rozejrzał się dokoła. Po raz pierwszy objawiał zainteresowanie.

Spojrząwszy na Kenworthy'ego zatrzymał Wzrok na rękojeści kolta, zawieszzonego u jego pasa, bowiem od czasu ujęcia groźnego bandyty zacny fermer chętnie przywdział ubiór i rynsztunek kowboja.

Więzień zdołał okutymi rękami wyciągnąć mu rewolwery z pochwy. Nie mógł tego uczynić bardzo szybko, ale mimo to, zanim szeryf zdążył się poruszyć, poczuł lufę przyłożoną do swego boku.

- Teraz, ty opasły głupcze zaprzestań swoich rozmyślań - odezwał się Szepczący - a uważaj na to, co ci powiem.

Niesłychana rzecz - on Percival Kenworthy nazwany głupcem!

- Dobądź klucza i otwórz te żelaza - ciągnął dalej więzień. Szeryf w pierwszej chwili podniósł odruchowo obie ręce do góry, obecnie, wahając się, zniżał prawą rękę.

- No, dalej - rzekł z uśmiechem więzień. - Radzę ci nie próbować żadnych nieoczekiwanych chwytów! Pamiętaj, że już nie mam nic do stracenia, i, skoro zabiłem dwudziestu ludzi, to nie chciałbym, żebyś ty był dwudziestym pierwszym!

Szeryf zzieleniał na twarzy, zeszywniałymi ze strachu palcami wyjął pęk kluczy i, wybrawszy odpowiedni, obrócił go w małym zamku. Kajdany opadły z rąk więźnia. Jakże groźnym stał się w tej chwili! Lewą ręką manewrował zręcznie rewolwerem, którego lufa wciąż tkwiła w bolącym już boku Kenworthy'ego, prawa zaś, choć nie uzbrojona, wydawała się szeryfowi niemniej niebezpiecznym narzędziem zniszczenia.

- Teraz nogi - rozkazał Szepczący.

Fermer pochylił się i rozkuł je. Gdy się wyprostował, na jego

własnych tłustych rękach zatrzasnęły się kajdany, z których przed chwilą uwolnił więźnia. Ten sam los spotkał jego nogi. Równocześnie Szepczący wyciągnął mu chustkę z kieszeni, zwinął ją w kłębek i siłą swych żelaznych palców, rozwarłszy szczęki szeryfa, zakneblował mu usta, drugą zaś chustką omotał sprawnie jego głowę. Następnie chude, lecz zdumiewająco silne ramiona Szepczącego chwyciły go i ułożyły na ziemi. Wszystko to odbyło się w tak błyskawicznym tempie, że umysł Kenworthy'ego nie mógł za tym nadążyć. Gdy oprzytomniał, ujrzał więźnia zmierzającego już do drzwi. Na progu zatrzymał się i obrócił ku niemu.

- Jeślibyś usiłował krzyczeć lub hałasować - powiedział - to wrócę i zabiję cię, zanim tamci się ze mną rozprawią!

Spojrząwszy morderczym wzrokiem na nieszczęsnego fermera, potrząsnął wymownie rewolwerem i znikł mu z oczu. Przeszedł obok drzwi pokoju, gdzie sześciu strażników czekało na odejście szeryfa, - aby więźniowi zanieść posiłek, i zbliżywszy się do głównego wyjścia, wyjrzał na zewnątrz.

Na stopniach wiodących do więzienia stało kilku kowbojów palących papierosy i zabawiających się wesołą rozmową. Nie opodal znajdował się wspaniały czarny rumak fermera, ten sam, na którym Szepczący odbył swój wjazd do miasta jako jeniec. Niestety, był on przywiązany za cugle, co znacznie utrudniało projektowaną ucieczkę.

- Może lepiej zajrzyjmy jak tam szeryfowi idzie rozmowa z więźniem - doszedł jakiś głos z pokoju strażników.

Nie było ani chwili do stracenia. Szepczący wcisnął głęboko na czoło kapelusz szeryfa, owinął szyję jego szalikiem i śmiało otworzył drzwi

wejściowe.

- Dobrze, szeryfie - zawołał.

Oczy wszystkich skierowały się nie na niego, a w rozwarte drzwi wiodące do więzienia, gdzie w każdej chwili spodziewano się ujrzeć znaną postać Kenworthy'ego. Na razie nie zwrócono na zbiega uwagi, bo któż mógłby przypuszczać, że wyjdzie on tak spokojnie głównymi drzwiami, udając przy tym rozmowę z szeryfem?

Szepczący z rozmyślną powolnością zszedł ze schodów, spokojnie odwiązał konia i włożył nogę w strzemię.

Nagle zapanowała cisza. Odgadnął, iż zwrócono nań uwagę. W tejże chwili wskoczył na siodło.

- Ech, ty tam! - zawołał któryś do niego. - Zatrzymaj się! Obrócił się umyślnie do nich, skierowując jednocześnie konia ku rogowi budynku.

- Bądźcie zdrowi, chłopcy - wyrzekł żywo. - Mam nadzieję wkrótce was wszystkich zobaczyć!

Nagle rozległ się krzyk wydany przez pół tuzina gardzieli i tyleż rąk porwało za broń. Lecz czarny rumak, przynaglony uderzeniem ostróg, jednym skokiem wypadł z podwórza więziennego w tym momencie, gdy huknęły strzały.

Rozdział XXXI

PRZEZWYCIEŻENIE PRZESZKÓD

Okrzykom, które się rozlegały na zewnątrz więzienia, zawtórowały niemal równocześnie niemniej gwałtowne okrzyki z wewnątrz. Dyżurujący bowiem strażnicy wszedłszy do celi Szepczącego, aby zbadać przyczynę zaległej tam ciszy, zamiast spodziewanych dwóch postaci na razie nie dostrzegli nikogo. Dopiero dalsze rozglądanie się odkryło im

okropny widok. Skuty kajdanami szeryf leżał bezwładny na podłodze.

Momentalnie go podniesiono, lecz nie było możliwe uwolnienie go natychmiast z łańcuchów. Złośliwy więzień zabrał bowiem ze sobą jedyne klucze mogące otworzyć te okowy, a podobnych trudno byłoby znaleźć nawet w obrębie pięciuset mil.

Strażnicy, uprzytamniając sobie co zaszło, wpadli we wściekłość i wszczęli alarm. W wyobraźni swej widzieli już całe miasteczko ośmieszona tą zuchwałą ucieczką i swe dobre imię skompromitowane.

W tym czasie znajdujący się na podwórzu więziennym kowboje, zaskoczeni nieoczekiwanym wydarzeniem, sypnęli z pół tuzina koltów gradem kul za zbiegiem. Na próżno jednak, gdyż tętent konia, na którym uciekał Szepczący, rozlegał się już wzdłuż ulicy. Kowboje z największym pośpiechem dosiadali koni, uderzając je ostrogami, nim jeszcze zdążyli włożyć obie stopy do strzemion.

W trakcie tego zamieszania w celi zajmowano się szeryfem. Wyjęto mu przede wszystkim knebel z ust. Przez chwilę oddychał ciężko, a gdy przyszedł do siebie, ryknął: „Dwadzieścia tysięcy dolarów za ujęcie go żywego lub umarłego!”

Nie słuchając go już dalej, wszyscy wybiegli z więzienia pochłonięci myślą, jaka też przestrzeń mogła dzielić zbiega od nich i że ci, którzy już pogonili za nim, mają więcej szans zdobycia nagrody.

Szeryf pozostał w więzieniu kompletnie osamotniony. Na domiar nieszczęścia ostatni z wychodzących z celi zatrzaskał przez roztargnienie drzwi za sobą, a przecież on sam tak je ze wszech stron obwarował, iż obecnie nikt z zewnątrz nie mógł przybyć mu z pomocą. Przypominając sobie, że niegodziwy bandyta zabrał klucze, nieszczęsny szeryf przyglądał

się masywnemu zamkowi i rozmyślał, jak to długo potrwa, zanim sprowadzą z najbliższego miasteczka ślusarza, a ten zdoła otworzyć drzwi. Przez ten czas zaś ileż to ludzi może się zebrać koło więzienia i przypatrywać mu się z ciekawością przez okratowane okienko. Na samą myśl o tym opadł na pryczę z czołem zroszonym zimnym potem. Poczul się nagle postarzały o kilkanaście lat. Jakże okropnie był zhańbiony! Wspomnił ironicznie uśmiechniętą twarz Rankina, gdy ten ostatni stojąc na chodniku, patrzył na jego tryumfalny wjazd do miasta. Czyżby Rankin przewidywał, co mogło wkrótce potem się zdarzyć?

A tymczasem pędził w dół ulicy w huraganowym tempie czarny koń z jeźdźcem niemal rozplaszczonym na siodle, trzymającym w jednej ręce cugle, a w drugiej gotowy do strzału kolt, którego stal pobłyskiwała w słońcu. Ludzie, którzy go widzieli, mawiali potem, iż jaśniej jeszcze od lśniącej stali błyszczały jego oczy, chwilami przesłaniane rozwianą czarną grzywą wierzchowca.

Stephen Rankin usłyszawszy z oddali niezwykle hałas, przerwał swoją ulubioną grę w pokera i wybiegł na ulicę. Dostrzegł zbliżającego się właśnie w jego kierunku zbiega i dosłyszał imię wykrzykiwane na najrozmaitsze tony przez setki ust mężczyzn, kobiet i dzieci. - Szepczący!

Detektyw porwał za broń. Nie był to rewolwer, albowiem pogardzał koltami, lecz ręczny karabinek maszynowy, który za jednym przyciśnięciem palca automatycznie oddawał siedem strzałów. Prawdopodobnie robiąc z niego w tym wypadku użytek zabije konia i jeźdźca, lecz te skrupuły nie powstrzymały go. Przypomnił sobie noc w lesie i zdradziecką szybkość ataku, którym został powalony, śmiesznie bezsilny na ziemię. Wzruszył zatem obojętnie potężnymi ramionami i

zaczął uważnie celować.

Wówczas jednak otwór lufy kolta, trzymanego przez Szepczącego, zionął ogniem i dymem. Miażdżące uderzenie trafiło Rankina w biodro, wykręcając mu nogę. Upadł z rykiem wściekłości, jego zaś automatyczny karabinek wypalił jednocześnie i wyżłobił siedem dziur w niewinnej powierzchni ziemi.

Zanim zdołał zebrać myśli, lśniący kształt czarnego rumaka przemknął się już obok niego i pocwałował w dół ulicy. Szepczący uniknął raz jeszcze niebezpieczeństwa, ale nie było ono ostatnim, jakie czyhało na niego. Całe miasteczko było poruszone, jak gdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Huk strzałów, tętent licznych koni, okrzyki ścigających, głośne słowa komendy - wszystko to rozbrzmiewało dalekim echem po jedynej szerokiej ulicy miasteczka i każdy mieszkaniec porywał się z miejsca, gotów do współdziałania w pościgu.

Gdyby ta ulica szła prosto, wszyscy by się od razu zorientowali w sytuacji i Szepczący byłby zgubiony. Lecz z początku słyszano tylko bezładne wołania i odgłosy strzałów, potem zaś z zakrętu wyłaniała się pojedyncza postać jeźdźca na wspaniałym czarnym koniu. Na pierwszy rzut oka mógł to być równie dobrze uciekający jak i ścigający. Nim jednak chętni do pomocy, widząc tłum pędzący za jeźdźcem, domyślili się, co należy im czynić, a niektórzy poznali nawet w przelocie rysy osławionego opryszka, Szepczący już znikł z oczu, podnosząc za sobą tuman kurzu.

Wszyscy tracili głowy. Przytomny okazał się jedynie Toni Caponi, ubogi Włoch, uprawiający w pocie czoła nocą i wczesnym rankiem mały warzywny ogródek, aby następnie wyhodowane przez siebie jarzyny sprzedawać z wózka w ciągu dnia na ulicach miasteczka.

Gdy tylko usłyszał niezwykłą wrzawę, chwycił za cugle muła i zawróciwszy nim, zatarasował ulicę masywnym wózkiem. Jego rozmiar i grube drzewo, z którego został zbudowany, dawały rękojmię, iż raczej się o tę przeszkodę rozbija, niż ją przewróca. Sam Toni Caponi usunął się na bok i założywszy w tył ręce, oczekiwał dalszych wypadków. Był zbyt znużony, aby odczuwać podniecenie, twarz jego wyrażała tylko bierną ciekawość.

Nagle ukazał się czarny pędzący koń. Jeździec wyprostował się w siodle, gdy ujrzął niespodziewaną przeszkodę. Nie było żadnego sposobu obejścia jej. Przejazd był uniemożliwiony. Koń rzucił do góry głowę, jakby zapytując, co ma uczynić.

Zbieg spojrzął za siebie przez ramię. W pewnym oddaleniu dojrzał wyraźnie trzech jeźdźców, dosiadających koni wysokiej krwi. Wielu hodowców krzyżując pełnej krwi klacze z mustangami osiągnęło specjalną długonogą rasę, odznaczającą się niezwykłą szybkością. Widać było, że ścigający mieli właśnie takie konie. Wprawdzie czarny wierzchowiec Szepczącego również należał do tego gatunku, lecz ciężar siedzącego na nim jeźdźca był niezawodnie większy od ścigających. Zatem zbieg musiał bardziej liczyć na własną błyskawiczną orientację, niżli na chyżość swego wierzchowca.

Powziąwszy decyzję skierował konia na najniższy i największy punkt przeszkody, którym był muł. Czarny rumak jakkolwiek nie przyzwyczajony do brania przeszkód, bez chwili wahania przygotował się do skoku. Mimo całego swego wysiłku, zapewne by mu się nie powiodło, gdyby muł, przestraszony grożącym mu niebezpieczeństwem, nie przypadł brzuchem do ziemi, pomimo to jednakże kopyta końskie uderzimy g° P°

grzbiecie. Przeszkoda była przebyta i Szepczący w tumanie kurzawy popędził dalej.

Przy obecnym stanie rzeczy, zacny Włoch zamiast ułatwić pościg, zahamował go. Zrozumiał swój błąd, lecz zanim zdołał obrócić wózek, ścigający zbili się przy nim i w tym zamieszaniu nie odważyli się przezeń skakać.

Rezygnując na razie z pogoni za zbiegiem p)chwycili broń w nadziei dosięgnięcia go strzałem, lecz ulica była kręta, więc nim zdążyli wziąć go na cel, jeździec i koń znikli im z oczu.

W międzyczasie Toni Caponi potrafił wykręcić wózek z mułem. Z chwilą gdy tylko można było się prześlizgnąć koło niego, nie czekając na całkowite opróżnienie drogi, jeźdźcy, klnąc i wbijając ostrogi w boki swych wierzchowców, pocwałowali naprzód jak szaleni, jeszcze bardziej podnieceni doznanym niepowodzeniem.

Dojeżdżając do wylotu ulicy stwierdzili, iż istotnie przestrzeń pomiędzy nimi a zbiegiem znacznie wzrosła. Widać go było tylko z daleka, jak jechał w równym tempie, oszczędzając zapewne konia, gdyż nie przynaglał go ani batem, ani ostrogami, poklepując natomiast od czasu do czasu przyjaźnie.

Ścigający upadli na duchu, lecz w tej samej chwili spostrzegli, że Szepczący nie był jednakże wszechwiedzący, gdyż popełnił fatalny błąd, skręcił bowiem na ścieżkę prowadzącą przez sad Boba Meany, a prawie wszyscy wiedzieli o tym, że ten sad od kilku lat zalany był wodą i zamienił się w nieprzebyte niemal bagno. Oni zaś mogli sobie wybrać krótszą i bezpieczniejszą drogę na lewo od tego sadu.

Rozdział XXXII

UKRYTY STRZELEC

Zawrócili zatem w upatrzoną suchą ścieżkę w pełnym galopie. Tymczasem następna grupa ścigających Szepczącego, podążając jego śladami, wpadła do błotnistej sadzi, nie przeczuwając smutnego losu, który miał ich tam spotkać. Od razu, po kilku pierwszych susach, dwa konie zwały się na ziemię i leżały na wpół zanurzone w błocie. Pozostali jeźdźcy widząc to, pośpiesznie zaczęli wstrzymywać swe wierzchowce, lecz było już za późno. W jednej chwili utworzyło się straszliwe kłębowisko z ludźmi i koni. W tym słynnym pościgu za Szepczącym, o którym wkrótce potem mówiła cała okolica, dwóch ludzi złamało nogi, dwunastu zaś innych dotkliwie się potłukło.

Ci spośród ścigających, którzy nie odnieśli szwanku, brnęli nadal w zawziętej pogoni przez bagno, nie zatrzymując się nawet dla udzielenia pomocy jęczącym towarzyszom. Wydostawszy się na suchy grunt, dojrzeli Szepczącego, który po szczęśliwym przebyciu zdradzieckiego sadu, wprawiał ponownie konia w galop.

Znajdował się jednakże w trudnej sytuacji, gdyż wierzchowiec jego wyczerpany ciężką przeprawą tracił widocznie z każdą chwilą siły i sprężystość w biegu. Podczas gdy uwaga zbiega skierowana była na pościg z tyłu, usłyszał nagle dochodzący z lewej strony tętent koni. Obrócił się w siodle i w pierwszej chwili osłupiał, ujrzawszy tak niespodziewanie i blisko swych prześladowców wynurzających się z boku. Momentalnie jednakże zrozumiał, iż musi istnieć jakaś lepsza droga, omijająca bagno w sadzi i że oni ją wykorzystali.

Z tą chwilą uprzytomnił sobie, że jest zgubiony. Nie przychodziło mu jednak na myśl poddać się. Był zdecydowany nie dać się ująć żywcem.

Starając się ulżyć koniowi począł zrzucać niepotrzebny balast. Odciał przytroczony do siodła mały pakunek, zapewne należący do szeryfa; w olstrach znajdował się jeszcze zapasowy rewolwer, wyrzucił go, jak również ładunek naboju. Pozostało mu tylko pięć kul w lufie kolta, którego trzymał w ręku - cztery z nich przeznaczył do obrony, a piątą dla siebie. Przeszukał spieszenie własne kieszenie, nie zawierały jednakże nic ciężkiego. Zerwał więc jeszcze płaszcz z ramion i cisnął go za siebie.

W ten sposób odciążył konia ze wszystkich przedmiotów, których mógł się pozbyć. Spenetrował baczny wzrokiem zbliżającą się szybko pogoń. Gęste jej szeregi przerzedziły się. W danym wypadku wolałby widzieć za sobą tłum ludzi przeszkadzających sobie wzajemnie w pościgu, podnoszących kłęby pyłu zasłaniającego widnokrąg i ogłuszających się nerwowymi okrzykami i sprzecznymi uwagami. Z całego jednakże tego tłumu pozostało obecnie tylko ośmiu ludzi. Byli to jednak najdzielniejsi ze ścigających i posiadali najlepsze konie. Mniej zdolni, słabsi jeźdźcy oraz gorsze konie stopniowo odpadały. Ale ta pozostała, nieznaczna liczba była tym groźniejsza, gdyż ze względu na swą małą ilość nie tylko nie hamowała się wzajemnie, a przeciwnie, odnosząc się do siebie z uznaniem, dodawała sobie wspólnie zapału do spełnienia oczekującego ich trudnego zadania. Żaden bowiem z nich nie wątpił, że się naraża na utratę życia, ale niebezpieczeństwo to bynajmniej ich nie odstraszało.

Wszystko to Szepczący ocenił wprawnym spojrzeniem, stwierdził też, że stale zyskiwali na dzielącej ich od niego odległości i to bynajmniej nie forsując swych koni!

Starął się zatem dopomagać swemu wierzchowcowi, podobnie jak to czynią dżokeje na wyścigach, przerzucając ciężar swego ciała ku

przodowi. Niewielki jednakże był z tego pożytek, gdyż pogoń stale się zbliżała. Byli oni zarówno dobrymi jeźdźcami jak i on, a ich konie nie ustępowały w niczym jego wierzchowcowi, nie wyczerpane poza tym przeprawą przez trzęsawisko w sadzie.

Zważywszy to wszystko, nie było nic dziwnego, że Szepczący uważał się za zgubionego, lecz postanowił wytrwać do ostatka. Skręcił w wąski przesmyk pomiędzy wzgórzami, który kończył się jakby doliną porośniętą drzewami, - zawaloną odłamami skał, z licznymi wijącymi się pomiędzy nimi ścieżkami. Szepczący znał wyśmienicie całą tę okolicę i wiedział, że gdyby zdołał tylko dotrzeć do tej doliny, mógłby mieć pewne szanse ocalenia.

Wyteńczywszy siły, usiłował batem i ostrogami wydobyć z konia maksimum szybkości. Lecz wynik był znikomy. Koń już był wyczerpany forsowną jazdą. Gdy uciekinier obejrzał się, skonstatował, że pogoń zbliżała się w błyskawicznym tempie.

Nie mogło być mowy o umknięciu do doliny! Nie przebył jeszcze nawet połowy drogi, gdy nagle od strony owej doliny rozległ się strzał, i to nie krótki szczęk rewolweru, a przeciągły huk karabinowy. Nie usłyszał wprawdzie gwizdu kuli, widocznie bowiem pierwszy wystrzał pochodził z daleka.

- Następny strzał będzie celniejszy - rzekł do siebie Szepczący. - Może to i lepiej, że na tym się skończy. Nie ma przecież żadnej innej nadziei!

Wyprostował się nawet w siodle, aby ułatwić cel nieznanemu strzelcowi. Lecz ów domniemany przeciwnik dziwnie się zachowywał! Kula, której Szepczący niemal z upragnieniem wyczekiwał - nie

nadlatywała.

Natomiast wśród ścigających wybuchły gniewne okrzyki i zaraz potem rozległa się salwa strzałów i kilka kul świsnęło obok niego.

Szepczący odwrócił głowę i ujrzał osobliwy widok. Jeden z koni pędził z pustym siodłem, a w oddali widać było siedzącego na ziemi człowieka, zapewne jego pana, trzymającego się obu rękami za biodro. Przy nim klęczał inny osobnik, który przerwał pościg, aby przyjść z pomocą rannemu.

Z ośmiu ścigających pozostało w ten sposób tylko sześciu. Z tych jednakże jeden, widocznie również ranny, trzymał się dłonią za ramię. Reszta zaś porywała za broń celując w jego stronę, otwierała gwałtowny ogień.

Teraz dopiero Szepczący zrozumiał, iż ukryty w dolinie strzelec nie był nieprzyjacielem, usiłującym udaremnić mu ucieczkę. Okazał się sprzymierzeńcem, a te dwa odległe strzały skierowane były do pościgu. Szepczący własnymi oczami stwierdził ich celność. Wywarło to jednakże ten skutek, że ścigający zrezygnowali z ujęcia go żywego, natomiast starali się go zastrzelić. Nie mogą jednak celnie mierzyć ludzie, którym trzęsą się ręce z podniecenia, płuca ciężko dyszą ze zmęczenia, oczy płoną od wiatru, i z tak niewygodnej pozycji jak z grzbietu konia w biegu!

Pierwsza zatem salwa pod względem celności była daremna. Za to następny strzał ukrytego przeciwnika zerwał kapelusz z głowy jednego ze ścigających. Wówczas wszyscy zeskoczyli z siodła i padłszy na ziemię, wolno i starannie przygotowywali się do strzału.

Teraz Szepczący miał już minimalne szanse ujścia z życiem! Lecz dzięki nieoczekiwanym zajściom zyskał na cennej, w danym wypadku,

odległości. Jechał obecnie zygzakowato, zręcznie kierując zmęczonym zwierzęciem.

Jedna kula przeszła mu ubranie pod pachą. Dwie inne przeleciały tuż koło jego głowy. Zorientował się, że w tych warunkach dalsza jazda na koniu, grozi mu niechybną śmiercią. Zeskoczył przeto z siodła akurat w chwili, gdy jedna z kul drasnęła go w lewe ucho.

Dopał wreszcie odłamów skał i zgięty we dwoje przesuwał się wśród nich szybko naprzód, starannie się za nimi ukrywając.

Przez pewien czas powietrze wkoło niego aż drgało od huku wystrzałów. Nagle ogień ustał i zapanowała cisza; przeciwnicy czatowali na sposobność, aby go powalić celną kulą. Ta okazja jednak nie nadeszła, albowiem Szepczący, dotarłszy pod osłoną skał do wylotu doliny, spostrzegł stojącego za ogromnym szarym kamieniem swego dawnego znajomego Borgena, który tak skutecznie spłacił mu dług wdzięczności, zaciągnięty ongiś za uratowanie mu życia.

Borgen zawołał nań po cichu i ruchem ręki wskazał na stojące za nim dwa rosłe konie. Był to ostateczny ratunek z tego śmiertelnego niebezpieczeństwa, które zdawało się go już dosięgać.

Bez słowa wskoczyli na siodła i popędzili naprzód, jakby im skrzydła u ramion wyrosły. Dopiero po przebyciu dziesięciu mii wstrzymali konie, aby dać im odpocząć i napić się wody z napotkanego po drodze strumyka.

Wówczas Borgen spojrział pytająco na swego wodza, któremu był wiernym i nieodstępny towarzyszem.

- Na miłość boską, Borgen - wyrzekł Szepczący - jakim sposobem znalazłeś, się akurat w porę, by ocalić mi życie, odwracając uwagę

pościgu?

- Pomyślałem o górach - odparł Borgen bez wahania. - Przypuszczałem wodzu, że uciekając, będziesz zmierzał ku góróm, a ponieważ znam tę okolicę, wiedziałem, że konno najprędzej trafi się do tej doliny. W mieście nie mogłem ci dopomóc, ale tutaj... Słuchaj, wodzu, teraz, gdyśmy się nareszcie dobrze poznali i dowiedli, że możemy sobie wzajemnie zaufać, będziemy nadal wspólnie pracować, co?

Tamten potrząsnął przecząco głową.

- Szepczący już się skończył, Borgen - oświadczył byłemu podwładnemu. - Nikt go więcej nie ujrzy. Wracaj do swego sklepu. Żyj spokojnie. Postępuj uczciwie. Masz w sobie zadatki na coś lepszego. Możesz jeszcze stać się porządnym człowiekiem, Borgen.

Rozdział XXXIII

KAPITULACJA

Gubernator, jak zresztą większość polityków, rozpoczął karierę jako prawnik. Co jednak bywa wśród polityków rzadkością - pozostał nim i nadal. Głównym jego dążeniem było nie samo wygrywanie powierzonych mu spraw, lecz służenie sprawiedliwości, tej najbardziej wymagającej i niedościgłej z bogiń.

Stał się tak głośnym ze swej prawości adwokatem, że pewna często zwyciężana partia polityczna, nie mająca przy następnych wyborach żadnych szans powodzenia, upatrzyła go jako ratunek od moralnej ruiny. Wysunęła zatem jego kandydaturę, chociaż na terenie politycznym był zupełnie nieznany. Chodziło im o to, aby móc po przegranych wyborach rozgłaszać, że bezskutecznie popierali uczciwego i porządnego człowieka.

Peter Clark, ów nieprzekupny prawnik wystawiony przez nich jako

kandydat, był tak niepokaźny jak i jego nazwisko. Małego wzrostu, szczupły, o zwiędniętej twarzy, odznaczał się jedynie wysokim czołem nad parą przenikliwych, jasnoszarych oczu. Nie miał daru wymowy, a tylko niezwykłą umiejętność zestawiania niezbitych faktów. Nie posługiwał się nigdy demagogicznymi zwrotami w rodzaju: „rządy ludu” lub „przeklęte koncerty, dławiące życie gospodarcze” itp. Przywykł do gruntownego badania każdej sprawy, nie był człowiekiem, który ustąpiłby pod jakąkolwiek presją, albo powziął nierozważnie szybką decyzję.

Zgodził się kandydować na gubernatora nie z własnej chęci, a jedynie ulegając prośbom żony. W ciągu całego ich małżeńskiego pożycia ta cicha, spokojna istota nie nalegała nigdy, aby mąż spełnił jakiegokolwiek jej pragnienie, toteż zadośćuczynienie tej wyjątkowej jej prośbie uważał za swój święty obowiązek. Wzruszył ramionami, kiwnął głową i pozwolił, by pulchne dłonie polityków uścisnęły jego chude, zimne palce.

Wprawdzie owi przyjaciele nie poczynili żadnych wysiłków w celu podtrzymania jego kandydatury. Z góry byli przekonani, że starania te byłyby daremne. Zdaniem ich człowiek ten nie miał żadnych szans powodzenia. A opozycyjna partia polityczna, która święciła tryumf w ciągu pięciu kolejnych wyborów, znała tylko jeden sposób zwalczania swych przeciwników, a mianowicie obrzucała ich stekiem oszczerstw i zniewag, wychwalając równocześnie jak najbardziej przekonująco swych kandydatów. Napadli zatem na biednego milczącego Petera Clarka. Ublizali mu złośliwie w swoich wydawnictwach. Wysłali doń reportera, który wręcz go zapytał co wie o polityce.

- Nic, dzięki Bogu! - odrzekł zacny prawnik.

Te słowa zdecydowały o jego wyborze. Średnio zamożna ludność,

stanowiąca większość obywateli, zbyt zajęta własnym zarobkowaniem aby interesować się polityką wyborczą, została ujęta tym zdaniem. Nareszcie znalazł się człowiek nie politykujący, nieposzlakowanej prawości, który przez trzydzieści lat odnosił zwycięstwa w obronie sprawiedliwości. Ta więc część wyborców, zazwyczaj bierna, stała się naraz ruchliwą. Potworzyły się komitety wyborcze przeciągające na swą stronę tak potężny czynnik, jak nauczycielstwo i młodzież szkolną. Porównywano postać opasłego polityka, który rządził stanem, ku ich wstydowni, przez czas dwóch kadencji, ze szczupłym Peterem Clarkiem, wychudzonym przez umysłową pracę.

Wszelkie polityczne marne kreatury usiłowały na próżno go zgłębić. Jego uczciwość brała górę. Nie reagowała nawet na wytoczone przeciwko niemu paszkwile. Piszący je sami się Skompromitowali i Peter Clark wybrany został gubernatorem, aczkolwiek nieznaczoną większością głosów.

W ciągu sześciu miesięcy swego urzędowania nie odznaczył się żadną wybitniejszą działalnością. Potem zaś zwolnił cały zespół sprzedajnych urzędników. Odciął się od wszelkich partii politycznych i oświadczył, że przygotował już odpowiednie warunki do pracy.

Cóż to była za praca! Każde posunięcie było precyzyjnie obmyślane. Sam gubernator nie załatwiał żadnej sprawy, nie zapoznawszy się z nią uprzednio gruntownie. Lecz gdy powziął jakąkolwiek decyzję, przedstawiał ją i bronił przed władzą ustawodawczą jak niegdyś przed sądami i krępowano się przeczyć mu, tak widocznie był ożywiony duchem sprawiedliwości i dobroci. Uchwalano jednogłośnie wszystkie jego wnioski. Powoli rządzony przez niego stan oczyszczał się z nadużyć i niegodziwości. Ściągane od obywateli podatki zaczęły być racjonalnie

zużywane - budowano drogi i gmachy publiczne. Peter Clark stał się polityczną potęgą, tym znaczniejszą, że nie popieraną przez żadną partię.

Żył w dalszym ciągu nader skromnie. Wstawał codziennie o godzinie szóstej rano. Pracował nad uzupełnieniem swego wykształcenia, jakkolwiek bowiem liczył sobie sześćdziesiąt lat, wciąż jeszcze studiował aż do godziny wpół do dziewiątej, po czym jadł śniadanie, niczym się prawie nie różniące od tego, jakie spożywał ubogi rolnik. Następnie zajmował się prywatną lekturą i korespondencją do południa i od tej chwili oddawał się urzędowaniu aż do północy. W czasie tego długiego, dwunastogodzinnego wyczerpującego okresu pracy czynił tylko jedną przerwę. Pomiędzy ósmą a dziewiątą wieczorem jadł obiad równie prosty jak śniadanie, a posilał się tylko dwa razy dziennie, i następnie spacerował po swoim ogrodzie.

Jednego wymagał - żeby pod żadnym pozorem nie przeszkadzano mu w tym spacerze. Był to bowiem jedyny jego wypoczynek w ciągu dnia, chwila, gdy zapominając o troskach i kłopotach, pozwalał myślom szybować swobodnie w krainie wyobraźni. Więcej mu zależało na krótkim odpoczynku niż na sześciu godzinach, do których ograniczał swój nocny sen.

Właśnie podczas tego półgodzinnego wytchnienia pewnego wieczoru naruszono jego samotność! Pozostawało tylko jeszcze dziesięć minut czasu do chwili, gdy stary służący Murzyn przychodził do ogrodu wołając: „Panie, już jest dziewiąta godzina”. W nerwowym oczekiwaniu tego głosu, gubernator zawracał z wolna ścieżką wiodącą ku domowi kiedy dostrzegł nieruchomą postać mężczyzny, stojącego na wprost niego. Przystanął i w pierwszej chwili nie mógł nawet przemówić, tak był zirytowany, że ktoś

ośmiela się przerywać mu rozmyślenia, ale opanowawszy się - nigdy bowiem nie wymawiał w uniesieniu ani słowa - zapytał swoim zwykłym, nieco szorstkim tonem: - Czego pan chce?

W ciemnościach rozległ się młody, dźwięczny głos: - Czy pan jest gubernatorem Clarkiem?

Gubernator zachnął się. Potem jednakże odparł, siląc się na spokój:

- Tak, jestem Clark. A kim pan jest?

- Nazywam się Jack Richards.

- Mr Richards, przyszedł pan do mnie o jedynej porze, którą z całego dnia przeznaczam na swój osobisty wypoczynek.

- Wiem o tym, lecz tylko w tym czasie mogę się z panem widnieć.

- Pan jest tak bardzo zajęty? - zauważył gubernator z odcieniem ironii w głosie.

- Właśnie.

- I czymże to, Mr. Richards?

- Unikaniem pańskich podwładnych.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- To, co pan słyszał, Mr. Clark. Nazywają mnie powszechnie Szepczącym, przypuszczam, że ten przydomek wyjaśni panu, dlaczego nie mogłem się zjawić o innej porze.

- Szepczący? Szepczący? - powtórzył gubernator mrukliwie. - Kim u diabła - chcę powiedzieć, iż nie znam tej nazwy, i Mr. Richards.

Zapanowała chwila milczenia.

- Pan nie słyszał o mnie, rzeczywiście?

- Nie.

- A jednak podpisał pan nakaz aresztowania mnie.

- Jak to?

- Stan ofiarowuje dziesięć tysięcy dolarów za ujęcie mnie żywego lub umarłego.

- Na Boga! - wymamrotał cicho gubernator do siebie, po Czym dodał głośno - pan jest tym słynnym przestępcą?!

- Jestem nim właśnie.

- Po co pan tu przyszedł?

- Zawrzeć z panem ugodę.

- Proszę mnie wysłuchać - wyrzekł gubernator - jestem człowiekiem, który przez całe swoje życie nie dotknął nigdy żadnego, oręza, ale jeśli pan myśli, że mnie nastraszy...

- Panie - odparł przybysz - dam panu słowo honoru, że nie jestem wariatem. Tylko wariat mógłby próbować panu grozić.

- Dobrze, dobrze! O co zatem chodzi? Co to wszystko ma znaczyć! Nie wiem naprawdę, co mnie wstrzymuje by podejść do pobliskiego muru i nacisnąć ukryty kontakt dzwonka, który natychmiast sprowadzi agentów tajnej policji...

- Pański honor. Pan nie byłby zdolny w ten sposób wykorzystać obecnej sytuacji.

- Widzę, że pan jest sam. No, panie, więc o cóż chodzi?

- O ugodę, jak nadmieniłem poprzednio.

- Jakiej treści?

- Takiej, by mi pan darował moje przewinienia.

- Hm?

- Powiedziałem.

- Pan jest notorycznym mordercą.

- Zabiłem tylko czterech ludzi.

- Tylko czterech? Czy istotnie pan się przyznaje do tego, że pozbawił pan życia cztery istoty ludzkie?

- Miałem ku temu pewne przyczyny...

- Wszystko ma swoje przyczyny. Kiedy ktokolwiek odmawia mi racji, to mnie irytuje, mógłbym nawet pragnąć usunąć go ze swej drogi. Życzyłbym źle człowiekowi, który by w tłoku pchnął mnie pod samochód. Mogą istnieć tysiące przyczyn, ale jakaż z nich potrafiłaby usprawiedliwić unicestwienie tego boskiego tworu, jakim jest życie ludzkie? - Jego głos drżał ze wzruszenia.

- Żadna.

- Pan to przyznaje? - zapytał gubernator, cofając się o krok.

- Tak, panie.

- A przecież pan mówił, że miał ku temu powody?

- Byłem głupcem, sądząc, że je miałem. Obecnie żałuję tego.

- Hm? - powtórzył znów gubernator. - Cóż pana skłoniło do zmiany zdania?

- Kobieta.

- Do licha! Sądziłem, że pan mi powie coś nowego.

- Żadna dobra opowieść nie ma innej treści, panie.

- Mr. Richards, obawiam się, że to jest obciążająca dla pana okoliczność. Prędzej można wybaczyć niektóre postęпки niekulturalnemu osobnikowi o gwałtownych, pierwotnych namiętnościach, nie zdającemu sobie sprawy z wielu rzeczy. Ale pan jest człowiekiem myślącym.

- Pan rozumuje jak prawnik, panie, a nie jak sędzia lub raczej gubernator, do którego się zwróciłem.

Gubernator przez chwilę walczył z przyływem gniewu. - To prawda - odezwał się w końcu stłumionym głosem. - Rozumowałem po dziecinnemu. Teraz za to będę słuchał pańskich wywodów jak sędzieja.

- Nie, lepiej jak dobry i mądry człowiek, jakim pan jest. Oto moje tłumaczenie. Byłem dawniej bardzo chorowity i zamieszkiwałem w kalifornijskiej wiosce z moją łagodną matką i samowolnym młodszym bratem Charle. W przeciwieństwie do mnie był on zdrow i silny. Opiekował się mną i chronił od brutalnych napaści. Kochaliśmy się więcej, niż to zazwyczaj czynią bracia. Zboczył on jednakże na złą drogę i skończył nieszczęśliwie. Zamordowano go w pewnej szulerni w San Francisco. Gdy przybyłem tam, zastałem go jeszcze przy życiu. Zdążył mi przed zgonem opowiedzieć historię tego zajścia, z której wynikało, iż czterech osobników, oszustów i łajdaków, wciągnęło go do nieuczciwej gry, a kiedy to zauważył - postanowili go zabić. Opisał mi ich dokładnie i podał przydomki jakich używali. Konając prosił mnie, abym go pomścił.

Przypuszczałem, że prawo ich ukarze, po upływie jednak miesiąca, gdy policja nie zdołała ich wykryć, postanowiłem wziąć sprawę w swoje ręce i zostać jeszcze zręczniejszym i groźniejszym od nich przestępcą. Udałem się więc na Zachód, gdzie - jak słusznie sądziłem - przebywali mordercy mego brata. Aby się nie dać poznać, żyłem w ukryciu, poruszając się tylko nocami. Nauczyłem się i przyzwyczałem do zwierzęcej egzystencji. Utrzymywałem się z polowania. Nabyłem wielkiej wprawy we władaniu bronią. Wówczas ułożyłem plan utworzenia tajemniczej bandy, której byłbym niewidzialnym i prawie nieznanym hersztem, i wciągnięcia do niej tych czterech osobników. Taka była geneza owej słynnej bandy, o której się pan dowiedział, podpisując nakaz

aresztowania mnie. Mój plan udał się całkowicie. Z zabójców brata uczyniłem swoich podwładnych. Nie uśmierciłem ich od razu. Czekałem dopóty, aż się upewniłem niezbitnie o ich tożsamości, a nawet do chwili gdy zamierzali zdradzić swych współtowarzyszy i mnie. Wtenczas sprzątnąłem ich po kolei. Po osiągnięciu swego celu, zrezygnowałem z dotychczasowego trybu życia, jak przypuszczalnie pan słyszał. Powróciłem do ukochanej dziewczyny, o której panu poprzednio wspominałem. Podczas mego pobytu u niej zaaresztował mnie prywatny detektyw. Ale zdołałem uciec z więzienia. Oto cała moja historia.

- Mr. Richards, jest pan oskarżony o dokonanie blisko stu morderstw.

- Każdy człowiek obrabowany w tych okolicach, o ile napastnik nie został ujęty, posądzał o to Szepczącego. Lecz ja wyznałem panu całkowitą prawdę.

- Żaden sąd nie uwierzyłby panu.

- Dlatego też opowiedziałem to tylko panu.

- Mr. Richards, czy pan się spodziewał, mówiąc mi to wszystko, uzyskać ode mnie przebaczenie?

- Niezupełnie. Pragnę pana przekonać, że jestem człowiekiem, który zbłądził, lecz nie szubrawcem. Chcę także dowieść, że potrafię być w przyszłości dobrym obywatelem. Osiedlić się i stworzyć rodzinę. Czy pan w to uwierzy?

- To jest możliwe. Ale pan oświadczył, że chce zawrzeć ze mną ugodę. Co pan zadeklaruje stanowi w zamian za uzyskanie odeń przebaczenia?

Odpowiedź nastąpiła szybko.

- Zaprzestanie popełniania zbrodni.

- Pan chyba oszalał!

- Bynajmniej. Zabiłem tylko czterech ludzi, notorycznych przestępców i nie wziąłem dla siebie ani grosza ze zrabowanych pieniędzy. Ale jeśli mnie pan odepchnie, to kto wie co może się ze mną stać. Dotychczas powstrzymywała mnie od moralnego upadku nadzieja, że gdy dokonam swojego dzieła, będę mógł powrócić do normalnego i uczciwego życia. Jeżeli jednakże nadzieja ta zostanie mi odebrana, to mogę rzeczywiście stać się zbrodniarzem.

- Zbrodniarzy takich w końcu wyłapują.

- Nieraz upływa przedtem z dziesięć, a nawet dwadzieścia lat. Ze mną może się to przeciągnąć jeszcze dłużej. Ja potrafię działać sam, bez towarzyszy, którzy mogliby mnie zdradzić. Nie posiadam żadnych nałogów, jak picie lub hazard. Dłaczegóż w dalszym ciągu nie zdołałbym egzystować bezkarnie tak jak dotąd, z tą różnicą, iż nie przebierałbym wówczas w ofiarach.

- Mr. Richards, pan nigdy by tak nie postąpił, pan nie ma tak krwiożerczej natury.

- A czyż zatem jestem o tyle krwiożerczy, że zasługuję bezwzględnie na powieszenie?

- Pan przemawia jak porządny człowiek, Mr. Richards. Lecz tylko w jednym wypadku mógłbym się podjąć przychylnego rozpatrzenia pańskiej sprawy, oczywiście, nie obiecując z góry przebaczenia!

- Więc w jakim?

- Jeśli pan dobrowolnie pójdzie do więzienia i tam będzie oczekiwał sądu. Gdy dochodzenie sądowe zostanie zakończone, w razie wyroku skazującego, możliwe, że znajdę słuszne powody dla ułaskawienia pana.

Lecz możliwe też, że ich nie znajdę. Proszę zatem pamiętać, iż nie daję panu żadnych obietnic i jeśli go w swoim przekonaniu uznam winnym, to nic nie uczynię, by pana uchronić od szubienicy.

- Zgadzą się - odrzekł Szepczący.

- Więc staje się pan moim więźniem!

- Tak jest.

- Proszę zatem oddać mi broń. Broń została wręczona bez wahania. -

Teraz proszę iść za mną!

Postępując obok siebie weszli do domu. Spod pachy gubernatora sterczały dwa duże, czarne rewolwery, należące do słynnego bandyty. I w ten sposób stało się, iż gubernator był tym, który go ostatecznie aresztował.

EPILOG

Szczyście

Szepczący został skazany.

Sąd przysięgłych uznał go winnym jednogłośnie. Ale ten sam sąd równocześnie wyraził mniemanie, że należałoby więźnia ułaskawić, gubernator bowiem podał do powszechnej wiadomości wyznanie, jakie mu on uczynił. Sprawę tę poruszano na rozprawie. Na próżno gwałtowny i przebiegły oskarżyciel stanu usiłował je podważyć, nie zdołał jednak tego dokonać. Publiczność z podnieconą ciekawością odczytywała codziennie w pismach przebieg tego niezwykłego procesu, z którego między innymi dowiadywała się o szczegółach samotnego życia w górach osobliwego podsądnego.

Nikt nie wątpił, że zostanie on ułaskawiony. Ten sam sędzia, który skazał Szepczącego na śmierć przez powieszenie, oświadczył mu z

uśmiechem, iż żałuje, że nie jest w możności uczynić tego, czego niezawodnie dokona gubernator.

Decyzja gubernatora zaskoczyła jednakże wszystkich. Zamiast ułaskawienia zaproponował skazanemu do wyboru rok ciężkiego więzienia lub szubienicę.

- Albowiem stan - orzekł gubernator - jako jednostka społeczna może wspaniałomyślnie darować życie winowajcy, niemniej jednak musi go nauczyć poszanowania obowiązujących praw.

Szepczący wybrał ciężkie więzienie i odbył karę. Po wyjściu z więzienia poślubił Różę Kenworthy u najbliższego pastora, po czym udali się oboje do gubernatora, unikając, o ile możności, mnóstwa skierowanych w ich stronę obiektywów fotograficznych. Ludzie bowiem szybko zapomnieli o przestępstwach popełnionych przez Jacka Richardsa, inaczej Szepczącego, vel Jeremiasza Saylora. Natomiast zostało żywo w pamięci wszystkich jego romantyczne życie. Społeczeństwo bowiem, jakkolwiek składające się z jednostek na ogół biorąc srogich, mądrych i rozsądnych, częstokroć w całej swojej masie zachowuje się dziecinnie, nieraz okrutnie, czasami zaś sentymentalnie. W tym wypadku społeczeństwo widziało w Jacku Richardsie i jego żonie - bohaterów.

Gdy przybyli do gubernatora, ten, przepaszając młodą Mrs. Richards, zabrał jej męża do swego gabinetu i tam długo z nim rozmawiał. Co było przedmiotem tej konferencji - pozostało na zawsze tajemnicą, tylko Jack wyszedł stamtąd z głęboką zmarszczką między brwiami, którą już zachował do końca swego życia, jak również pewną powagę w obejściu. Gdyby był dożył sędziwego wieku, niezawodnie miałby wygląd bardzo uroczysty. Niestety, człowiek, który posiadał tylu nieprzyjaciół i,

aczkolwiek niesłusznie, obwiniany był o tak wiele przestępstw, nie mógł żyć długo.

Bogatemu farmerowi Kenworthy'emu sądzone było przeżyć zięcia i córkę. Opowiadał on potem swoim wnukom, o wspaniałych wyczynach ich szalonego i nadzwyczajnego ojca.

Jedynym epizodem, którego nie opisywał była komiczna scena w więzieniu, kiedy własnoręcznie musiał uwolnić groźnego więźnia; epizod świadczący o tym, iż wielce ceniony i podziwiany szeryf bynajmniej nie był lwem, a raczej potulnym jagnięciem. Nie pomniejszyło to wprawdzie uznania, jakim się cieszył, ale od tego czasu ludzie, myśląc o nim, uśmiechali się.

Jeśli chodzi o Różę i Jacka, pożycie ich, chociaż krótkie, bo trwające zaledwie kilka lat, promieniało szczęściem. Każdy ze wspólnie spędzonych dni przynosił im więcej może rozkoszy i radości niż innym niejednokrotnie całe, długie życie.